

1245
* REDUKCJA *
* OTCIENIA *
almanach



literacki

1 9 3 1

nakładem
trybuny akademickiej.

almanach literacki

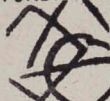
Pod redakcją:

ELCHANANA LEWINA

i SZ. L. SZNAJDERMANA

trybuny ^{nakładem} akademickiej.

las 50
FUNDACJA



POGRANICZE

02.729

(161) Kancelaria

Okladkę projektował J. Lewit.

Składano i odbito w drukarni
B-ci Wójcikiewicz, Warszawa,
Pawia 10 — Telefon 265-82

SŁOWO WSTĘPNE

Redakcja „Trybuny Akademickiej” postawiła sobie między innymi jako zadanie zaznajomić szersze warstwy Czytelników polskich z literaturą hebrajską i żydowską.

Pierwszą próbą w tym kierunku podjętą jest niniejszy „Almanach Literacki”, zawierający wybór utworów prozy i poezji w przekładzie polskim.

Czytelnik „Almanachu Literackiego” zwróci w pierwszym rzędzie uwagę na brak w tym zbiorze czołowych przedstawicieli starszego pokolenia pisarskiego, oraz klasyków.

„Trybuna Akademicka”, jako organ żydowskiej młodzieży akademickiej, uznała za wskazane w pierwszym „Almanachu” zaprezentować utwory najnowszych kierunków literatury hebrajskiej i żydowskiej.

Przekłady z języka hebrajskiego i żydowskiego nasuwają poważne trudności. Niezwykła zwartość języka hebrajskiego, przy wielkiem bogactwie wyśłowienia, sprawia, że najlepsze nawet przekłady nie potrafią oddać wielkiej ekspresji i piękna tego języka. Najcenniejsze wartości stylu tracą się przeważnie w przekładzie, mimo szczerých wysiłków ze strony tłumacza. Język żydowski, posiadając wybitnie ludowy koloryt, przepojony właściwościami ekspresji semickiej i wschodniego temperamentu, nasuwa również tłumaczowi charakterystyczne trudności.

W miarę sił i możliwości Redakcja starała się o utrzymanie przekładów, zawartych w tym zbiorze na poziomie możliwie najwyższym.

Wierzymy, że wysiłek nasz w kierunku zadzierzgnięcia nici między Czytelnikiem polskim, rekrutującym się zarówno ze społeczeństwa pol-

skiego jak i ze spolszczonej inteligencji żydowskiej — zostanie należycie oceniony.

Potrzeba wydawnictwa w rodzaju „Almanachu Literackiego” okazała się szczególnie niezbędną w naszych warunkach.

Podczas, gdy najpoczytniejsze organy literatury polskiej wykazują zainteresowanie nawet dla piśmiennictwa narodów najbardziej egzotycznych, z którymi Polskę mało co łączy, literaturę żydowską ignorują całkowicie. Jestto tem dziwniejsze, że tuż w bezpośredniej bliskości rozrasta się młoda bujna literatura żydowska, która w innych krajach spotyka się z wielkim zrozumieniem i szacunkiem.

W celu zaznajomienia Czytelników z całokształtem twórczości żydowskiej, zamieściliśmy szereg artykułów o literaturze i sztuce żydowskiej.

Nie bacząc na ciężki kryzys materialny, który szczególnie dał się we znaki społeczeństwu żydowskiemu w Polsce, powodując tem samem zmniejszenie zainteresowania dla przejawów życia kulturalnego — wierzymy, że Almanach ten spotka się z życzliwym przyjęciem i zachęci Redakcję do kontynuowania tego wydawnictwa.

R e d a k c j a

POEZJA HEBRAJSKA

Tłumaczył:

SZYMON WOLF

Abraham Braudes

Nie nadaremnie

Kwucy młodzieży pracującej.

*Myśmy zwyczajni budowniczkowie Sjonu,
dumnie stąpamy po cierniach i ostach —
jak wielbłądy pustynne
dźwigamy ciężary.*

Patrzcie:

*hartuje się ramię dziewczęce,
dziecinna ręka w stal się zamienia —
rozwalim skały, ziemię oczyścim,
ciszę pustyni przerwiemy
pracą i pieśnią przy pracy.*

*Bracia kochani! Nie nadaremnie
ścieka gorący pot w piasek palący;
nie daremnie płonie wam ciało
gorączką suchych chamsinów.*

Wiemy:

*jutro spłynie płodności
błogosławieństwo na przeklęte moczary,
jutro rozebrzmi pieśń oraczy
nad naszą skibą hebrajską;
i jutro, jutro już zapachną
po całej ziemi naszej
pąki kwitnące.*

E l i s z e w a

S ł o Ń c e

*Słońce jest jak kwiat, co kwitnie wiosną
w najpiękniejszym ogrodzie z purpury,
tęsknią za nim drzewa, tęsknią góry —
jemu ptaki śpiewają pieśń miłosną.*

*Dzień się dłuzę. Gdzież-że można skryć się
przed tym jasnym blaskiem, co tak pali?
Mknie i ginie gdzieś w błękitnej dali
ukochany sen — to moje życie.*

*Daj mi twoją rękę, nie bądź smutny —
wszystko przeszło, wszystko ma swój koniec...
Dzień jak kwiat błękitny jasno płonie,
ogród nasz błękitny i okrutny.*

Ś w i e r k i

*O świerki, w kraju mojego lasach dalekich,
spokój i radość duszy w waszą daję opiekę.
Wiele drzew w pięknej ojczyźnie mojej się kołysze,
lecz kto, tak jak wy, świerki, umiłował ciszę.*

*Kiedy słońce zabłyśnie — do jasnego błękitu
wyciągacie gałęzie, jak ramiona świeczników.
Tak stali ongiś w królestwie świętego Syonu
wasi bracia — wysokie cedry Libanonu.*

U r i C w i G r y n b e r g

B a n k i e r z y ż y d o w s c y

*Widziałem w Europie bankierów żydowskich,
potentatów pieniądza, co państwow i królom
udzielają pożyczek na budowę okrętów,
na koleje, na mosty, szosy, na zbrojenia.*

*Widziałem, jak żyją tam w tych wielkich miastach.
Mają dwa, trzy podbródki, mają małe ręce,
mają serca, lecz serca swe opancerzone,
czują wtedy tylko, gdy tłuszc na nie ciśnie.*

*Wtedy pędzi do pana bankiera lekarz w aucie;
wtedy stoi przy łożu córka jego smutna,
z narzeczonym, o wypomadowanych włosach —
i obojgu poleca ojciec w testamencie,
dać tyle i tyle na kuchnię dla biednych
i dla zakładu sierot, „bez różnicy wyznania”.*

*Gdyby córka żydowska wtedy zapytała:
„A dla Palestyny?” — zachnąłby się chory
i złałaby ją, wściekły, zagniewany:
dla tej tam Palestyny — on nie ma zamiaru
wyrzucić swych pieniędzy nadarmo, przez okno...
„Uczyń to dla imienia” — prosi córka dalej.
Dla imienia? Niech będzie raczej synagoga,
lub stypendjum dla żydowskiego studenta, —
niech studjuje i niech mnie potem błogosławi!*

*I mija dzień po dniu
i po nocy noc —
znowu weksle, zarobki,*

i woń cygar hawańskich;
 znów pożyczki dla państwa,
 i potrzeby żółdka...
 Jeszcze coś tam dla biednych, „bez różnicy wyznania”.
 Na małym palcu pierścień już tak tonie w tłuszczu,
 że soliter pierścienia utracił swój blask.

Aż pewnego dnia tłuszcz ten obręczą śmiertelną
 zamknie serce bankiera. I niema ratunku.
 Chowa go się tedy na cmentarzu żydowskim.

Za trumną stąpają panowie w cylindrach, —
 twarz córki osłonięta jest czarnym welonem.

Także konie są czarne
 i ciągną powoli wóz.

M e s j a s z

Od pokolenia owego, co klęskę straszliwą przeżyło,
 krzyk się rozlega, wołanie przez wszystkie stulecia:
 „Mesjaszu przyjdź!”

Wołaliśmy go w Europie, we krwi tarzając się własnej,
 wołały go trupy żydowskie w dalekiej obczyźnie.

W słodkich modlitwach porannych, w modlitwach wieczornych,
 w radości oblubieńca i oblubienicy,
 w żałobie po zmarłym, w nocnej modlitwie nabożnych —
 wołaliśmy — — —

W modłach o rosę w czas wiosny, w prośbach o deszcz,
 w psalmach, śpiewanych w dni postu i w „Hallelujah” świątecznym,
 wołało za nim dziecko w chederze,
 wołało za nim słowo ostatnie starca na łożu śmiertelnym.

I jeszcze nie przyszedł Mesjasz —
 nie przyszedł.

— — — — —
 Gdzież mi go znaleźć, jeśli nie znalazł go w Rzymie —
 długo chodziłem, tak dniem, jak nocą—szukałem przy łuku Tytusa,
 jak pies goniłem, węszyłem za jednym choć śladem:
 może zamknięto go w lochu, bo niema go tu, przy łuku Tytusa.

W jakimś więzieniu leży zapewne, w pętach żelaznych
 i jeszcze nie przegryzł zębami rdzawych ogniw łańcucha,
 jeszcze nie zerwał się z głośnym okrzykiem, jak lew uwięziony,
 aby wiedzieli wszyscy, co go czekają w tęsknocie,
 że j e s t, że żyje, że z ran odpływa mu krew.

I z ogniem, w kościach płonącym, w niezaspokojonej żądzy
 szukałem po miastach wszelakich na świecie dalekim,
 jak szuka wilk zdobyczy —
 i wypalałem boleśnie słowo po słowie w mej duszy:
 Mesjasz nie jęczy w więzieniu, bo Mesjasz umarł,
 gdy go badano, czy jest on b o s k i ...
 Wszak i Bar Gjure zamordowano tutaj, w tym Rzymie świątecznym,
 i nikt jego grobu nie zna,
 i nikt przecież nie wie dotąd, gdzie grób Sabbataja Cwi...
 Lecz dusza Mesjasza — „dybuk” w narodzie,
 płacze ta dusza we krwi naszej,
 jest z nami, gdy siedzimy przy stole, słysząc ją w płaczu niemowląt,
 tuli nas miękko, jak wełna owieczki i w nią wpadają łzy nasze
 i rozpościera wspaniałość wiecznego królestwa
 nad obliczami tych z pośród naszych, co zmarli pod krzyżem.

Z duszą boleśnie sparzoną, w blasku nieszczęścia
 wstałem i opuściłem Rzym
 i do Trjestu poszedłem, a stamtąd do Jerozolimy —
 tak wilk opuszcza osadę, wracając bez łupu do lasu.

Awigdor Hameiri

Na ziemi boleści

*Cierpienie nęka tu, dławi i gniece;
wszystko tu pali, ból stoi u wrót —
i świeci słońce — czemu słońce świeci?
pies biegnie drogą — ten pies cierpi głód.*

*Przeorał dusze, w których pożar płonie,
przeorał ciała bezlitosny pług —
i w serc bolesnej męczą się agonji —
życie i śmierć, kobieta i Bóg.*

*Bólem przeżarta jest nasza ziemia;
bólem znękany jest tu cały świat.
Boleścią jest tu każda tajemnica,
cierpieniem — wieczność, męką — każdy kwiat.*

Bez smutku i goryczy

*Być może wtedy z oczu waszych łzy ciche spłyną —
przyjdźcie do grobu mojego zwiastować nowinę.
Przyjdźcie zwiastować nowinę.*

*Słodka mi będzie łza wasza, jak rosa wiosniana,
co spada na pustkę martwą, na mękę wygnania.
Co spada na mękę wygnania.*

*Przyjdźcie, zmówcie nad grobem modlitwę gorącą,
błogosławioną, żyjącą już lat dwa tysiące.
Żyjącą już lat dwa tysiące.*

*Uświęci się dusza moja, gdy modły usłyszysz,
uśmiechnie się wtedy bez smutku i bez goryczy. ...
Bez smutku i bez goryczy.*

Jehuda Karni

Synowie Chuldy

*Oni nas nie zawstydzili
i dali odpowiedź godną.
Bohaterska to była noc,
gorąca, choć chłodna.*

*Gdy nadciągają tysiące
Arabów z bliska, z daleka —
w Chuldzie — kolonji żydowskiej
dwudziestu czterech lwów czeka.*

*Już sad do cna spalony,
już ranni podwórze krwawią —
opuszczą Chuldę synowie?
Zbirom na łup zostawią?*

*Zamknęli się w domu swoim
i bronią się przed nawałą.
Padł jeden: Efraim Czyżyk,
dwudziestu i trzech zostało.*

*Gorąca była noc owa,
choć chłodna — chłopcy, pomnicie?
Sstrzelali, — jak lwy walczyli —
tam szło o więcej, niż życie.*

*Dwudziestu trzech chłopców tylko,
dwudziestu trzech chłopców żydowskich —
lecz przetrzymali noc całą,
broniąc krwią żywą swej wioski.*

I. Lamdan

M o s t

I

Ciągną się pola spokojne w promieniach słońca,
Rzęsy swych traw przymykają, bo mocne jest światło,
a wzgórza piersi jasne wypuklają
i skały szczerzą białe swoje zęby
do słońca.

Młodzi oracze wznoszą głowy w niebo i prorokują:
„Koniec już deszczom. Niema obłoków.

Jutro, pojutrze też będzie słońce,
też będzie słońce!”

A ja —
i jutro pójdę z karawaną chmur
i wichry targać będą rozdartym żaglem,
co zwisa z masztu pustych dni
i znów daremnie pytać będę „dokąd?”
i znów mi jesień, w mojej krwi płacząca
powie: „Nie tu!”

II

I gdzie jest mus ten, który nakazuje
tutaj pozostać?

Gdzie mocna wola, co duszę przekuje,
by była prosta?

Wpijcie się we mnie góry, wpijcie skały,
aż krew ma tryśnie,
niechaj podlewa szczepki moje małe
i rolę żyźni.

Bo cóż, że z krwi mojej posępnej
jesień krzyczy —
pełna jest bólu i tęsknoty mętnej,
pełna goryczy.

Więc wpijcie we mnie — skały — zęby wasze,
krew moją pijcie —
poco mi ona w życiu tułaczem.
Poco mi życie?

— — — — —
Dziś jeszcze wrócę na jarmark,
gdzie wrzeszczą fałszywi prorocy,
gdzie bawią tłum linoskoczki,
wraz z żebrakami ulicy stanę przy wielkim śmietnisku,
będziemy walczyli o każdą szmatkę, kruszynę każdą,
by potem
znów lekkomyślnie dni swoje trwonić,
spalone, zeschtę, niespokojne dni.

A tu — jak pisarze zgięci nad pergaminem —
bracia moi po polach chodzą
i ryją święte, miłosierne pismo
paznokciem pługów.

III

Ale widziałem: mroczne są także oblicza braci moich — oraczy,
i smutek wieczoru zabija w nich zorzę jasnego poranku,
na wątych łodygach zachodu zawisły ich harfy milczące...
trawią ich myśli ciężkie, spalone ich trawi „wczoraj” —
więc milczą bracia, jak harfy.

Biada! Bo może nie jestem samotny z swą dolą w ich gronie,
może, jak ja, jest każdy z nich tutaj gościem — tułaczem,
może i ich modlitwy nie wysłuchała ziemia,
nie zaszeptala im w uszy miłośnie: Synowie moi...

Biada! Bo może czatuje na nich otchłań zdrażliwa —
bracia, dają wam siebie,
za most chcą wam służyć — przechodźcie!
Po ciele mojem, co wisi jak most nad przepaścią
przejdźcie do macierzyństwa korzeni —
bo chce wyciągnąć ku wam ramiona swe macierzyństwo
i dać wam trud i spoczynek.

R a c h e l

* * *

Zbudzić się, wiedzieć: to sen i mara,
to trwoga tylko tak dzwoni —
znowu, jak wczoraj w oczy twe patrzeć
i dłoń twoją czuć w mojej dłoni.

Wiedzieć: jesteśmy wierni młodości,
wierzyć: uczucie jest szczere.
Cieszyć się: słońce nie zaszło jeszcze —
świeci nad naszym Kinereth.

Cieszyć się: łączy nas nic, jak dawniej —
wiąże nas, dwoje ludzi.
Odetchnąć: sen to był tylko okrutny.
Boże mój! Zbudzić się — — — zbudzić — — —

G r u s z a

To figiel wiosny... pewnego pięknego poranku
budząc się widzisz, że grusza
tysiącem kwiatów załśniła;
wiesz doskonale: góra, co legła jesienią na piersi
w mig się skruszyła.

Rozumiesz? Nie można zawsze plawić się w smutku,
bo zwiędł mały kwiatuszek
jakiś jesieni —
w czas kiedy wiosna jest pieszczotliwa i kładzie cichutko
prawie pod same okno — ogromny, wonny wieniec.

E s t e r a R a w

M o d l i t w a k o b i e t y

Postanowiliśmy drogie ciężary
nieść za życia.
Niechaj nam wierność światłem będzie przydrożnem,
niechaj nam rzewna i czysta
dnem i nocą przyświeca;
i niechaj dzieci nasze wyrosną
na ludzi dobrych, i ludzi pięknych;
by burz nie zaznały,
ni krętych ścieżyn.

Spraw, by tak stało się — Panie !

* * *

Dobrze jest żyć
w blasku oczu twoich jasnych,
gdy patrzą — pręży się ciało i pragnie.
Jesteś jak eukaliptus po burzy :
zmęczony, mocny i jeszcze rozedrgany wichrem.
Głową do piersi ci sięgam,
a twoje dobre oczy
ciepło spoglądają na mnie.

Abraham Szlionski

I stało się...

Fragmenty z poematu

Golusie, pytaj jak wiedzie się synom
twoim, wybrańcom, najlepszym z najlepszych,
tym, którychś wysłał do swojej ojczyzny.

Cieszyli się twoi synowie Sjonem,
złotem mieniły się płodne łany —
lecz błogosławieństwo i płodność pól
wzbudziły ciemną, morderczą zawiść.

A ci, co władzę mają w swem ręku,
kłamstwem potwornem nas oszukali,
wydali kraj nasz na łup drapieżcom,
a sędzie zbrukali swą dłoń.

Pisać będziemy o hańbie tej w księgach,
czerpać z niej będziemy moc niespożyta.
Oto się starły podstęp z postępem
i kruk z gołębiem w górach judejskich —
kamień rzucono na szczere złoto.

Jeruzalem leży w pośród gór,
złote są góry i szczyty ich złote,
bo tam stąpali prorokowie boży,
bo tam chodzili Lewici, —
kroki ich święte słychać dziś jeszcze.

Dziś, gdy wędrowiec w ślady ich stąpa
i widzi głązy tak rozsypane,
jak rozsypane są kości w dolinie
Jechezkiela.

Woń życiodajną wędrowiec wdycha
i wieści nam z upojeniem:

„Kamień na kamień — dom zbudujemy;
dom obok domu — dzielnicę wzniesiem;
nową dzielnicę dla Jeruzalem,
przedmieście stworzym Wiecznemu Miastu.”

Biada! złupiono drogi zakątek,
w białej dzielnicy hulata dzicz —
tam, w Mieście Księgi,
w mieście pokoju,
w Talpijoth — dzicz.

Jeruzalem leży wpośród gór,
a na stokach — arabskie wsie —
drapieżce gnieźdzą się w skalnych szczelinach,
a Wieczne Miasto — gołębicą.

Sępy rzuciły się na Jeruzalem,
żmije hoduje kraj najpiękniejszy.

Jeleniu żydowski !
Biada ! oto chcą rogi ci ściąć.

Sześć miast jest w Palestynie,
sześć miast, —
jednem z nich — Hebron w ziemi judejskiej.

*Leżą tam praojcowie
w mieście najstarszem ze wszystkich;
wśród grodów Wschodu — gród to najpierwszy.
Olbrzymy ongiś mieszkali w nim.*

*Miasto biblijne, spuścizna synów Arona —
to Hebron — tam święte pieśni, odwieczne pieśni
po dzień dzisiejszy się śpiewa.*

*Biada ! przekłete zostało Hebron;
na starożytny gród padła klątwa;
przekłeto Hebron
i jego mieszkańców;
w Sodomę zmienił się gród prastary,
w mieście, gdzie leżą groby praojców
tak hulał pogrom, jak w Proskurowie.*

Gród naszych przodków stał się jaskinią zbродniarzy.

POEZJA ŻYDOWSKA

Tłumaczyli:

MAURYCY SZYMEL
SAUL WAGMAN

Aron Cejtin

Koń na deszczu

*Kto w tłoczącym smutku miastem szedł
i spoglądał, jak w deszczowy dzień,
pod marcowym niebem, człapiąc w dżdżu,
błock marcowych ugniatując czerń —
w swym ślepisku umęczony koń
przepaścisty, ludzki dźwiga ból.*

*Kto na chwilę wtedy wstrzymał krok —
i bezkresną mękę, boleść, smęt,
i milczące rabstwo, cichą dań,
i przeklęty, potępieńczy znój,
i myśl głuchą: taki już mój los —
w dwuzrenicach konia czytał wskroś,
ten aż w lonie trzew — po jaźni głęb —
ten po mózgu krew — po kości szpik —
nagle wyczuł wielką zgrozę, lęk,
straszną nędzę, czym jest żywy twór,
ten z daleka dojrzał wielką dłoń,
co w żelazny skruwa tańczuch — los,
istność ludzką i zwierzęcą współ.*

*I odkryta mu przemiany tajn.
Ludzie — konie. Gdzież różnica tkwi?
Któż docieknie? Za dziesiątki lat
może też ja sam, przechodzień miast,
co spogląda, jak koń pada z nóg
wśród marcowych dżdżów, deszczowych chłost,
sam zaklęty właśnie w koński kształt
niewolniczo zniżej mokry grzbiet
przed przechodniem slotnych, błotnych miast,
co w tłoczącym smutku będzie szedł.*

Sekciarski wiersz miłosny

Poza rzekami ciemnymi
rząd tratw popłynął w noc —
z ogniami cię zrównam złotemi,
na rzekach w głęboką noc.

I sen mój o wybawieniu,
i radość moją i ból,
kładę przed twemi pełnemi
szyjami łabędzi dwóch —

— u twoich nagich nóg.

Przyjdzie zbawiciel-człowiek
przez miłość, łono i noc —
o, ognie na rzekach płowych,
o, śpiewy na tratwach w noc!...

S t a c c a t o

Duchy na dachu. Drzy w latarni gaz —
tej oto nocy.

Księżyc za murem nagle zgasł —
tej oto nocy.

Chuda latarnia rudo spoziera —
tej oto nocy.

W suterynie ciemnej człowiek umiera —
tej oto nocy.

Kamienice czuwają. Rżnie wiatr — psiamać! —
tej oto nocy.

Będą się nieme nietoperze śmiać —
tej oto nocy.

J o s e f K i r m a n

Gdy twarz mojej matki...

...A gdy się pokryła twarz mojej matki poduszczkami obrzęku
i coraz głębiej zapadały się jej oczy,
czyż obchodziło to kogoś — —

...a gdy pożółkłem z głodu rękami kładła na swoje kolana
kościstą, mdlejącą głowę braciszka mojego,
a u jej stóp tuliła się do ziemi
słostrzyczka moja
z oczami głodem zamroczonemi,
czy wiedział ktoś o tem?

...a kiedy ojciec mój utracił gospodarstwo
i wygłodniały wyszedł na ulicę,
by stare swoje ciało sprzedawać jako tragarz,
czyż się użalił ktoś nad nami — —

...a teraz ja — ich nędzy dziedzic,
tułam się wśród obcych
i nikomu o sobie nie mówię.

Lecz nie znajduję spokoju
w zbolącej myśli mojej —

więc chodzę, chodzę ulicami
z stłamszonym krzykiem, co się z głębi rwie
i głowę rozsadza — — — mamo!

S i o s t r y

Ocknęły się dziś siostry moje,
 obłąkane snem,
 śnać ciążył im ogromny sen o świecie —
 więc siedzi jedna na kraje łóżka
 z załamaniem rękoma,
 a druga w głąb poduszek wtula twarz,
 tak głęboko,
 jak głęboko leży we mnie ból,
 skąd rwą się słowa — blade, chore siostry —
 przestraszone snem.

Za wcześnie pukał sen mój dziś
 do jawy wrót zawartych —
 same od siebie otwarły się odrzwia —
 więc nago wyskoczyły z łóżka siostry moje,
 z łoża boleści poleciały w świat.

A teraz lecą obłąkane,
 w noce świetliste, rozgwieżdżone,
 zrozpaczone gonią
 pod bramami zawartemi,
 zawartemi krocą zamków —
 gonią jawę. —

Ocknęły się dziś siostry moje obłąkane snem.

R a c h e l H. K o r n

K w i t n ą m e w a r g i...

Kwitną me wargi rezedą twojego imienia,
 me sny, jak gołębie wiszą nad dniami twojemi —
 z nad płotów ogrodu mojego czekania
 godziny się chylą ku tobie gronami ciężkimi.

Poprzez skiby mego życia wiosennie ma krew
 i przejrzystszą się staje tęsknota, gdy sierp się nachyla ku kłosom:
 może nie wiesz jaką woń ma lato — —
 przynoszę ci ją w woni moich włosów.

Kwitną me wargi rezedą Twojego imienia,
 palcom mym śni się twoje ciało — kochaniem,
 więc idźże me serce ku tobie długimi schodami lat
 i przepławia noce — wołaniem.

T o b i e...

W samym południu twojego życia
 stoję,
 jak pochylony pełnią kłos w pośrodku pola,
 co wrasta w złotą jawę nadchodzących dni.

Liliowemi dzwoneczkami kwiatów
 gra powietrze na dalekich łąkach —
 lato pachnie gorzką wonią dzikich maków,
 parującym żarem ziemi
 i włosami twojemi.

A kiedy dzień rozplata swoje blond warkocz
 i wieczór zbiera perły z ros,
 pada me brunatne ciało do twych stóp,
 jak przed żniwiarzem przełamany kłos.

A. L e j e l e s

Z a m k i

Zamki —

zamki kowane z żelaza, z granitu,
 zamki wzniesione z marmuru, z malachitu,
 zamki odlane z bronzu, ze stali.
 zamki, zamki, zamki
 w nieskończonej dali.

Zamki —

biblioteki i muzea,
 monumenty, mauzolea,
 kościoły, tury, synagogi,
 marmurowe ołtarze, kamienne bogi —

wszystkie zamki —

za nieskończoną dalą
 w gruzy się walą — walą — walą.

Lecz moje zamki,
 kowane ze snienia —
 łaknienia — pragnienia —
 odlane kręgi
 z dziennej łazęgi,
 z nocnej włóczęgi,
 z rojeń,
 upojeń —
 wzniesiony kamień
 mych omamień,
 strzelisty płomień
 mych oszołomień.

Me widziadła

senne, marzenne,

dzierzgane,

tkane

z miesięcznej pobiałej, z słonecznej pozłoty,

z serdecznej tęsknoty,

co loty

opromienia krwi łuną —

moje zamki

nie runą — nie runą — nie runą.

N e w - Y o r k

Metal. Granit. Beton. Wrzaski. Wrzawa. Wrzenie.

Auto. Aero. Kolej wzwyż i wzníž.

Burleska. Groteska. Café. Kino-mżenie.

Dynamo-elektra. Zgrzytliwy, świszczący spiż.

Zimne, obce twarze, wrogie spojrzenie,
 bez „dzień dobry”, śmiechu i bez ciszy.

I głucha samotność i nieme cierpienie
 i ten dziki chaos — cwał wściekły i chyży.

Kałmen Lis

Na Wołyniu

*Na Wołyniu moim miłym i jedynym
rosną smukłe drzewa i wikliny —
rosną smukłe drzewa i wikliny
na Wołyniu mym serdecznym i jedynym.*

*Na Wołyniu moim miłym i wspaniałym
rosną mgły dmuchawców sino-białych,
rosną mgły dmuchawców sino-białych,
na Wołyniu moim miłym i wspaniałym.*

*Na serdecznym, jasnym mym Wołyniu
żarem złoci słońce krew dziewczynom,
złoci słońce żarem krew dziewczynom
na jedynym i najdroższym mi Wołyniu.*

Jak błękitna niezabudka

*Jak błękitna niezabudka na zielonych oczeretach,
jak zazula roziskrzona słońcem swoich żniw najpierwszych,
zakochanym jest w Wołyniu, tak jak może być poeta
w rzewnych, śpiewnych dźwiękach mowy, w snach ujętych kształtem
wierszy.*

*W wierzbach zakochany trakt jest, dumający na uboczu,
mała jodła kocha sosnę, co wysoko trąca mgły,
a ja kocham Wołyn mój całym światłem moich oczu,
tak jak przestrzeń kocha czas, jak poeta — swoje sny.*

Icek Manger

Jam — wieczór

*Otom ja wieczór ukrzyżowany;
nie zginaj kolan przedemną —
i tak jest dość przed kim klękać
w dni pełne klęski i noce ciemne.*

*Gra krew wieczornej zorzy
na krzyżu mych ramion i w mgle;
gdyś przejrzał zorzę wieczorną,
poznałeś również i mnie.*

*Daruj mi uśmiech za mój smutek
i w drogę swoją — idź;
każde źdźbło trawy ma swój smutek
i w każdym drzewie śpi krzyż.*

*Gdyś poznał drzewo i smutek,
poznałeś także i mnie;
o, drzewo w zorzy milczące
na krzyżu rąk mych i w mgle!*

*Z wieczornych zwierciadeł noc ściera
drzewa swym czarnym oddechem —
słuchaj, noc dławi się cieniem,
śmiercią, wiarą i snem.*

*Człowieku drogą idący,
krzyżu w ostatnią godzinę dnia,
grzesz, bo grzech twój — to znak,
że jest o n, że jestem — ja.*



Ballada o białym chlebie

*Stoją matki ubrane ubogo
na ciemnym wieczornym progu.*

*Blade twarze, zgaszone od chłodu —
trzynastu apostołów głodu.*

*Zapada wieczór ponad ich głowami
księżyc, jak biały bochen chleba.*

*Wyciągają matki ramiona pełne łat
do białego chleba, skąd blask na twarze ich padł.*

*„Święty chlebie, spadnij na nas z gwiazd,
święty, żytni chlebie, wybaw nas.”*

*Przeptywa księżyc przez wszystkie okna późną porą
ponad dziecinne głowy, ponad nocne upiory.*

*Uśmiechają się dzieci w blasku białego chleba
i umierając cicho, idą prosto do nieba.*

*Księżyc w stawie blaski swoje spalił,
księżyc, który z nieba nie mógł spaść.*

*Stoją matki u progu pochylone w nocy,
mają chusty podarte i zgaszone oczy.*

*Odsiadują matki pokutę dni siedem,
odsiadują i płaczą — za białym chlebem.*

Kadja Mołodowska

O t w o c k

I.

*Wille bezładne — opuszczone wdowy,
płoty niskie —
nikt nie tu kraść nie przyjdzie nocą —
wąskie ścieżyny — zakrzepłe w parku palce,
drzewa — nagrobki
nad szczątkami wykrztuszonych płuc.
Chcho — — chcho — charczę kaszlem z otwartego okna
krtani dławiona —
tam ktoś kona.*

*Więc jest me serce tutaj gościem —
przestraszone gna naoslep krew.
37.³, 37.⁵.*

*Więc jestem tu ?
— tu, tu bije me serce.*

*Leży ziemia przyczesana, wygładzona śniegiem;
nikt nie dotknął jeszcze krokiem białej drogi,
tylko głos handlarza niesie się w powietrzu :
„Pomarańcze — — Pomarańcze — — ”
wtedy z okna się wysuwa ręka,
ręby zwiędły, pomarszczony liść :
„Proszę mnie”.*

II.

*My, chorzy tu —
przypadliśmy do bielei zimowego lasu,
jak zamieć chciwej szarańczy,*

z otwartemi ustami
 z przegniłym oddechem —
 niby skrzypce ochryple przeciągamy słowa.
 Komuż jesteśmy jeszcze potrzebne
 i cóż możemy
 my,
 zatulone w chusty,
 z gorączką w oczach.
 Sosny podnoszą wysoko gałęzie,
 byle nie dotknąć nas,
 byle ominąć, ominąć — —
 Więc gwałcimy las,
 wpluwając krew
 w pachnącą gąszcz korzeni.
 Dlatego chwieją się nocami drzewa,
 zadziwione, zatrwożone
 wielkim, rosnącym cmentarzem.
 Więc wzrostem swym strzelistym,
 tłustym korzeniem
 i życiem tysięcy lat
 przedrzeźniają konających,
 ich ostatnich myśli cień gasnący.

Więc i ja tu jestem,
 jedna z wielu,
 chora —
 owinięta chustą,
 stąkam wolno po śniegu wśród drzew
 i nikt nie wie, że to ja, ja.

Modlitwa

Nie daj mi zginąć —
 ja nie chcę upaść,
 jak kamień na twardy grunt.

Spraw,
 by nie uschły moje ręce,
 jak schną gałęzie drzew,
 gdy wichr odbija im ostatnie liście.

A gdy się burza przewala
 z wściekłością i wyciem
 i z ziemi porywa pył, —
 nie daj mi zginąć,
 jako tej muszce ostatniej,
 co trzepoce ze strachu
 na mglistej wilgoci szyb.

Lecz tak, jak kłosom dajesz ziarno
 w przedśmiertny czas,
 tak i we mnie zasiej
 twój żyjący oddech.

I. Papiernikow

Pasterzowi żydowskiemu

Nigdzie cię nie widziałem, żydowski pasterzu;
 pierwszy raz na ziemi tej jedynej
 słyszę głos twojej cichej fujarki.
 Oto świt się niebieski wysnuwa z namiotu,
 a ty swe stada pędzisz pod gwiazdę poranną.
 Pamiętam dawniej, na słowiańskiej ziemi,
 gdym widział ogorzałych, brunatnych pasterzy,
 zazdrościłem tej ziemi szczęśliwej.
 Bo pasterz opowiada o owcach,
 owce — o łąkach i polach,
 pola — o łąkach i kosach błyszczących,
 a kosy — o żniwie, o pełnych stodołach.
 Dlatego tyle zdrowej radości jest we mnie,
 gdy widzę cię, jak bosi, o włosach splewiałych,
 odpoczywasz pod cieniem rozłożystej figi.
 Wszak owce twoje szukają swej paszy
 po szerokich dolinach Emeku,
 dokąd zniża się twój baczny wzrok.
 A gdy dogasa już upalny dzień
 i płonie na iglicach galilejskich gór,
 jak ofiara na ognistym ołtarzu —
 gdy fujarka twoja śpiewa
 to co bliskie, to co nasze —
 kiedy białe owce schodzą z gór,
 napojone rzeźką wodą naszych źródeł,
 gdy posłusznie drepcą
 pełne rosy błękitnawej
 u wilgotnych twoich stóp —
 wtedy idzie też za tobą
 moja cicha, wieczorna modlitwa

i miłość moja do ziemi,
 do owiec —
 i idzie za tobą cichutka noc,
 jak czarny, posłuszny baranek,
 niosąc ci spokój i sen
 w twój mroczny, samotny namiot.

Ballada o zabłąkanym wielbłądzie

Z drewnianą uprzężą na garbie,
 z zerwanym u szyji powrozem,
 przyszedł wielbłąd zbłąkany
 nad morze:
 więc stoi samotny u brzegu, na piasku złocistym —
 z szyją do góry zadartą,
 z głową przechyloną,
 z brzuchem obwisłym jak wór —
 cały kolorowp-piaszczysty,
 jak figi prastarej
 nagi czworonogi pień,
 strzeże cienia własnego
 i trwa:
 długie nogi dziwacznie rozstawił,
 jakby chciał dalej iść.

Nawpół pochylony już siedzi mu dzień na grzbiecie
 i patrzy w oczy ciemne, wodniste,
 skąd płyną pod słońce łzy,
 pełne złota i ciepłych światel.
 Bo nad wodą pali się zorza
 i szumem straszy przedwieczerek,
 i przyptów i wichry i mgły — — —

Lecz zapatrżony w wód skłębiony prąd,
 odpowiada mu wielbłąd
 ruchem powolnym, leniwym,

że nie —

że nie ruszy się stąd.

Więc schodzi zeń dzień,
jak pobożny beduin, co śpieszy na modły —
a miejsce zajmuje wieczór
mglisty, niebieski jak sen;
gasi mu w oczach zachód
i fioletowo zapala,
żałość niewoli i ból — —
zadziiera więc wielbłąd łeb
i kręci nim dziko, uparcie,
że nie pomoże mrok,
ni wód skłębiony prąd,
że nie, —
że nie ruszy się stąd.

Więc zeszedł zeń wieczór,
a wsiadła nań noc,
jak beduin w czarnym, rozwianym burnusie, —
obwieszona ciemnością.

Wtedy nagle — jak pod brzmieniem ciężkiem
załamał się wielbłąd,
na kolana padł —
ogromnym brzuchem zarył w ziemię,
szyję wyciągnął, jak na rzeź
i pod głębokie, miękkie, ciepłe niebo
podniósł oczy pełne nocy
i szukał czegoś w świecącej oddali
i jakby bronił się przed kimś w powietrzu,
w lewo i prawo kręcił łbem:

że do karawany nie pójdzie,
że nie pomoże mrok,
ni wód skłębionych prąd, —
że nie, —
że nie ruszy się stąd.

Sz. L. Sznajderman

W i e r s z o m i ł o ś c i

Wyczerpali już robotnicy wszystko złoto dnia;
oto kształtem ujęte, w halach fabryk leży —
w czas gdy górnik wychodzi z mrocznych kopalń dna,
murarze schodzą wolno z zaciemnionych wieżyc.

Otwarta się wieczoru czerwona brama
i księżyc nam za oknem zarzuca kotwicę —
o, wpływmy tą gondolą na gwiazd oceany —
patrz! — ciche jest miasto w poblasku księżycy.

C h o r z y w k w i e t n i u

W sanatorjach budzą się chorzy rozwarciem oczu zmęczonych,
jasne wdychając powietrze, skąpane w kwietniowym świetle —
chore dziewczyny obnażają białe, krągłe ramiona,
by je zasnęły swem ciepłem słońca kojące nici.

Na salach jeszcze palą w białych kaflowych piecach,
ale do sosen otwarto wysokie okna naosćcież,
więc niesie się ostra woń wiosennego powietrza,
a chorzy są pełni ciszy i świeżej, dziecinnej radości.

Łagodnym i pieściwym jest w kwietniu słońca dotyk;
do chorych wraca młodość w namiętnym przypomnieniu —
w kwietniu taje cierpienie w zalewie czulej tęsknoty,
w kwietniu gasną chorzy — w rozmarzeniu.

Choć śnieg się jeszcze jarzy w bryłach kolorowych,
tryska już młoda zieleń słońcu na podściółkę —
więc się radują chorzy modlitewnym słowem,
a wiatr roznosi je po lesie jak jaskółkę.

...Gasną chorzy cisi, pełni światła:
do oszklonych werand puka płaszek —
dobrze byłoby im usnąć, gdyby nie dolatał
z mrocznej sali czyjś chrapliwy, straszny kaszel.

Zagłębie

Jak ciężkiem jest w miastach Zagłębia — powietrze!
Ołów pada na bruk ciemnym, zgęszczonym żwirem;
wszędzie — węgiel wilgotny, węgiel rozwiany na wietrze
i metal, wybuchający z obłoków wyjących syren.

Niema spokoju w izbach, niema gdzie ukryć głowy;
przez cegły rudawych ścian przecieka miasto w rozgwarze —
wszystko jest takie szorstkie, i takie bardzo surowe,
jak spracowane ręce roboczarzy.

Na słońcu osiada sadza obłokiem rdzawo-złotym,
bo światłu mgły skłębione wydęty stworzyły zator —
pochylają się ku ziemi rachityczne drzewa i płoty,
ku ziemi śliskiej i czarnej, ku ziemi bez trawy i kwiatów.

I tylko noce płoną wielkim, jasnym płomieniem,
co bije z huczących hut i w niebo mroczne wpada —
ciemność, podziurawiona błyskawicami czerwieni,
przelatuje po murach wysokich, po dachach, szybach, fasadach.

Bez przerwy wiozą pociągi węgla błyszczące głązy,
w dzikim turkocie kół, — w przestrzenie stumilowe —
pędzą od mety do mety zamglonym krajobrazem,
w ciemność, przeciętą liniami roziskrzonych szyn stalowych.

A nad Zagłębiem wisi niebo posępne w rozgwarze,
wiatr wyje nocą na drutach, w koślawych gałęziach chrzęści —
ludzie, idący drogą, mają chropawe twarze,
twarde, harde i głuche — jak zaciśnięte pięście.

Zecer Grysza

Jak ciężkie jest życie — skarży się towarzysz Grysza;
jest już bardzo zmęczony, ogłuszony stukiem —
lecz znowu muszą przebiec palce po klawiszach,
znow potknie elewator kilka wierszy druku.

Przed chwilą właśnie skończył składać długi bilans,
zaćmiony mnóstwem zer, „debetem” i „kredytem”,
a teraz się nad wierszem lirycznym nachyla,
łowiąc okiem rzędy cieniowanych liter.

Więc czyta sobie na głos wymuskane słowa,
pełne brzoź, w których księżyc świeci srebrnym nowiem —
i uśmiecha się Grysza i dorzuca znowu
świeże kawały ołowiu.

A na nich są wyryte wieści z starych gazet,
wieści niespokojne z miast całego kraju,
a teraz się przetopią w liryczny pejzażyk
i kto wie w co zmieni się ten wiersz — nazajutrz.

Więc znow do linotypu sęda zecer Grysza,
biorąc nowy rękopis. — Jest mu ciszej i lżej.
Wtem krzyk go grzmotnął w oczy, pomięszał klawisze:
„w kraju ogłoszono generalny strejk!”

Dziko skaczą mu palce zgrabiałe, szorstkie, czarne,
z radością ciska ołów, rękami drżącymi —
jak chłop, co wczesną wiosną wsiewa złote ziarno
w świeżo rozoraną, parującą ziemię.

I myśli Grysza, trąc czoło siwym świecące potem:
otom — żołnierz z pierwszych strzelający dołów,
karabin mój — to grzmiący, pędzący linotyp,
skąd lecą jasne kule — rozżarzony ołów!

Isroel Sztern

Wiosna w szpitalu

I.

A wy nie wiecie, jak świty tryskają, wschodzą i kwitną,
jak smutną płoną czerwienią wśród niemych korytarzy;
patrzcie! do zdrowych gór przylepia się noc błękitna
i olbrzymieje, jak blizna na bladej, obrzękłej twarzy.

Cóż wiecie wy, na ulicach, jaki słońce ma posmak,
gdy ostry nóż się wbija w ciała tajemne cieśnie,
(niczem ogrodnik, co w czas, gdy się przesila wiosna,
odcina krzywym nożem soczyste, czerwone czereśnie.)

I co znaczy noc, gdy krew przewala się w głębi i rzuca,
gdy się przechadza jak król i burzą kłębi w piersi —
wtedy w oknie tkwi niebo, jak sine, spalone płuco,
a księżyc stygnie na szybie — jak biała maska śmierci.

II.

I skądże ta miłość dziwna, co chodzi po sali jak lekarz
i serc przyspieszone tętno uchem uważnem bada, —
zbudziła się sala jak miasto, przestraszone krzykiem człowieka,
co bije z wszystkich bram i w ciemne ulice wpada.

Skądże ta miłość, co zwisa jak lampa przyćmiona nad salą,
i budzi wsnionych w swój sen, nocami nie daje spać —
usiedli cisi i biali, ciszą złączeni i dala —
patrzą — myślą — i nagle w słodki wpadają płacz.

I to, że wszyscy chorzy tak bliscy są sobie — łagodni,
jak poszczególne promienie, co wspólna zsyła łaska —
czy to nie stąd, że na świecie pełnym niedoli i zbrodni
oni są włodarzami najpiękniejszego miasta?!...

III.

Bo miasto szlachetnieje przy ostatnich kawałach krwi
dnia. Jak ciche ręce składają się sklepy, okiennice i drzwi —
miętko i mrocznie otwiera się rynek i dzwoni;
ktoś jest chory na niebie; leży w białym łóżku i płonie.

Chodniki kryją twarze, tajemnicą tchnące;
przechodniom jest ciężko; do niemych się tulą ścian,
matki trwożnie chłodzą dziecinne czoła gorące —
mury chylą głowy. Miasto tęskni. Kolos jest sam.

Więc szuka swojego domu; patrzy tam, gdzie góry wrastają
w krew —
i myśli: dzień jest na górze, a ja stąd muszę patrzeć, jak
chmury się palą;
— — — — —
lecz cóż wiecie wy, na ulicach, którym doby płyną jak wody
w przedwieczność,
czem jest jeden, jedyny dzień w cichutkim szpitalu!

IV.

Jak drzewa rosochate szliście przez nagie zagony;
ciężko zwiślały ramiona — gałęzie lodem oszklone.
Szedłem za wami jak zima po białej, zakrzepłej drodze;
poznałem ją razem z wami, o bracia moi ubodzy.

Długo męczył się dzień wśród ośnieżonych poddaszy;
noc wyła pocichu, jak czarny, bezpański pies —
wtedy zakwitłem ja — pielgrzym, jak łąka i pole wasze —
wyrosły nademną kamienie i trawy pełne łez.

A kiedy w słońcu rozbłysła pierwsza, łagodna godzina,
przylatywały jaskółki — dzień się pogodą zaczynał.
A teraz jestem przy was bogaty i bez żalu
ja — światło, smutek i wiosna w białym, cichym szpitalu.

PROZA
HEBRAJSKA

Tłumaczyli:

J. FRENKIEL
S. FRYSZMAN
D. LAZAR

SZ. I. AGNON

K A L E K A

I.

Woziwoda Obadja nie uskarżał się nigdy na swoje kalectwo. Gdyby nie kalectwo, nie zwróciłby zapewne uwagi na dziewczynę, którą wszyscy obgadywują. Jest jednak garbaty, przytem kuleje, zważył więc w możliwość ożenku z dziewczyną, któraby mu zupełnie przypadła do gustu; Szajnę Serył przeznaczył mu widać los. Cóż, że ją obgadują — przecież nie jedyna. Tak to już się w świecie dzieje. Obgadują dziewczynę dopóki nie wyjdzie za mąż. Niech tylko za mąż pójdzie, a już ją wszyscy uważają za cnotliwą. Najsamprzód kupi sobie wóz i konia, potem ożeni się z Szajną Serył i będą ze sobą szczęśliwie żyli. Przedewszystkiem chodzi o zdobycie konia i wozu, a o resztę mniejsza.

Od chwili, gdy Szajna Serył zgodziła się zostać żoną Obadji, spadł mu ciężar z serca. Obadja wie doskonale, że gdy raz wypróżni kubły — zarobi grosiaka, wypróżni jeszcze raz — znów grosiak, a „ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka”. A gdy mieszkańcy jakiejś uliczki nie potrafią — bez — niego — wykopać studni, rachunek wyrówna się w krótkim czasie, a koń pewny — jakbyś go już ciągnął za lejce...

Przy pracy Obadja jest pełen radości. Nie należy do rzędu biedaków, upadłych na duchu. Obadja nie gniewa się na służącą, gdy go kułakiem w garb zdzieli. Nie gniewa się też na nią, gdy mu powiada: „Uważaj Obadja, bo jak się wywrócisz, to mi dziurę wybijesz w podłodze twoim garbem”. Niekiedy Obadja rozśmiej się na to, lub nawet sam pożartuje. Wskutek tego ma zawsze tyle zajęć, że sobie ręce urabia po łokcie. Ludzie nie znoszą smutnych twarzy.

Obadja pozostaje z wszystkimi w przykładowej zgodzie, z wyjątkiem Rubena, który służy razem z Szajną Serył. Rudzielec ten nie

tylko, że sam goni za Szajną Serył, drażni w dodatku Obadję, obgadując ją.

„Mój drogi Obadja, — powiada, — uważaj-no przy ślubie, bo jak stłuczesz kielich pod baldachimem, to się twoja Serył przeleknie i jeszcze gotowa poronić”.

Obadja odcina mu się, jak należy. Wie, co ma odpowiedzieć. W każdym jednak razie bolą go te słowa — człowiek jest przecież tylko człowiekiem, a serce więcej czuje, niż się wypowie.

II.

Obadja odważnie wszedł do pokoju, w którym tańczono. Tańczący, zajęci sobą, nie zwrócili na niego uwagi. Mógł przeto Obadja spokojnie stanąć na uboczu. Mimo to nie podnosił oczu wyżej trzewików tańczących.

Na podłodze leżały porozrzucone pestki melonu i skórki od jabłek. Fajga-Lea wodziła rej w tańcu. Jej krzykliwy głos rozlegał się po całym domu. Co sobotę zwykła była urządzać zabawy taneczne dla służących z całego miasta.

Skłębione ciała tańczących ginęły w kurzu i dymie. Ogień trząskał w piecu. Obadja natychmiast dostrzegł w ciżbie swoją Szajnę Serył.

Czy zbliżyć się do niej? A nuż się obrazi?

Właśnie skończył się taniec i Obadja usiłował się precyzyjnie do swej Szajny Serył. Unosił ją jeszcze taniec. Na twarz opadała jej czerwona chusteczka. Obadja stanął przed nią. Gorąco jej było, więc powiewała chusteczką i zauważyła Obadję dopiero wtedy, gdy tuż przed nią stanął.

— Dobry wieczór ci, Szajno Serył, — wyrzekł Obadja trochę niepewnie, opierając się na szczudło. Poczł przytem przyjemny zapach, unoszący się z chusteczki.

— Dobry wieczór! — odparła ze zdziwieniem.

Obadja odrazu pożałował swego przyjscia; najchętniej by stąd uciekł. Cóż to za głupota: niech sobie potańczy, przecież nie jest jeszcze jego żoną. Po ślubie zmieni się z pewnością.

Gdy jednak popatrzył na jej pełne policzki, lśniące z podnie-

cenia, uczuł niezwykle gorąco, nachylił się do niej i szepnął:

— Proszę cię, Serył, nie zadawaj się z nimi. Nie wypada, Serele!

Fajga-Lea powiewała białą chusteczką na znak rozpoczęcia przerwanych tańców. Chłopcy wypluwali pestki melonu i każdy stanął przed swoją tancerką.

Obadja zniżył głos, jakby wypowiadając gorącą prośbę: — Serele!

Szajna Serył wpatrywała się w niego, jakby go ujrzała po raz pierwszy, i rzekła:

— Czy nie chcesz, Obadjo, abym tańczyła z nimi?

Z niezwykłą jak na niego stanowczością odparł: — Nie! nie chcę!

Szajna Serył nachyliła się ku niemu: — Więc, skoro tak, to zatańcz ty ze mną.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła.

Obecni zauważyli już Obadję, nic jednak nie mówili, gdyż liczyli się z Szajną Serył. Teraz, gdy Szajna Serył sama nim pogardziła, zaczęli mu dokuczać. Ten wytrącił mu szczudło z ręki, inny bębnił mu po garbie.

— Witaj gościu!

— To ci gość

— Może z nami zatańczysz?

Natychmiast kilka dziewcząt stanęło obok Obadji. Wyciągały ku niemu swe nagie ramiona i śmiejąc się tarosiły go ze wszystkich stron.

— Obadjo, zatańcz ze mną!

— Nie — ze mną zatańczy!

Nagle dał się słyszeć głos Rubena, który w tej samej chwili rzucił się na Obadję.

Zaraz też podbiegli do niego dwaj inni; wyciągnęli mu szczudło z ręki, siłą posadzili go na niem i podnieśli w górę z krzykiem i naśmiewaniem.

Obadja walczył resztkami sił. Ciężko oddychał i obiema rękoma trzymał się kurczowo szczudła, które mu wreszcie zwrócono.

Ruben znów rzucił się na niego i wyrwał mu szczudło z rąk.

Nasrożył swe rude brwi, twarz jego wyrażała taką wściekłość, że Obadja zadrżał i krzyknął:

— Bracia, puście mię, cóżem wam zrobił złego!

— A cóż mi ci złego robimy?

Rudy schwycił szczudło, usiłując przełamać je na kolanie. Szczudło było jednak twarde, aż kolano pod niem zatrzeszczało. Ból wzburzył w nim krew. Ze złością cisnął szczudło do pieca. Płomienie objęły je natychmiast.

Obadja zatrzepotał jak tonący; zamroczyło go i upadł zemdlony. Przerwano tańce. Bliżej stojący odsunęli się w przerażeniu, inni przybiegli z zaciekawieniem. Gospodyni zerwała się z krzykiem, schwyciła dzbanuszek octu, aby obmyć czoło omdlałego. Jej mąż rozluźnił mu pasek, rozpychał obecnych z krzykiem:

— Mordercy, czegoście chcieli odemnie? Zatruliście człowieka w moim domu!

Obecny przytem pomocnik felczera zbliżył się do Obadji i chlusnął na niego zimną wodą.

Szajna Serył wyrwała się z ramion tancerza, zbliżyła się do Obadji i lekko nachyliła się nad nim. Obadja otworzył nieco oczy — ona, Serył, tak blisko niego. Jej ciepłe piersi dotknęły jego ciała. Skulił się. Myśli zaczęły mu się mącić.

Zamglonym wzrokiem przygląda się ludziom, którzy się nim teraz opiekują.

Po upływie pół godziny przewieziono Obadję do szpitala.

III.

Obadja nie odniósł poważnych ran. Po dwóch, trzech dniach mógłby wstać i wrócić do pracy. Obadja miał zawsze twarde życie, cóż więc dla niego znaczyło kilka uderzeń. Ale Obadja przeziębził się i nabawił zapalenia nerek.

Twarz jego zeszytywniała, grubiała i upodobniła się do szkła. Powieki jego ociężały, a wzrok zamglony.

Obadja leży w czystym łóżku, jak królewicz; dostaje smaczne potrawy. Lekarz rozmawia z nim łagodnie, „siostry” odnoszą się do niego przychylnie. Kupili mu szczoteczkę do zębów i biały pro-

szek, a gdy sobie czyści zęby, miły zapach wypełnia jego usta i pogłębia mu oddech. Do rąk dali mu jakąś maść. Odkąd jej używał, znikają mu guzy i rany, a skóra stała się gładka, jak u nowonarodzonego dziecka. Gdyby go tak Szajna Serył teraz zobaczyła, nie wstydziłaby się jego napewno.

Obadja czekał na odwiedzin Szajny Serył. Nic wielkiego przecież, tylko pół godziny drogi do szpitala.

— „Czy przyniesie mi coś w podarunku?” — zabroniono coprawda przynosić chorym cokolwiek z miasta. Gdyby jednak otrzymał od niej jakiś podarek, mógłby go potem pokazać sąsiadowi: „Patrzcie, dostałem to w podarunku od Szajny Serył”. Codziennie, gdy nadchodzi pora odwiedzania chorych, poprawia swe włosy, brodę, kładzie się na łóżko i czeka na jej przybycie.

IV.

Obadja przechodził drogą, rozglądał się wokoło i ujrzał jakąś postać kobiecą. — Szajna Serył, czy kto inny? — Tak, to Szajna Serył. — Ależ nie, to nie ona... — A może omyliłem się? — Napewno się omyliłem. Ani dziś święto, ani sobota, aby Szajna Serył mogła sobie pozwolić na siedzenie przed domem. Czyż nie ma zajęcia. Była pewnie chora, dlatego też nie odwiedziła go w szpitalu. Nienapróżno zarzucała mu sklepikarka: — Szajna Serył chora, a on kręci się niby hrabia. Wchodząc do sklepu, miał przecucie, jakby nie wszystko było w porządku. A może jednak po tem wszystkim dojść jeszcze do niej i powiedzieć: „Uważaj Serele, jesteśmy jakby jedno ciało; jeżeli w ciebie zachoruje choć jedna część, ból rozchodzi się po wszystkich członkach. Ponieważ chorowałem, zachorowałaś także. Bogu dzięki, że razem wróciliśmy do zdrowia. Widzisz Serele: bardzo mi żal, żeś chorowała, ale to już minęło.”

A może się omyliłem; tam na progu siedzi może obca kobieta. I rzeczywiście: to nie Szajna Serył, przecież dziecko trzyma przy piersiach! A może przyjęła zajęcie przy dziecku w domu sklepikarza? A może on niedowidzi? Powiadają ludzie: nie poznał głupiec swej żony!

Obadja stał spokojnie, ale twarz jego wyrażała smutek i rozczarowanie. Sądził, że przyszedł do Szajny Serył, ale gdy zbliżył się do siedzącej u progu, znalazł inną. Chciał zawołać ją po imieniu, aby się ostatecznie przekonać, że „jej” tu niema, ale dręczyły go wątpliwości. Spoglądał na długi cień siedzącej na progu, oddzielał go tylko krok od niej.

Wokoło cicho; kobieta na progu nie odwróciła nawet głowy.

Zbliżał się wieczór. „Szames” wyszedł na rynek, wołając: „Na modlitwę! do bóżnicy!” Nogi same postąpiły naprzód. Bogu dzięki, że zdarzyło mu się to w sobotę, gdy ma na sobie odświętne ubranie, w którym wyszedł dziś ze szpitala. Zbliżył się do domu i zobaczył: to Szajna Serył siedzi na progu, pochylona, podając dziecku pierś. Obadja obracał szczudłem i patrzył przed siebie. Przypomniawszy sobie kupione w sklepiku cukierki i włożył rękę do kieszeni. Szajna Serył podniosła głowę i zakryła odsłoniętą piersi. Cukierki rozplływają mu się w rękę.

Dziecko, oderwane od piersi zaczęło płakać. Szajna Serył znowu podała dziecku pierś i warknęła:

— Ssij, bękarcie, i udław się!

Dziecko ssalo, trzymając wszystkie dziesięć paluszków na piersi matczynej. Jego rude włoski wyglądają z pod czapeczki. Szajna Serył spogląda na Obadję i na dzieciaka. Jej zielone oczy ciskają błyskawice gniewu. Cukierki rozplływają się w rękę Obadji, otworzył szeroko usta. Przełożył cukierki do prawej ręki, a szczudło — do lewej. Dzieciak nasycił się trochę i zdjął rączkę z piersi. Ale Szajna Serył wciąż jeszcze gniewna. Obadja kupił cukierków dla Serele, ale teraz onieśmielił go widok jej gniewnej twarzy, nachylił się więc i położył je na małej rączce dziecka.

ASZER BARASZ

PIERWSZE SPOTKANIE

Fragment z powieści

Nazajutrz rano Zalman Lejb zapytał swojego syna Barucha, czyby nie zechciał pojechać z nim do lasu. Onegdaj zakupił bowiem dwieście stosów szczap, które należy oznaczyć; sprzeda je dopiero po kilku miesiącach, zimą, gdy drzewo drożeje, a przewóz po śniegu jest dogodniejszy. Baruch jednak ociągał się z wyjazdem. Był bardzo zmęczony podróżą, a przytem nie spieszył się do interesów. Pragnął odpocząć przez kilka dni.

Po tych słowach, poczuł nagle niepokój, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Czuł, że jakaś ukryta siła przykuwa go do domu. Czyżby powodem była jego siostra przyrodnia? Dziewczyna urosła i wyładniała w ciągu roku, odkąd jej nie widział. Miła różowość pokryła jej twarzyczkę, a policzki zdobił delikatny meszek. Jest ona bardzo subtelna, niepodobna do kłótlivej, zgoła niekobiecej, przebiegłej i złej Dobryś.

Wśród tych rozmyślań przypomniawszy sobie, jak to ojciec nieraz żartował z „ciotką”, że dzieci ich pobiorą się, gdy dorosną: starszy ze starszą a młodszy z młodszą. Baruch poczerwieniał na wspomnienie tych żartów i zawstydzony uśmiechnął się zlekka. Nie, nic podobnego się nie stanie. Przecież to jakby siostry. Kuba też się nie zgodzi.

Zaprzągnął konia i wyprowadził go z zaułka przed dom. Jedynie najmłodszy, Nachumel, pojechał z ojcem szmat drogi — do uliczki, prowadzącej do „chederu”.

Baruch z Kubą spożyli razem śniadanie. Kuba docinał Baruchowi z powodu jego stosunku do Dobryś (w istocie nic do niej nie czuł), a ten odpłacał mu pięknem za nadobne. Kuba wrócił do swego pokoju, do swych książek i pism, a siostry, które ukończyły

właśnie porządkowanie pokoi, poszły do koleżanek; córka z pracką prały w dalszym ciągu na podwórzu. Baruch został sam. Znowu nie wiedział, co ze sobą zrobić. „Chciałem odpocząć — myślał prawie głośno — ale nie mam spokoju. Trzeba trochę wyjść na ulicę”. Włożył czapkę, oczyścił ubranie i wyszedł. Po drodze skręcił w uliczkę, prowadzącą do domu pana Końskiego.

Jeszcze po drodze usłyszał stukot wiejalni. Wiedział, że pan Koński przygotowywał każdego lata kilka wiejalni. Heblował je i malował, a jesienią sprzedawał chłopom na jarmarkach. Jeśli wierzyć jego słowom, to tylko on jeden potrafi sporządzać wiejalnie; on to udoskonalił je do tego stopnia, że nikt ze stolarzy mu w tym nie dorówna. Baruch wspominał swe dzieciństwo, które spędził w tym domu i godziny w warsztacie pana Końskiego, spędzone na przyglądaniu się jego pracy. Ileż to razy prosił stolarz, aby mu zezwolił nogą obracać koło. Pamiętał migotanie płomienia, który wydawał lekki syk, przyjemny dla ucha — i długie rozmowy z panem Końskim. Pan Koński nie grzeszył zbytnim rozumem, miał jednak kilka zalet: był punktualny, sumienny, a przytem po dziecięcemu szczery.

Snując te wspomnienia, Baruch ujrzał przed oczyma postać Frani z czasów, gdy była jeszcze maleńką. Zwykł był głaskać jej główkę, pokrytą lnianymi włosami i zrywał dla niej kwiatki z pod płotu. Dziecko słodko szczebiotało i śmiało się. Razu pewnego posadził ją sobie na ramieniu, ale ona rozgniewała się bardzo i podrapała mu całą twarz. Odtąd już nie brał jej na ręce, lecz jak dawniej obdarowywał ją kwiatami i zabawkami.

Frانيا zaczęła chodzić do szkoły. Nie zbliżała się już do Barucha, jakby był dla niej zupełnie obcy. Przechodząc obok niego z tabliczką i teczką pod ramieniem, pokazywała mu koniuszek czerwonego jęczyczka i stroiła grymasy. Raz nawet rzuciła mu słowo „Żyd”! To wywołało w nim szczery gniew i w ciągu kilku tygodni wstrzymywał się od spoglądania w jej stronę. Teraz, jakże urosła, jakże wyładniała!

Brama warsztatu pana Końskiego była rozwarta naoscięż. Zajmowała całą wysokość ściany w stodole i śpichrze, w którym

mieścił się warsztat. Za wysokim progiem poniewierały się trociny i wióry, widocznie były także części maszyn i przyborów stolarskich. Tokarnia wysoka i wąska stała w kącie jak niegdyś, a długie, stolarski stół — pośrodku. Pan Koński obracał przez kilka chwil rączką, wykończoną dopiero maszyną. Potem stanął przed maszyną z założonemi na piersiach rękoma i przyglądał się jej z wielkiem zadowoleniem, chociaż jego suchotnicze piersi podnosiły się i opadały, jak miech.

— Szczęść Boże! — zawołał Baruch od progu.

— Bóg zapłać! — odpowiedział pan Koński. Wejdźcie, dobry sąsiedzie. Zaledwie przed pół godziną wykończyłem nową maszynę. Ładna sztuka, jakom żyw i Boga kocham! Nigdy mi się jeszcze tak nie udało.

Znów ujął za rączkę i z całej siły puścił w ruch wiejalnię. Maszyna wydała stukot, miły dla ucha, jak niegdyś, a powstały wiatr zdmuchnął trociny, wióry i kurz aż pod ścianę.

Baruch przestąpił próg i wnet poczuł woń świerkowych desek, zmieszaną z zapachem przegotowanego kleju. Dotknął palcami gładkich ścian maszyny, przez chwilę jej się przyglądał, poczem podniósł oczy na dach, pozbawiony pułapu.

— Dziesięć takich maszyn stoi gotowych w śpichrze, wszystkie jednakie, jakby z jednej matki zrodzone. Jakom żyw i Boga miłuję! Chce je może pan Segal zobaczyć?

— Z wielką przyjemnością, panie majstrze — odpowiedział Baruch.

— Franiu! Franiu! — zawołał pan Koński swym krzykliwym i ochrypłym głosem.

— Czego chcesz, tatusiu? — odpowiedziała Frania melodyjnym, cieniutkim głosikiem.

— Przynieś „dziecko” klucz od śpichrza.

— Za chwilę, tatusiu.

Po chwili w drzwiach ukazała się postać paniienki.

— Ach, przepraszam — cofnęła się od progu warsztatu z okrzykiem zdziwienia — gość u taty, a ja — nie jestem ubrana...

Wywijala swemi małemi, bosemi nóżkami, jakby starała się je

ukryć pod krótką sukienką, a twarzyczka jej poczerwieniała, jak piwonja.

— Nie szkodzi, panienko — powiedział Baruch niepewnym głosem — nie gość, ale syn sąsiada. Niech się panna Frania mną nie liczy. Przechodząc, wstąpiłem na pogawędkę z panem Końskim. Już od lat nie rozmawialiśmy ze sobą...

Panna Frania położyła duży klucz na progu, rzuciła na Barucha prędkie, przenikliwe spojrzenie, odwróciła się i uciekła w stronę domu.

— Bez uroku! Urosła panna Frania — odezwał się Baruch do pana Końskiego, idąc w kierunku śpichrza.

— Tak, Bogu dzięki, urosła i wyładniała. Jadwiga i ja mamy z niej pociechę. A jaka mądra! Jedna na całe miasto. Jakom żyw! A może jedna na całą okolicę!

Otworzył skrzydła bramy i Baruch ujrzał dziesięć nowych maszyn, ustawionych jedna nad drugą, na ubitem klepisku śpichrza.

— Co tydzień je czyszczę. Popatrzcie! Jeżeli znajdziecie pajęczynę choć na jednej z nich, płacę dziesięć złotych. Ani odrobiny pyłu nie znajdziecie. Ten rodzaj rączki wynalazłem dopiero w tym roku — mówił pan Koński. — Jest ona cieńka i jakby stworzona dla dłoni, jakby ulana dla niej. Spróbujcie sąsiedzie, spróbujcie! No, czy nie powiedziałem?

— Nadzwyczajne! — zachwycił się Baruch. — Szkoda tylko, że pan Koński nie ma większego zbytu dla swoich maszyn. Gdyby pan tak mieszkał we Lwowie, z bogaciłby się z pewnością. Po upływie dwóch lat mógłby pan sobie kupić z pół kamienicy. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Tak, tak. Człowiek uzdolniony ginie w „małej dziurze”, ginie całkiem.

A po chwili przykrego milczenia:

— Nie bierzcie nam tego za złe, sąsiedzie, że gniewaliśmy się na was wczoraj za kociaka. Drobnostka! Ale przywiązaliśmy się do zwierzątka. Jakże troszczyły się o nie pani Jadwiga i Frania! Wiemy, że stało się to przez nieuwagę.

— Zrozumiałe, że przez nieuwagę, — rzekł Baruch. — Wzaminian za to przyniosłem pannie Frani innego kociaka. Wystarałem

się u inkasenta podaktowego, pana Bułaka. Jesteśmy przyjaciółmi z dawien dawna. Teraz już panna Frania chyba się nie martwi. Panna Frania jest mądrą dziewczyną. Komu zależałoby na brudnym kociaku!

— Wybacz mi mój sąsiad. „Chruszczyk” nie był brudny. Kociak był czysty, bielszy niż mleko.

— Przepraszam, wydawało mi się, że był brudny. Gdyby był czysty, nie byłbym go może uderzył. Co kosztuje taka maszyna?

— Co kosztuje? Gdyby te brudne chłopcy zapłaciły ile jest warta, chodziłbym w atlasach. Ale rozumiecie... — drapie się w głowę. — Ci, którzy chcą kupić — to biedacy, a ci, którzy mają za co — to sknerzy, wyzyskują biednego rzemieślnika.

— Dobrze, że pan Koński nie ma dużo dzieci. Tylko jedna córka...

— Jedna córka! Ale takiej szlacheckiej córce wiele potrzeba. Wprawdzie nie domaga się, ani nie żąda niczego. Zbyt dobrze wychowana. Jednak obowiązkiem ojca jest dostarczyć jej tego, co potrzebuje. Piękna nóżka domaga się ładnego pantofelka... a to kosztuje. Oj, pieniądze, pieniądze. Dobrze panie Segal, że ojciec pański wspomaga mnie czasami małą pożyczką. Gdyby nie to, nie dałbym sobie rady.

— Słuszność macie, sąsiedzie, — rzekł Baruch, — na nic się nie zda pracowitość, ma nic zdolności — w takiej dziurze...

Łzy ukazały się w niebieskich oczach pana Końskiego, przycisnął ręce do piersi i ciężko zakaszał.

Baruch nie mógł ustać już na miejscu. Pragnął wyjść na ulicę, pójść w kierunku małego domku; może ujrzy Franię w ogrodzie, lub w oknie. Starał się pocieszyć pana Końskiego i obudzić w nim nadzieję na przyszłość. Poczem pożegnał się z nim, zapewniając, że go często będzie odwiedzał.

Ledwo zwrócił się w kierunku domu zobaczył Franię, przechadzającą się po ogrodzie.

Miała na sobie jasną sukienkę, nową konewką polewała kwiaty. Suknia jej lekko uniesiona, odsłaniała małe, białe stopy. Śpiewała jakąś smętną piosenkę.

— Szczęść Boże — wyrzekł Baruch przytłumionym głosem.

— Dziękuję!

— Czy trzeba już polewać kwiaty? Czy tu onegdaj nie padał deszcz?

— Kilka kropel. Widzi pan, przyzwyczaiłam moje kwiaty do codziennego podlewania. Jeżeli nie podlewam je, choćby dzień jeden, zwieszają liście, jakby zwiędły... Już nie pożyją długo! Jesień za pasem. Spójrzcie, już liście żółkną, starczy tylko dotknąć, a spadną.

— Wypieszczone kwiatki! Trzeba je postać do wojska...

Panna Frania postawiła konewkę na dróźnie i poprawiła sobie włosy. W międzyczasie odchyliły się rękawy, ukazując młode, ładne ramiona. Spytała z przymkniętymi oczyma.

— A pan już skończył swoją służbę wojskową?

— W zupełności, panno Franiu, pozostały mi jeszcze ćwiczenia co dwa lata.

— Czyż nie wydaje się panu dziwnym powrót do cywilnego życia?

— Prawdę powiedziawszy: obco mi było we wojsku...

— Mój Boże! a to dlaczego? Przecież życie we wojsku jest takie piękne. Mundur wojskowy bardzo mi się podoba.

— Mundur, czy jego właściciel?

— Wszystko zależy od tego, kto od kogo ładniejszy. Ha! Ha! Ha!

Śmiejąc się, zalotnie odwróciła głowę. Baruch oparł się o zielone sztachety.

— Jaśmin ładnie rozkwitł w tym roku.

— O, tak, urosł w trójnasób. Kwitnie prawie przez całe lato.

— Jaki przyjemny zapach! Mój kapitan we Lwowie miał duży krzew jaśminu o białych i żółtych kwiatach. Razu pewnego zawezwał mnie kapitan, abym skopał ziemię naokoło krzewu. Miał on młodą żonę...

Frانيا przerwała mu:

— Wie Pan, nigdy nie byłam jeszcze we Lwowie. Dużo tam pewnie ładnych rzeczy.

— Bardzo dużo, ale tego wszystkiego, o czym opowiadają tu u nas, na prowincji — w rzeczywistości niema.

— Naprzykład?

— Gdy byłem dzieckiem, opowiadano mi, że we Lwowie na jednym z bulwarów jest dziwna jakaś studnia, do której wchodzi się po czterech marmurowych stopniach. Na studni stoi piękna, naga całkiem kobieta, wykuta z kamienia...

Gdy wstąpi ktoś na pierwszy stopień, tryśnie strumień wody z jej oczu; gdy na drugi wejdzie — woda tryśnie z jej ust, gdy na trzeci — ociekną wodą wszystkie palce jej rąk i nóg; gdy jednak postawi nogę na czwartym stopniu — schyli się nagle ku niemu dziewczyna, obejmuje go silnie i całego obleje zimną wodą. Zrozumiałe, że mieszkańcy Lwowa znają tę tajemnicę i nigdy nie wstępują na czwarty stopień. Ale naiwny prowincjał wchodzi aż na górę i nagle obejmują go kamienne ramiona... Jak tu uwolnić się z jej objęć? Powinien zejść o stopień niżej. Zmieszany jednak drży i trzepoce w jej ramionach, cały zalany wodą; woła o pomoc, ku wielkiej ucieśze przechodniów.

— Czy rzeczywiście istnieje taka studnia?

— Ha-ha-ha! Ładnie panna Frania dała się nabrać!... Wszak jej mówiłem, że tak opowiadano mi, gdy byłem dzieckiem. Zapamiętałem to i gdy przybyłem do Lwowa, przeszukałem wszystkie place i bulwary, przyglądałem się, lecz nie znalazłem tej dziwnej studni. Ha-ha-ha! Ładnie panna Frania dała się nabrać! Jak szeroko otworzyła oczy, gdy o tem opowiadałem. Ha-ha-ha!

Ale panna Frania obraziła się na Barucha z powodu tego śmiechu. Chwyciła konewkę i, odwróciwszy się do niego, zaczęła energicznie podlewać kwiaty, mówiąc jakby do siebie:

— Bogu dzięki, nie jestem już dzieckiem, aby się ze mnie naśmiewać. Mam już siedemnaście lat. Wkrótce też będę we Lwowie, Krakowie a może nawet w Warszawie. Nic nie szkodzi. Niech tylko ojciec sprzeda maszynę...

Baruch żałował, że obraził pannę Franię i chciał ją przeprosić. Nie wiedział jednak w jaki sposób to uczynić.

Nagle usłyszał głos siostry: „Baruch! Baruch! Gdzie jesteś?”

Nie miał ochoty odejść od parkanu, ale głos siostry słysząc było raz po raz.

— Nie bierz mi tego za złe, panno Franiu. Przysięgam — wierz mi: nie miałem zamiaru obrazić Cię. Bardzo Cię szanuję... Dowidzenia, panno Franiu! Wołają mnie do domu. Muszę odejść. Do zobaczenia się.

— Do widzenia! Na przyszłość proszę inaczej zachowywać się wobec mnie. Nie jestem już małą dziewczynką. Niech mnie pan odwiedzi w domu. Do widzenia! Czy przyjdzie pan?

— Napewno! Przyjdę, przyjdę...

Pogroziła mu małym paluszkim i podeszła do beczki z wodą, aby napęlnić opróżnioną konewkę.

JEHUDA BURLA

J A Ł M U Ż N A

S I N J O R A F O R I L L O

Nazajutrz po „zabawie”, w godzinach porannych, Roza rozmawiała z Chałmem, który pilnie podlewał kwiaty w doniczkach. Jak zwykle udało jej się wydobyć wyznanie o tem, że ją kocha. Jest bowiem księżniczką... królową... wie on o tem napewno.

Nagle przez okna od ulicy dobiegły jej uszu odgłosy krzyków i szgiełku. Wyjrzała na ulicę. Zobaczyła wdowę Saadę, matkę narzeczonej, która zanosiła się od płaczu i biła pięściami po głowie, jak to zazwyczaj czynią Marokanki, gdy im ktoś bliski umrze. Koło niej uwijała się gromadka zakłopotanych mężczyzn i kobiet. Roza szybko zbiegła ze schodków, by dowiedzieć się, co zaszło.

Z ust zgromadzonych i płaczącej Saady dowiedziała się, jakie straszne nieszczęście dosięgło biedną wdowę: piętnaście dukatów posagu córki, przechowywanych skrzętnie w małej drewnianej skrzynce, pod ciężką poduszką, które to dukaty — zgodnie ze zwyczajem — wręczyć należało narzeczonemu dnia tegoż, przed ceremonją ślubną — zniknęły. Skradziono je. Ktoś, korzystając z natłoku i rozgardjaszu podczas hucznej zabawy, wykrył miejsce, gdzie schowane były zaoszczędzone pieniądze, i ukradł je. Był to ciężko zarobiony grosz wdowy i sieroty. Wiele lat usługiwały obcym i składały grosz do grosza. Dziś oto odbyć się miały zaślubiny! Cała dzielnica żydowska wrzała. Wdowa usiadła na progu swego domostwa i głośno biadała nad ciężką swą stratą. Narzeczone, ukryta w kącie, cicho, lecz bezustannie płakała w gorzkiej rozpacz. Wieść o nieszczęściu podzielała na wszystkich, jak uderzenie obuchem. Żal i współczucie widniały z każdej twarzy. Tymczasem zjawił się naręczony ze swym ojcem; dowiedzieli

się o wypadku i przyszli, jak do domu żałoby. Ojciec narzeczonego, biedny sprzedawca jarzyn, wywodził: on i jego syn gotowi byłiby wyrzec się posagu; Bóg świadkiem, że wyrzekliby się! Posag jednak miał być dla „chłopca”, na założenie interesu. Dotąd, jak wiadomo, był czeladnikiem u szewca; przed tygodniem porzucił majstra, wynajął sobie sklep i zamówił narzędzia i towar — wszystko to, bo liczył na posag. Sumę, którą miał otrzymać, wydał już prawie całą. Z czego teraz spłaci zaciągnięte długi?

W międzyczasie zjawiała się policja. Zaczęto wypytywać się o szczegóły, ale gospodyni nie potrafiła udzielić jakichkolwiek wyjaśnień: gości było wielu i rozmaitych, kogo by tu podejrzewać? Kogo tu obwiniać?

Roza wystąpiła z kręgu zebranych, oparła się o ścianę, przylotczona ich nieszczęściem. Coraz silniej odczuwała boleść tych ludzi. W ciągu długich lat czekały obydwie, matka i córka, na tę chwilę, dzień za dniem wśród ciężkich trudów, wśród nędzy i ubóstwa, składały grosz do grosza, a kiedy nadeszła upragniona chwila — ziemia jakby obsunęła im się z pod nóg. Gdyby tak sama mogła, myślała Roza, albo gdyby jej rodzina rozporządzała podobną sumą — natychmiast wręczyłaby im tę kwotę. Cóżby to było za szczęście! Po chwili zaczęła się poważnie zastanawiać nad sposobem znalezienia jakiegoś źródła pieniężnego. Kiedy zaś nabrała przekonania, że musi przedsięwziąć coś realnego, — w miarę swych sił, — powzięła już, swoim zwyczajem, silne postanowienie. Podeszła do wdowy i odezwała się głośno, po arabsku, wobec wszystkich zgromadzonych: „Słuchaj! idź i poczyni przygotowania do ślubu, jakgdyby się nic nie stało. Przed ceremonią ślubną przyniosę ci całą kwotę. Zbiorę pieniądze w „kolelim”*) Aszkenazów i Sefardów, i w bogatych domach — w ciągu dnia dzisiejszego. Obiecuję ci do wieczora przynieść całą kwotę! Wstańże!”

Wdowa spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przez chwilę uwierzyła w słowa panienki, „wnuczki doktora”, wiedziała jednak, że lekarzowi nie powodzi się obecnie tak, jak dawniej... A ta, co

*) Gminne zarządy dobroczynności.

obiecuje — to też tylko młoda panienka — coż ona potrafi zrobić?

Roza zrozumiała milczenie i niedowierzanie wdowy. Rzekła więc: „Rozumiem, że nie chcesz polegać na mnie, ale bądź spokojna! Niech się dzieje, co chce — ja pieniądze przyniosę. Wiem, co mówię.”

Zgromadzeni, pocieszali zrozpaczoną wdowę: „Przecież panienka mówi ci wyraźnie... wnuczka doktora!... Ona wie, co mówi. Ona potrafi! Wnuczka doktora!”

Kobieta podniosła się ciężko i rzekła: „Dobrze. Posłucham. Bóg cię wspomóż.” Narzeczone i jego ojciec słyszeli również obietnicę i, nie mając innego wyboru, starali się w nią uwierzyć. Ojciec narzeczonego zaś rzekł ze spokojem: „W każdym razie mamy czas do wieczora... Czekamy...”

Roza szybko pobiegła do domu. Zastała matkę swą smutną i przygnębianą, nieszczęśliwym wypadkiem. Roza ubrała się spiesźnie, podczas tego opowiedziała matce o swym postanowieniu.

Matka wysłuchiwała jej słów w milczeniu. Cieszyła ją decyzja córki, jej wrodzona dobroć, objawiająca się w spontanicznym współczuciu, — nieodrodna córka Toledanów. Żal jej jednak było dziewczęcia — to, czego się podjęła, przekracza jej siły. Obawiała się, że Roza dozna zawodu i że sprawi jej to dużo zmartwienia. Nie odważyła się jednak wstrzymać ją: poco odbierać dziecku otuchę? Owszem, niech spróbuje; osiągnie, ile zdoła. Odezwała się ostrożnie: „Bardzo dobrze, córko... Serce twe pełne jest litości... Ale wiedz o tem, że to przekracza twoje siły. Jeśli ci się nie uda, nie upadaj na duchu. Jesteś młodą dziewczyną... Piętnaście funtów — przecież to majątek! Nie uda ci się pewnie tyle zebrać. I to w przeciągu jednego dnia! Trudna sprawa.”

— Majątek? Piętnaście funtów? Przecież w mieście znajdzie się z pewnością więcej niż dziesięć domów, gdzie bez namysłu wydaje się na suknię trzy lub cztery funty! Niech by każdy dał po jednym lub półtora funcie! Pójdę razem z moją przyjaciółką, Goldą, do wszystkich „Kolelim”. Będę się domagała jak najenergiczniej...

Ubrała się i wyszła z pokoju... Matka stała przy schodach i powiedziała: „Wyjdź z domu prawą nogą — aby droga twa była

szczęśliwa. Dobrzy aniołowie niech ci towarzyszą, abys znalazła łaskę w oczach Boga i ludzi."

Wyszła z domu na ulicę prawą nogą, szybko przebiegła długi i ciemny zaułek. Na zakręcie zauważyła zbliżającego się do niej powolnym krokiem młodego Araba w wytwornym ubraniu — był to Tewfik Effendi al-Adali — wyglądał, jakgdyby jej chciał coś powiedzieć. Nie przypominała sobie, aby go gdziekolwiek poznała. On zaś zbliżył się do niej, grzecznie skłonił i przemówił w języku francuskim: „Proszę wybaczyć moją śmiałość. Zechce pani mnie wysłuchać: przypadkiem przechodziłem tędy... Słyszałem, co przytrafiło się tej biednej kobiecie; opowiadano mi, że pani zamierza jej pomóc. Jeśli pani pozwoli — przyniosę za chwilę dziesięć funtów. Niechaj i mnie wolno będzie pomóc tej niemięcej kobiecie — dlatego, że tędy przechodziłem... Natychmiast przyniosę — jeżeli pani zechce łaskawie przyjąć...”

Kiedy mówił, był nieco blady i stał przed nią, jak biedak przed swym dobroczyńcą. Wzrok młodzieńca wyrażał najwyższe uwielbienie. Roza poznała, że ten błagalny wzrok zdobywa jej serce... Stała przez chwilę jak wryta, a serce biło jej silnie z wielkiego zakłopotania... Przez myśl jej błyskawicznie przemknęły strzępy wspomnień, zamglone marzenia: „Ciemność... udreka... ocalenie przez obcego... nieżyda... nieznanego...” Czuła, jak rumieniec oblewa jej twarz — dreszcz ją przejął — usiłowała wrócić do rzeczywistości, do życia na jawie, do tego, co zamierzała w tej chwili przedsięwziąć. Udawała, że zastanawia się przez chwilę nad jego propozycją, potem rzekła: „Serdecznie dziękuję, panie. Mogę uzyskać pieniądze u nas... To nasz obowiązek, obowiązek moich współwyznawców. Z serca dziękuję panu za dobrą wolę.” Lekko schyliła głowę na pożegnanie i udała się w dalszą drogę; starała się utrzymać naturalny swój krok, jakgdyby nie ugiwały się pod nią nogi.

Zbliżając się do domu, w którym mieszkała Golda, postanowiła uzbroić się ponownie w energję i zapomnieć o spotkaniu z obcym młodzieńcem. Teraz — nie wolno jej o tem myśleć. Teraz chce wypróbować swe siły i wolę, teraz, kiedy po raz pierwszy wyrusza na „pole walki życiowej”...

Wieść o nieszczęśliwym wypadku w sposób oszałamiający podzielała również i na Goldę. Plan Rozy wydawał się jej dziwny i nierealny. Nie wierzyła w możliwość przedsięwzięcia, ale nie miała odwagi wyjawic swe wątpliwości.

— Czego siedzisz zamyślona? — zapytała Roza. — Wstań, ubierz się i chodź ze mną. Pójdziemy razem. Przedewszystkiem zaś powiedz mi, ile ty dasz ze swoich pieniędzy, bez wiedzy rodziców, od których weźmiemy osobno? Ile dasz?...

— Ile każesz. Nie wiem, ile mam dać... Mam swoich, mniej więcej, trzy funty...

— Daj jeden funt — na dobry i szczęśliwy początek...

— Dobrze... Ale czy mie za dużo na mnie?...

— Nie. Wcale nie. Naco ci pieniądze? Żeby się bawić niemi? Żebyś sobie kupiła wstążek i grzebyków? — A od tych pieniędzy zależy życie młodej pary, a może — życie jeszcze kilkorga osób!

Golda wręczyła przyjaciółce żadaną kwotę.

Poczekwały chwilę, aż ojciec Goldy wróci z bóżnicy. Gdy wrócił i Roza przedstawiła mu całą sprawę, chciał ją zbyć drobnym datkiem, ale ona wyjaśniła mu rzecz z wielkim zapałem i serdecznym patosem; mimo to nie zdołała wydobyć więcej, niż pół funta. Zadowolona się z tem, mając przed oczami krótki i jasny rachunek: trzy funty otrzyma od kolelu sefardyjskiego, dwa — od kolelu aszkenazyjskiego, dwa — od sefardyjskiego bankiera sinjora Forillo, pozostałe ośm zbierze w poszczególnych „bogatych domach”.

Potem we dwójkę rozpoczęły wędrówkę od domu do domu. Dnia tego, do południa, przekonała się Roza po raz pierwszy w życiu, jak twardzi i nieużyteczni są najczęściej bogacze. W wielu domach, po długich „wstępach”, wyjaśnieniach i debatach, wręczano jej — niechętnie i bez krzty współczucia — kilka drobnych monet srebrnych. W jednych domach odrzucała datki, w innych przyjmowała je z konieczności. Po wielu trudach udało jej się zebrać wśród pojedyńczych osób potrzebną kwotę — ośm funtów.

O pierwszej po południu udała się wraz z Goldą do bogatego bankiera, sinjora Forillo. Bank mieścił się na ulicy „Batrak”, w starym mieście, między sklepami sprzedawców jarzyn — do banku prowadził ciemny i wąski zaułek.

Bankier Forillo, staruszek około 60-letni, o rzadkich brwiach i twarzy ponurej, znany był w mieście jako bogaty skąpiec, którego sknerstwo graniczyło ze śmiesznością. Trząsał się nad każdym groszem. Oceniano jego olbrzymi majątek: grunta, domy w Jerozolimie i okolicy, gotówkę — na setki tysięcy funtów. On zaś prowadził życie drobnego handlarza. Codziennie wychodził rano do miasta ze swego domu, przy ulicy Jaffskiej, i powracał wieczorem — piechotą. Taryfa dorożek wynosiła dwa „metaliki”*) — nigdy nie mógł się zdobyć na wydanie tej drobnej sumy. Gdy się bardzo śpieszył lub zmęczył chodzeniem, a przejeżdżający woźnicy zachęcali go, by wsiadł do dorożki — podnosił rękę zdaleka i wystawiał *jeden palec*, co miało oznaczać: czy woźnica zechce przewieźć go za jeden metalik. Często wyczekiwał przed swym domem na mały, jednokorony wózek starego Żyda, który pobierał tylko jeden metalik. O garderobie starego bankiera i sposobie życia opowiadano powszechnie niestworzone historie.

Roza знаła bankiera Forillo jedynie z widzenia i z opowiadań, przeto przygotowana była na walną rozprawę. Wrzały w niej gorycz i poníženie całego dnia.

Kiedy Roza i Golda weszły do banku zastały sinjora Forillo, siedzącego na sofie. Naprzeciw niego, na większej sofie, siedział urzędnik banku, władający językami — francuskim i arabskim. Bankier rozmawiał z kupcem. W małym, przyległym pokoiku mieściła się kasa. W banku pracowało trzech do czterech ludzi.

Roza przystąpiła do bankiera, stanęła przy stole, przywitała się i w ciągu kilku minut przedstawiła jasno swe życzenie. Prosiła go o spełnienie dobrego uczynku — „stosownie do jego stanowiska społecznego i dobrego serca”.

Po wymowie spanjolskiej poznał staruszek, że panienka jest — jak się zdaje — Askenazką. Ale nie chciał się wypytywać o szczegóły, kim ona jest i co ją wiąże z biedną wdową, aby nie wdawać się w debatę, co do wysokości datku. Zwrócił się przeto do swego urzędnika i z udaniem zniecierpliwienia powiedział: „Wypłacić jej z kasy jedno medzidje” (około 5 franków). Do niej

*) Około 45 groszy.

zaś rzekł krótko, po spanjolsku: „Proszę udać się do drugiego pokoju, do kasy — tam pani otrzyma”.

Po tych słowach usiadła Roza na brzeżku sofy, nadąsana, Golda zaś stanęła przy niej i milcząc bawiła się swą parasolką.

— Co jest? — zapytał się bankier, niejako zdziwiony. — Przecież kazałem pani wypłacić pieniądze w kasie. Tam jest kasa — w przyległym pokoju.

— Rozumiem po francusku, spanjolsku i po arabsku — odrzekła, by tem dowieść, że się jej nie wymknie, — nie ruszę się stąd, póki nie otrzymam dwóch funtów...

— Co?! — wykrzyknął bankier oburzony. Złość zatamowała mu mowę.

Odpowiedziała spokojnie, nie patrząc mu w oczy, cedząc słowa:

— Taki z pana bogacz, ma pan w swym majątku setki tysięcy... Musi pan dać dwa funty na ocalenie młodej pary i obydwu rodzin.

— Niech sobie panienka idzie w spokoju swoją drogą. My tu musimy pracować, nie mamy czasu! — rzucił zirytowany, jakby chciał otrząsnąć ze siebie coś wstrętnego. Miało to oznaczać, że ta dziwna arogancja wcale go nie obchodzi.

— Już nie będę mówiła... Ale nie ruszę się stąd, póki mi pan nie da dwóch funtów.

Bankier popatrzył na nią ze zdumieniem, poczem zwrócił się do urzędnika:

— Co to za dziewczyna? Skąd się tu wzięła?

— Czy nie jesteś przypadkiem wnuczką doktora Rudowicza i chachama Józefa Toledano? — spytał niepewnie urzędnik.

— Tak jest.

Senjor Forillo, usłyszawszy tę odpowiedź, zmienił ton i przyjął postawę człowieka niewinnego i nieszczęśliwego:

— Tak, córko, „oby ci danem było spełniać dobre uczynki”; nie mogę dać więcej... Niemożliwe... Ciężkie życie... Bardzo ciężkie... Drożyzna okropna! Dawniej — tłumaczył się przed panienką

tonem żalonym — dawniej kupowaliśmy rotel*) grochu za cztery grosze, a teraz — kosztuje ośm groszy. Sto procent! A oliwa? Kiedy to płaciliśmy dwanaście groszy za rotel oliwy! Pamiętam: rotel oliwy — cztery grosze, conajwyżej: pięć! A mąka? A mięso? — „Za grzechy nasze wielkie” wszystko drożeje. Ach, ach, ach! — westchnął trzykrotnie bankier, jakby kończył na tem swoje wywody.

Roza w ciągu tej przemowy powstrzymywała wybuch śmiechu, wreszcie odparła oschle i poprostu: — O to właśnie chodzi, panie! „Za grzechy nasze wielkie”, dopóki są bogacze, którzy chowają w swej skrzyni dziesiątki tysięcy dukatów, a na ocalenie życia ludzi, na ratowanie wdów i sierot, dają tylko jedno medzidje — dopóty panować będzie drożyzna. Złe czasy, drożyzna... Nie przypuszczałam, by człowiek tak majątny, jak pan, opowiadał o grochu i oliwie panience, która prosi go o datek na dobry cel. Jeżeli tak jest — to naprawdę rozumiem, że niewolno panu być bogatym... Przedewszystkiem zaś rozumiem, że niewolno mi odejść stąd bez dwóch funtów...

— Nie wypada panience z poważnej rodziny wygadywać takie zdrożne rzeczy — złajał ją ponownie bankier.

— Dobrze. Pan ma słuszość. Już nic nie powiem. Ale panu też nie pozwolę mówić...

— Daj jej pół funta — zwrócił się bankier do swego urzędnika — niech to diabli wezmą.

— Nie targuję się. Proszę zrozumieć co powiedziałam: kwota, którą ustaliłam, potrzebna jest do uzupełnienia sumy. Zostanę tu. Przez cały dzień będę tu siedziała. Jeżeli pan odejdzie stąd — pójdę za panem, aż mi ją pan wypłaci. Zobaczymy, czy sprawiedliwość, prawda i litość odniosą zwycięstwo nad pańskim skapstwem...

— A więc — zirytował się bankier — wyrzucimy cię na ulicę! Saul! — zawołał odźwiernego — wyrzuć ją stąd!

— Nie odważy się dotknąć mnie — rzekła Roza z całym spokojem — ani służący, ani odźwierny: jestem austriacką poddaną.

*) 3 litry.

Nikt się nie odważył mnie dotknąć. Czynię pana, milionera, osobście odpowiedzialnym za życie tych nieszczęśliwych ludzi!

— Niech nas Bóg uchroni od szatana — zabierzcie ją stąd! — rzucił bankier w najwyższym stopniu zniecierpliwiony.

Urzednicy przystąpili natychmiast do niej i zaczęli ją przekonywać, że to przecież nieładnie... Całkiem nieładnie... Co znaczy? Czy można jałmużnę gwałtem wymuszać. Sinjor Forillo tyle a tyle chce dać...

— Co znaczy? To ja spytać się powinienam, co znaczy? — odrzekła energicznym tonem: co to znaczy, żeby bogacz, pan wielkiej fortuny, do tego stopnia nie miał litości nad biednymi, których całe życie jest jednym pasmem męczy, udręczeń i ciężkiej pracy? Dlaczego nie ma dać? Czy ubędzie mu majątku, jeżeli zaofiaruje tak drobną kwotę? Czy dwa funty mają dla niego tak duże znaczenie? Nie ja powinienam się wstydzić, nie ja postępuję niewłaściwie...

Zapanowało krótkie milczenie.

Zwróciła się znowu wprost do bankiera: — Niech mi pan uwierzy, nie chcę panu sprawiać przykrości... Pewna jestem, że to zły duch pana kusi... Niech pan nie da się opanować złemu duchowi, niech pan nie pozbawia siebie radości spełnienia tak dobrego uczynku. Czy doznać może człowiek większej radości w życiu, aniżeli ta, którą daje niesienie pomocy nieszczęśliwym? A pan wie przecież, „że na tym świecie pobiera człowiek odsetki, a kapitał pozostaje na przyszłe życie”... Niech się pan przez chwilę spokojnie namyśli — czego ja żądam? — Tego, co jest obowiązkiem każdego człowieka. Gotowa jestem prosić pana o przebaczenie za to, że panu sprawiłam przykrość. Niech pan posłucha dziewczyny, która mogłaby być pańską córką; niech mnie pan uważa za swoją córkę, za jedną ze swoich córek. Pan wie przecież: „Szczęśliwe jest to pokolenie, gdy wielcy słuchają małych”. Jakąż będzie radość biedaków, kiedy przyjdę do nich za godzinę lub dwie i zobaczę pieniądze w moich rękach.

— Niechaj to będzie odkupieniem moich grzechów — rzekł tonem przebieganego — dajcie jej i niech sobie idzie, będzie raz koniec...

W ten sposób wydobyła Roza jałmużnę od sinjora Forillo.

Nad wieczorem opowiadano sobie w całym mieście, jak to udało się Rozie Rudowicz wzruszyć zimne, jak lód, serce bankiera, sinjora Forilla.

Ciężką też przeprawę miała Roza w „zjednoczeniu kolelim aszkenazyjskich”, gdzie otyły, czerwony na twarzy, „gabaj”, dowodził, że „to jest sprawa sefardyjska, która Aszkenazim nie dotyczy”. Ale i tam wkońcu, dzięki przekonywującej wymowie, otrzymała żadaną kwotę.

Przez cały dzień bez przerwy była na nogach, ale krótko przed ceremonią ślubną wręczyła wdowie 15 funtów, w obecności wielkiego tłumu ciekawych. Wiele kobiet, zwłaszcza z rodziny narzeczonej, obdarzało ją pocałunkami, błogosławiło i dziękowało.

Kiedy wyszła stamtąd, by się ubrać do ceremonii ślubnej, zauważyła w tłumie mężczyzn, który zgromadził się na podwórzu i w bramie, młodego Araba — Tewfika al Adali. Gdy przechodziła obok niego, Al Adali ustąpił na bok i z przesadną grzecznością ukłonił się — jakby przed wysokim dostojnikiem...

C H. H A Z A Z

TEWEL — KRAWIEC

Tej nocy Tewel nie mógł zasnąć. Skądże się wzięła ta bezsenność? Nigdy, zdaje się, nie miał zwyczaju niesypiania po nocach. Zawsze zwykł był spać, jak susel, Bogu dzięki, a tej nocy, rzecz dziwna, — oka jeszcze nie zmrużył.

Skoro zaś myślą ogarniesz rzecz, jak? i co? i po jakiemu? i całą ową sprawę, w tej chwili odlatuje cię sen, a o to właśnie chodzi: „Złodziej musi skończyć na szubienicy” — co tu mądrego wymyślisz? — człowiek musi umrzeć! Człowiek to jakby uszyty dwoma gatunkami nici, pół na pół: pół z tego świata, pół z przyszłego... Tylko, że w tych rzeczach, aby się w nich rozpoznać, jak przystoi i jak należy, musi człek posiadać rozum, wielki rozum, żeby „przybory” były zdrowe, pewne, jak się zowie, a nie tak sobie, jak igła z odłamanym końcem...

Prawa pobytu wiecznego na świecie Bożym — Tewel nie posiada, skądby? A kontraktu na długie życie także nie zawarł z Tym, co wiecznie żyje! Zjadł swój bochenek chleba i dobrze strawił — dzięki za to Panu Bogu. Za jednym dmuchnięciem może się ulotnić, po stu dwudziestu latach, na tamten świat. Dobrowolnie, czy przymusowo, wielu poszło i wielu jeszcze pójdzie. Jedni idą prędzej, drudzy później — daj, Panie Boże, abyśmy należeli do tych, co idą później, a nie wcześniej. Odtąd każda godzina, którą Pan Bóg — święć się Imię Jego — w łasce swej daruje, to jakby jałmużna, a każdy dzień — jak wygrana na loterii...

I Bogu dzięki, choć podobny już Tewel do starego kozucha: podarty, połatany i wytarty, ma jeszcze siłę w biodrach i moc w rękach, dosyć jeszcze „resztek” zostało. Po tych resztkach poznać można, jak bogata była zastawa, gdy stół nakrywano do uczyty... Atletą był kiedyś, siłaczem, wspaniale uszytym kozuchem, nie tan-

detą lub czemś podobnem... Nie! Niema lat młodych, nie te lata teraz i nie te siły, niewiele już nici zostało krawcowi...

Pamięta, jak raz w bet-hamidraszu wykładali: świat doczesny to przedsiónek do świata przyszłego; przygotuj się w przedsióniku, abyś godnie wszedł do salonu...

W tem właśnie cała bieda, igła w samym żołądku: salon!... Czego szuka Kohen na cmentarzu?*) Z jakiej racji może on, Tewel, wejść do salonu i przechadzać się po świetlicach i wewnętrznych alkowach, pośród wspaniałości i klejnotów i całego owego przepychu, którego ani opisać, ani opowiedzieć nie można? Tam, bratku ty mój kochany, wyższy świat; to nie życie na ziemi, dolina łez! Najsamprzód, zaraz na wstępie, jakieś zgromadzenie miliona, miliardów dusz świętych, dusz wszystkich zmarłych, ojców świętych i pasterzy wiernych wszelakich: prorok Eljasz, pamięć jego niech będzie błogosławiona, i wszyscy rabini święci, sprawiedliwi, mężowie błogosławionej pamięci; tysiące i miljardy dusz lata sobie tu i tam, tu i tam... A może tam są słupy ognia i obłoku, promieniące jasnym światłem, a bije z nich płomień ognia, płomień rozżarzony. Sama posadzka wysadzana kryształem, marmurem i drogiemi kamieniami, słodycz niebiańska i gloria Boska świeci po wszystkich kątach, że jak raz okiem rzucisz, to widzisz cały świat od końca do końca; same rzeczy, wyobraź sobie, z wyższego świata, co świecą niewidzianym blaskiem. Chryzolity! Świetlane świecidła, rzeźbione i szlifowane — takie drogocności, każda poszczególna drobnostka — sam Bóg wie ile warta, zapewne jakich dziesięć tysięcy rubli srebrem i jeszcze tysiąc razy tyle... Wyklarowanie, pomyśl sobie, rozplamienie, aj-aj, Panie świata! — ledwie człowiek w myśli wyobrazi sobie tyle wspaniałości, bogactwa i przepychu — a tu nagle on, Tewel, w środku...

Powiedzmy tak, przedsiónek — owszem. Przedsiónek przystoi jemu i on należy do przedsiónika. I z tego właśnie powodu, dobrze i miło żyć na tym świecie; choć to bardzo, bardzo ładny przedsiónek — przedsiónek *Pana Boga*, to mało? Na wszelki wypadek, przedsiónek... Ale salon, gwałtu, gwałtu! Przecież, gdy pomyśli

*) Kohanim (t. j. kapłani) mają zabroniony wstęp na cmentarz.

o tem, dusza mu ucieka z samego wstydu, nieśmiałości i strachu — ładny ci gość do salonu, no mo...

Bogaci, magnaci i wielcy dobroczyńcy, a rzecz prosta, także rabini i sprawiedliwi, co to wspinają się do górnych sfer siłą Świętej Nauki i siedzą wśród zaszczytów i wspaniałości z koronami na głowach, stawiają pytania i narzucają problemy, potężne, jak te góry niebotyczne, i odpowiadają na każde pytanie w porządeczku i wyjaśniają każdy problem swym jasnym i przezroczystym rozumem.

— Rzekł Raw Papa! Rzekł Raw Papa... — dla nich to salon akurat jakby na miarę uszyty, ale *on*, łaciarz i syn łaciarza, stworzenie niskie i mikczemne...

Ten „salon” wywołał w umyśle Tewla wiele rozmyślań i wiele zmartwienia, aż wreszcie doszedł do pocieszającego wniosku, że zapewne i tam, w niebie, znajdzie sobie, z pomocą Bożą, jakieś ciemne miejsce, zakamarek, lub ukryty kącik, niewidoczny, coś w rodzaju przedsiónika... Ach, lepiej, czy gorzej, niemożliwe żeby nie znalazł, co znaczy? Z pomocą Bożą... Z pomocą Bożą... No, niechże tylko, po stu dwudziestu latach, przyjdzie ta chwila, a rozbierze swe łachy i ubierze inne szaty, oj *inne*, oj *inne*, i uda się w drogę. A *zapasy* na drogę?... — głupi w ciemności chodzi, podobny do zwierzęcia! Sześćdziesiąt lat, do stu dwudziestu, jak żyje na tym świecie, czy zrobił coś i czy dorobił się czego? Przez sześćdziesiąt lat, Bogu dziękować, nawet nie nauczył się tyle, by rozumieć wszystkie słowa modlitwy... A o Pięcioksięgu, Raszi*), błogosławionej pamięci „Sifte Chachamim”**) albo o dwóch parach tefilin, o „Maftir”***) i innych wyższych stopniach — ani wspominał, ciemno, choć oko wykol! Rzec można: goły, jak w łaźni... Ach Tewlu, Tewlu, nicponiu, zardzewiała igła, co będzie z tobą, Tewlu? Kto ci odda ostatnią posługę? Kto wygłosi mowę żałobną nad twym grobem i kto czytać będzie rozdział „Misznajot” dla odkupienia

*) Komentarz do Pięcioksięgu.

**) Suprakomentarz do Raszi'ego.

***) Błogosławieństwo, recytowane melodyjnie po odczytaniu rozdziału tygodniowego z Pięcioksięgu.

twojej grzesznej duszy? Syn jego, Mendel, niech żyje, Mendel koniarz, i syn jego Alter, rymarz, niech mu będzie dane długie życie; córki, oby żyły, nie wchodziły w rachubę — to kobiety przecież! — „odrabiają” raz dwa modlitwę za zmarłych, bez rozumienia sensu słów, bez zastanawiania się, wgłębiania, bez skupienia... Synowie, niewątpliwie, zechcą to zrobić jak najlepiej, ale owszem, próbuj szyc połamaną igłą! U nas wszystko, Bogu dzięki, na jedno kopyto: nasienie krawieckie — koniarz, rymarz i krawiec — to jeden gatunek towaru...

Otóż, ułożył sobie wszystko, gdy tak leżał w łóżku i nie mógł usnąć, — otóż wzięli go i ponieśli, pobrzękali skarbonką: — „Dobro—czyn—ność ocala od śmierci! Dobro—czyn—ność ocala od śmierci!...” Przykryli ziemią, odmówili „Kadisz” i poszli do domu. Oni, to znaczy ci, co oddali mu ostatnią posługę. A on został sam, samiuteńki... Tak. Teraz przyszedł wysłaniec piekielny... — — —

Wiele jest aniołów, moc niezliczona, aj, Boże w niebie! Setki aniołów, co dręczą biedną duszę...

Ale po kolei — najpierw anioł — wysłaniec z piekła! „Ej, jak się nazywasz?*) A tu trzeba bardzo uważać, dla Boga, nie zapomnieć swego imienia, dla Boga i jeszcze raz dla Boga!...”

Napozór, dziwna rzecz: czy to możliwe? Sztuka zapamiętać swe imię? Wielka tu mądrość? Zdaje się, nawet największy prostak, najzupełniejszy nieuk, może łatwo i bez namysłu podać swe imię. Nawet, nie przyrównując, chłopci znają jego imię: Tewel! Chyba zmysły musieliby utracić, żeby nie zapamiętali! Napozór — rzecz prosta i naturalna, ale bądź tu mądry!...

Otóż wysłaniec z piekła wybił, wychłostał, wytrzepał, oćwiczył ognistymi różgami, zrobił swoje i poszedł sobie. Potem reszta djabłów także go wymęczyła, oskubała i wyszorowała — oj źle, oj gorzko — może już dosyć? Gwałtu, dosyć!... Nie, przyjacielu, serce moje, nie, nie, ojczulku mój kochany, ani się nie zaczyna! To

*) W myśl wierzenia ludowego musi zmarły podać werset biblijny, którego pierwsza i ostatnia litera są identyczne z pierwszą i ostatnią literą imienia. Ten werset powtarza każdy Żyd codziennie podczas modlitwy porannej.

dopiero początek, ciąg dalszy jeszcze nastąpi! Jak go obskoczą ze wszystkich stron, jak mu zwiążą ręce do tyłu. Jak go złapią, rzucą nagle w górę, aj Panie świata, wielka twa łaskawość — przed *Sąd Najwyższy!*... — Przed *Sąd*... Strach i przerażenie! Oj, boli... No, Tewel, nie przejmuj się! Raz matka rodziła, przepadło!... Natychmiast otwierają olbrzymią księgę; karta zmarłych, kronika gorczy... Teraz idzie śledztwo, pytają o najdrobniejsze szczegóły, wśród grzmotów i błyskawic, tak to, i tak to, co za jeden ten człowiek, co mówił, i co robił od urodzenia!... Odrazu, łatwo zrozumieć, zapomniał języka w gębie i osłupiał, wstydząc się marnych swych zasług...

— Ja, prosty człowiek, z najpodlejszej rodziny... — jąka się i szeptem mówi ciało do duszy, dusza do anioła, anioł do cherubina, cherubin do archanioła, a archanioł zdaje sprawę przed Bogiem, niech będzie błogosławiony, — prostakiem jestem...

— Czy oszczędzałeś i ciułałeś? — odzywa się potężny głos, wśród grzmotów i błyskawic.

— Oszczędzałem i ciułałem... — odpowiada drżąc i z zająkaniem ciało do duszy, dusza do anioła, anioł do cherubina, cherubin do archanioła, a archanioł zdaje sprawę przed Bogiem, niech będzie błogosławiony, — aby wyżywić swe dzieci, oby długo żyły, i małżonkę moją, biedną i niepokieszoną Basię Rywkę, oby żyła; nie wypuściłem igły z ręki... Krawcem jestem z zawodu, Tewel-krawiec nazywam się. Rzemiosło moje nie jest pracą świętą, ale damskim krawcem, broń Boże, nigdy nie byłem gojowskiego ubrania, Bogu dzięki, nigdy nie szyłem...

— A w nauce jaki stopień osiągnąłeś? — woła jeszcze donośniej potężny głos, wśród grzmotów i błyskawic.

— W pracy nad nauką?... — szepce z dreszczem ciało do duszy, dusza do anioła.

Źle i gorzko! Tewel widzi, że niema nadziei: kłują go w najboleśniejże miejsce.

— Codziennie modliłem się... — powiada chytrze ciało do duszy, dusza do anioła i t. d. — codziennie modliłem się w tałesie i w tefilin — jedna na ręce, druga na głowie, Bogu dzięki, a w soboty odmawiałem „k.dusz” i wszystkie inne przepisane modlitwy,

to z pewnością robiłem, tak. Tylko, że czasami odmawiałem kidusz nad suchym kawałkiem razowego chleba — to dlatego, że nie miałem grosza na coś lepszego, oby to wam się nie przytrafiło... Albo, na ten przykład, w święto Pesach — mace — obowiązkowo, czy miałem pieniądze, czy nie miałem; bo przecież święto Pesach, sam pomyśl, to nie jak każdy inny dzień... Także psalmy od czasu do czasu, albo przyjemność z łaźni w przedednie soboty — wszystko spełniałem, Bogu dzięki, wedle przepisów wiary Mojżesza i Izraela.

— A z nauki? Z nauki co posiadasz? — słyszy z przestraszeniem pytanie wśród grzmotów i błyskawic. — Oj, źle bardzo...

— Na pamięć umiem bardzo mało, rzec można, „twarzy od nosa nie rozpoznam”, ale z tego, co jest w modlitewniku — coś niecoś znam.

— Modlitewnik to nie nauka, a nauka to nie modlitewnik — odpowiada groźny głos wśród grzmotów, aż się świat cały trzęsie.

— Co tu zrobić w takiej ciężkiej chwili, biada mi...

— Ach, co do Nauki! — Tewel uzbraja się w odwagę i myśli sobie: niech się dzieje wola Boża, niema nic do stracenia... — Łykam z niej kapeczkę i mam jakie-takie wiadomości, Bogu dziękować, także w rzeczach nauki; jak je widzisz i piszesz, mam, Bogu dzięki, jakieś pojęcie, mam!

— Co ty umiesz? — grzmi głos.

— A niech tu przyniosą jedną książkę świętą i znajdą, co powiem, a pokażę wam za pomocą Boską...

Natychmiast, rozumie się, leci anioł, wyjmując ród i kładzie na czysty stół — stół ze złota.

— Ano, aniele święty i czysty, potrudź się, za przeproszeniem, i znajdź mi rozdział o przekleństwach...*)

Rozumie się, że anioł otwiera księgę w tym miejscu i już obskakują cię przekleństwa czarno na białym, jak je widzisz i piszesz.

— Tu! — pokazuje Tewel palcem i czyta z radością, — Prze-

*) Denter. 28, 15—68. — Wywoływanie do Tory podczas czytania tego rozdziału (t. zw. „tochecha”) uważa się za despekt, to też udziela się tego „honoru” najmniej poważnym członkom gminy — głupcom, biedakom i t. p.

klełym będziesz w mieście, przeklętym i na polu, przeklęty kosz twój i dzieża twoja... To miejsce znam, bo odczytywano je wobec mnie rok w rok w czasie recytowania Tory, Bogu dzięki...

Mimo wszystko boi się bardzo i wątpi, czy coś pomoże... Nie, niema wątpliwości, nic nie pomoże — jak kadzidło umarłemu! Mimo to czyni jeszcze wysiłki — któż, proszę was, chciałby dostać się do piekła? — A choć nie przestaje mówić, pragnąłby tych tam „zagadać”, — niebian nie uspisz! Oni, rzecz prosta, do wnętrza duszy zaglądają, przejrzą cię nawskroś, każde serce i myśl każdą. Zginęła nadzieja, Boże uchwaj... W piekle palą już, przygotowują się do przyjęcia wrogów Sjonu. No, Tewel, raz kozie śmierć! Nic nie pomoże; co się stanie z całym Izraelem, stanie się także z Reb Izraelem! Źle bardzo, oj źle, oj bardzo... Zaczęli zaglądać do przepisów i rozważać... — przepadł z kretelem!... Tymczasem: „I przyszedł Haman”*). Wszedł oskarżyciel, zaczął szeptać na wszystkie strony i zastawiać sidła na niego, z ust buchają iskry i płomienie; oczernia go ostrym, jak miecz, językiem...

Na ten widok rozgorzało w Tewlu serce, jakby ogień palający, ukryty w starych kościach. Chciał gniew pohamować i nie mógł...

— Hej, synu szlachecki! — woła doń Tewel z wielkim rozgoryczeniem, — ty, co tam brodzisz i obmawiasz? Namawiasz szatanów, żeby mnie potępili i plujeś jadem na wszystkie strony? Ty, kulasie, oszczerco, siło nieczyste! Duchu nieczysty, latający po świecie! Popatrzże mi się prosto w oczy, myśl, że cię nie poznałem, mordo przekłeta? Wobec świadków ostrzegam cię uroczyście, abyś nie sypał ognia na moją głowę, bo o mnie się poparzysz! I jeszcze raz cię ostrzegam, powtórnie i wielokrotnie, ty nie mów tu w mojej obecności, bo jak mi lekko zatrąbisz, to ja ci zatrąbię z całej siły, nie oglądając się na twoje rogi i kopyta! Kiedy ja usta otworzę, zaraz cała prawda wypłynie, jak oliwa na wodę... Żydzi litościwi, synowie litościwych, abyście wiedzieli, że ten oto jest zdrajcą i kusicielem, kręci się jak igła wśród ludzi, zawraca im głowy i sprowadza z drogi, wścibia nos do każdego

*) Księga Estery 6,6.

garnka i rozpala ogień nieczysty, ogień pogański! A pamiętasz ty, panie, ile ci ukłuć zadałem w tyłek moją igłą, ile razy odpychałem cię gorącym żelazkiem i że na twarz twoją wstrętną popatrzeć nie chciałem? Gdybym tak nie stał na miejscu świętem i czystym, takbym cię opluł całego — jakim Żyd! Wysoki Trybunał niebieski, prawdę wam mówię, że takiego w samą świętą sobotę zabić wolno! Pan Bóg, błogosławiony niech będzie, który zna poniżenie moje i nieukryte są przed nim moja głupota i tępość mego mózgu w każdej chwili, mimoto lituje się nade mną, a ty złoczyńco przebrzydły, jeżeli będziesz jeszcze ozorem mełł, to otworzę usta i powiem: „Wihi noam”*), wówczas uciekniesz tam, gdzie czarny pieprz rośnie, bękaracie jeden, duszo sprzedajna...

Zaraz po tych słowach, budzi się łaska w niebiesiech, jako powiedziane jest w świętym modlitewniku:

„Koniec końców Pan Bóg przebacza”.

I głos rozlega się po niebie:

„Zwolnić!”

W tej chwili otwierają przed nim bramy raju z honorami wielkimi, tłumaczą co trzeba, co należy do rzeczy. Ale on błaga o litość przewodnika swego:

— Aniele święty i czysty! Bardzo cię o to proszę, bardzo a bardzo cię o to błagam, uczyni mi łaskę, zechciejże wyszukać dla mnie ukryty kącik, coś w rodzaju przedsionka, bo wstydzę się siedzieć w salonie...

I rozległ się głos z nieba:

„Zezwalam!”

*

Tak to przewracał się Tewel z boku na bok i układał sobie w myślach przyszłą swą obronę. Kogut już dwa razy zapiał, a on wciąż jeszcze leży i leży i usnąć nie może. Myśli o tem, jak to stanie kiedyś przed Tronem Najwyższego i pomodli się za swą żonę Basię-Rywkę — oby żyła — i za swych synów — oby żyli —

*) Werset z psalmów (90.17), używany jako zaklęcie.

żeby długo żyli wśród bogactwa i wszystkiego dobrego, i za cały naród izraelski, bo nadeszła już, oj nadeszła, oj nadeszła pora wybawienia z gorzkiego wygnania, jak dowodzą tego pogromy w Kiszyniowie... „Matkę od synów oderwano”*)... Starcy, mężczyźni, kobiety i dzieci... i dzieci... i...

Aż go ogarnęła senność i zasnął.

*) Hozeasz 10.14.

G. SZOFMAN

Z E M S T A

K A T A R Y N K I

I.

Profesor muzyki, Mojżesz Rein, nie był, jak przypuszczało wielu, ślepym od urodzenia; stracił wzrok w dziewiątym roku życia. Toteż zazdrościło mu kilku towarzyszy, którzy nigdy nie oglądali słońca, a wychowywali się z nim razem w wiedeńskim zakładzie dla ociemniałych. Jeden nawet uparł się pewnego razu, nalegając, by mu *on* wytłumaczył, co to jest „czerwone”.

— Czerwone — usiłował Rein wyjaśnić — wyobraź sobie ogień.

— Ogień, ogień, — powtarzał ów, niezadowolony z odpowiedzi — a co to jest białe?

— Białe? białe — przedstawił sobie człowieka niewinnego, człowieka o szlachetnym sercu.

— Nie rozumiem, — dziwił się ślepy od urodzenia — czy nie jest możliwym, by człowiek był złodziejem, opryskiem, a przytem miał ciało białe?

Naiwne zdziwienie ślepcy wywołało wówczas na ustach Reina dobrotliwy uśmiech, drgający jak ćma na jego pięknym, bujnym wąsie. Wyczerpały się odpowiedzi. A że jednak istnieje pewien subtelny związek pomiędzy bielą ciała a czystością duszy, o tem świadczyło nieco zlanie się obu tych właściwości w osobie Mojżesza Reina.

Zjednywał sobie ludzi naiwną szczerością i pięknymi, wyrazistymi rysami twarzy, której śnieżną białosć uwydatniały jeszcze czarne okulary. Mądrość płynęła z jego pogodnego, szerokiego czoła, na którym wryte było w samym środku małeńkie kółeczko. Z dziecięcą naiwnością opowiadał o swej pierwszej miłości do

pewnej dziewczyny, z którą razem wychowywali się w zakładzie.

— Miałem już siedemnaście lat, a o niczem jeszcze pojęcia nie miałem. Lubilem tylko siedzieć przy niej, rozmawiać z nią i słuchać jej głosu. Była starsza ode mnie i zawsze się do mnie tuliła, chciała mi siadać na kolana — nie rozumiałem, czego ode mnie chce!

Gdy go pytano, dlaczego się nie pobrali, odpowiadał:

— Zerwałem z nią, ponieważ, zrozumiałem, że mi nie odpowiada. Jak może taka kobieta prowadzić gospodarstwo lub wychowywać dzieci? Nie, dwoje ludzi ociemniałych nie nadają się dla siebie!

Dopiero gdy, jako profesor muzyki, wrócił z Wiednia do rodzinnego miasteczka, znalazł odpowiednią dla siebie towarzyszkę.

— Była jedyną inteligentną dziewczyną w miasteczku. Często bywałem w domu jej rodziców. Zacząłem jej udzielać lekcji gry na fortepianie. Wysiadywałem wieczorami do późna, poczem odprowadzała mnie do domu. Razu pewnego, w piątkowy wieczór, gdy rodzice jej byli pogrążeni we śnie, a myśmy wychodzili z domu, domyśliłem się odrazu, że nie prowadzi mnie zwykłą drogą, lecz w innym jakimś kierunku. „Dokąd mnie prowadzisz, Regino?” A ona na to: „Nic nie szkodzi, pójdziemy się nieco przejść. Taka piękna noc!” Poczem poprowadziła mnie w stronę „lwowskiej drogi”. Usiedliśmy na murawie obok łąki zboża. Opowiadała mi o cudnej nocy, o księżycu, polach. Zanuciłem pieśń miłosną, ona zaś wybuchła płaczem... W kilka dni potem, zbliżając się do ich domu, usłyszałem krzyk jej ojca, który, tupiąc nogami, wołał: „Dość już mam tego! Musi się raz z tym ślepym skończyć! Jemu nic nie zrobię, ale ty sobie zapamiętaj, że dzień twego ślubu, będzie i dniem pogrzebu.”

Ale ostatecznie *on* zwyciężył, bo go kochała szczerze i prawdziwie. Tęskniła za jego szlachetnością, której przykładu nie znajdowała w zapadłej męścinie, za jego pogodą ducha, za białemi, rozkosznymi dłońmi. Tliło w niej zresztą macierzyńskie pragnienie zaopiekowania się tą przeczystą duszą, która istotnie zdana była na czyjąś opiekę. Zaraz po ślubie zamieszkali w pobliskim mieście i — żyli szczęśliwie.

Przechadzali się oboje, prowadząc się pod ramię, a ona opowiadała mu z zapałem o wszystkim co widziała: oto ogród, kwiaty, oto obłok, śnieg... Jemu zaś ukazywał się poprzez czarne szkła, osłaniające ruiny oczu, nie jej świat, ten codzienny, szary, ale świat jego własny, jakim go widział w dzieciństwie: młody, o pogodnych barwach. Latem widywał bujną, soczystą zieleni, a zimą — czysty, rozkoszny szron, jakim go widzą tylko dzieci.

Wieczory spędzali często w operze. Ona opisywała mu grę artystów, on zaś objaśniał jej muzykę i przy sposobności czynił uwagi, że jest haniebna, gdyż instrumenty są okryte rdzą. Przy najmniejszej omyłce orkiestry, krzywił się boleśnie.

— Temu co gra na organach, wartoby mogi poobcinać! — mówił z goryczą.

Po przedstawieniu wstępowali do kawiarni. On pił melange, a ona — czekoladę. Wyjmował potem kamerton z kieszeni i uderzał nim o marmurową płytę stolika:

— Płacić!

II.

— Gdyby nie był ślepym, mógłby w swym zawodzie zgarniać stopy złota, a tak...

Temi zazwyczaj słowy ubolewał nad nim Lonek, uczeń konserwatorium, jasnowłosy młodzieniec o pięknych oczach. Bywał on stałym gościem w domu profesora, celem udoskonalenia się w muzyce pod jego kierunkiem. Brakło mu słów zachwyty dla „genjalności” i kompozytorskiego talentu ślepego mistrza.

A tak... musiał profesor utrzymywać się wyłącznie z udzielania lekcji muzyki, musiał żyć w biedzie, gnieździć się w nędznym mieszkaniu, którego drzwi, niezamykające się automatycznie, wstrętne sąsiadki otwierały raz po raz bez uprzedniego pukania. Okna wychodziły na podwórze, skąd często donosiło się granie katarynek, przeszkadzające podczas lekcji.

— Nigdy nie można się ich pozbyć! — biadał profesor — całymi dniami huczą mi nad głową! Jedna po drugiej, jedna po drugiej!

Dopiero pod wieczór nastaje cisza i ukojenie. Schodzi się tu wówczas szczupłe grono przyjaciół i wielbicieli profesora. Wśród nich młodzi marzyciele i poeci, stawiający pierwsze kroki. Wszyscy nalegają na ślepcę, by im zagrał urywki muzyczne, każdemu najbardziej przezeń lubiany fragment. Dobroduszny profesor niedługo daje się prosić. Rozkoszne akordy przywodzą im przed oczy jasnowłose kochanki, wesołe i swawolne. Leczą oto przemyska się przez pokój Regina, piękna, czarnowłosa, o dumnych, głębokich oczach z brwiami, schodzącymi się u nasady nosa i — widma znikają.

Po zamknięciu fortepianu opowiada profesor wiele zajmujących anegdot ze swego życia we Wiedniu, z zakładu dla ociemniałych, z jego „napół zwarjowanymi” nauczycielami. Mówi zazwyczaj zbyt głośno, jakby w obawie, że się go nie słyszy. Nagle popada w dziwaczną ekstazę, i zacierając ręce pod stołem, śmieje się naiwnym, dzieciennym śmiechem. W pewnej chwili, jakby otrząsając się z uczucia błogości:

— Regino, może czas już zaświecić lampę?!

— Lampa świeci się już — oznajmia mu ktoś z gości szeptem.

— A-a-a, świeci się już — popada w widoczne zmieszanie, opuszcza głowę, dotykając niepotrzebnie końców surduta.

I tylko w nocy, pół we śnie, pół na jawie, mającą mu się niekiedy pośród wieczystej, beznadziejnej ciemności, blade, niewyraźne wspomnienia świetlne. Tak ujrzał raz śnieżny step, załany blaskiem księżyca i czarne ogrodzenie trzcinowe, wykrzywione i dziurawe, w którego cieniu uganiał wilk... Jak gdyby powiew jakiś poruszył świat jego tonów, zaczął więc nagle nucić melodię, notując piśmem ociemniałych, niewymagającym światła, melizemy w miarę ich powstawania.

— Czy nie śpisz? — usłyszał głos Reginy.

— Przyszło mi teraz coś na myśl.

Dobrze wie, co oznacza owo „coś”, i dziwi się:

— W tej chwili?

Poczem obraca się na drugi bok.

Nazajutrz rano, w chwili gdy profesor próbował zagrać Reginie i Lonkowi nową melodię, powstała tej nocy, rozległy się

dźwięki katarynki, lecz nie, jak dotąd bywało, z podwórza, ale z sieni, tuż z za drzwi. Profesor wiedział, że to stary ślepiec w czarnych okularach, z małą katarynką, zwisającą mu na piersiach na rzemieniu. Zapłonął gniewem artysty, któremu przeszkodzono w chwili tworzenia, podszedł do drzwi... i zatrzaskał je.

Zamknięcie drzwi od wewnątrz wypełniło dziwnie intymną atmosferą ciasny pokój, na którego oknach stały liche kwiaty w doniczkach, pielęgnowane przez Reginę. Atmosfera ta nagle owionęła znajdujące się w pokoju osoby, które jakby uniesione zostały ze zgiełku, brudu i szarzyzny otoczenia na samotną piękną wyspę. Za drzwiami grała katarynka słodki romans o łzawej melodii, gdy wtem, jakby poprzez mgliste opary, pochwycił Lonek nowe spojrzenie Reginy nie dumne, jak zawsze, lecz zdziwione, wilgotne.

Romans skończył się. Rozległo się pukanie do drzwi, a potem oddalające się beznadziejne kroki. Ślepy grajek odszedł.

— Tak powinno być — usprawiedliwiał się profesor — kiedy zastanie raz i drugi drzwi zamknięte, nie pokaże się więcej.

Lonek zauważył:

— Ale romans był piękny.

— Tak! — potwierdziła Regina.

III.

Poza lekcjami muzyki zajmował się profesor Rein strojeniem fortepianów. Można go było niekiedy zastać w rannych godzinach w lokalach rozrywkowych, lub mieszkaniach prywatnych, zajętego strojeniem otwartego fortepianu. Wnętrze instrumentu przypominało wówczas rodzaj maszyny tkackiej, przyczem odnosiło się wrażenie, że teraz oto można będzie przeniknąć tajemnicę jego dźwięków. W tym labiryncie, w którym z trudem byłby się ledwo zorjentował człowiek, obdarzony nawet najbystrzejszym wzrokiem, ociemniały profesor obracał się z niezwykłą sprawnością, badał najbardziej ukryte kółeczka, składał je i rozkładał. Niekiedy wydobywał z pudełka z narzędziami czarny młotek, którym przybijał i przymocowywał delikatne części. I dziwny ogarniał wówczas żal,

czuło się litość nad tym zacnym człowiekiem, więzionym przez mroki, który mozoli się dla życia hulaszczego, skapanego w światłach, rozpoczynającego się w tych salach z nastaniem nocy. Z fortepianu płyną wówczas dźwięki namiętnych walców, a słodkie dziewczęta wiedeńskie o oczach roześmianych, wilgotnych od wypitego szampana, fruwały to tu, to tam, chłodząc powiewem sukien zmęczonych „gości”, odurzonych winem, dyszących ostatkiem sił. W blaskach lamp elektrycznych jasno dostrzegali zbliżającą się starość...

— Trudzi się pan profesor! — rzucił ktoś z obecnych.

— Co robić? Gdy się ma żonę i dziecko, trzeba się trudzić, choćby się nie chciało — odpowiada profesor swym zwyczajnym, zbyt donośnym głosem.

A Regina zajęta jest wtedy Lolą, siedmioletnią córeczką, o niebieskich oczach, kąpie ją i uspokaja gdy płacze. W domowej sukni Regina wyglądała mizernie i blado. Oczy jej już nie są tak czarne i dumne jak dawniej, ciało jej owiane jest subtelnym zapachem, tak charakterystycznym dla młodej pięknej matki. Na sofie wyleguje się Lonek, który w stosunkach z Reginą zdołał już utorować sobie pierwsze drogi. Teraz oczyma o nieskazitelnie czystym białku śledzi każdy ruch Reginy. Kiedy Regina nuci półgłosem najbardziej przez niego lubianą melodię, w tejże samej chwili, jakby przez sen, przyłącza się do jej głosu jego głos — bezsilny i drżący. Lonek wstaje, bierze Lolę, sadowi ją na kolana, a wtedy szczególnie lubi Regina rozbierać maleńką do naga, by wykapać ją w wanie. On zaś całuje nagie ciało, maleńkie i ciepłe, a przy okazji i trzymające je dłonie matki.

Chwilami drzwi się otwierają bez uprzedniego pukania i jedna z sąsiadek wchodzi, prosząc o wypożyczenie jakiegoś naczynia.

— Jak ja ich nienawidzę — żali się po odejściu sąsiadki Regina — przyszła podpatrzeć, co się tu dzieje!

A raz, kiedy popadła w niezwykłą ekstazę, Lonek, zrozumiałszy, że nadeszła stosowna chwila, poprosił:

— Zamknę drzwi...

Utkwiła weń błagające spojrzenie, szeptaając:

— Ależ jak można? Przyjdzie ktoś i zastanie drzwi zamknięte...

W tejże chwili dało się słyszeć ze sieni granie katarynki.

— Jak z nieba! — Lonek skoczył do drzwi — i zamknął.

— Co robisz, co robisz?... — szeptała drżąc Regina, przycisnęła twarz jego do swych ust, pijąc chciwie blask, płynący z jego oczu. Gdzieś w oddali, za tysiącami mil, grała katarynka słodki romans, przedziwny i łzawy, lecz chwila jeszcze — a nie słyszeli go już oboje.

IV.

A życie płynęło błogo i spokojnie.

Dzień w dzień popołudniu, pozbywszy się lekcyj w domu, bawił się profesor z małą Lolą, wodził po jej twarzyczce wydelekami palcami i całował ją na oślep. Lecz mała niezadowolona jakoś — przeraziła się wielkich, czarnych okularów i wybuchnęła głośnym płaczem. Dopiero przybiegła Regina i wzięła dziecinę w swe wonne ramiona.

Potem gra profesor swoją najnowszą kompozycję, zrodzoną w ciągu nocy, a kiedy Lonek i Regina wyrażają zachwyt, popada ślepiec w dziwną ekstazę, zacierając nagle dłonie pod stołem i śmieje się dziecinnym śmiechem, drgającym jak óma na jego pięknym bujnym wąsie. Śmiech ten jednak naraz, jak zwykle, ustaje, a twarz profesora w mgnieniu oka pokrywa się ponuremi zmarszczkami.

Niekiedy wychodzą pod wieczór we troje na przechadzkę. Regina prowadzi męża pod ramię, Lonek zaś wozi w słomianym wózeku małą Lolę. Idą za miasto, gdzie roztacza się nieośmięty widok na horyzont. W pewnej chwili siadają na murawie. Regina w środku. Cichutko bierze Lonek dłoń jej, przyciskając ją do ust.

— Jak pięknie słońce zachodzi! — mówi Regina.

Profesor zwraca swe czarne okulary w stronę horyzontu, chybia jednak celu, patrząc nie na zachód słońca, lecz w stronę pobliskiego ciemnego lasu. W wyobraźni majaczy mu jeden z przedudnych zachodów słońca, jakie widywał w dzieciństwie poprzez konary samotnej wierzby, rosnącej obok chaty Nikity. Lecz naraz posępnieje, wyjmując zegarek i dotyka go palcami.

— Może pójdziemy już do domu, Regino! — mówi tonem prośby.

W domu przez chwilę błądzą poomacku. Regina zdejmuje swój piękny kapelusz i kładzie go na łóżko. Późem zapala lampę, która rzuca snop światła na jej ciemne, rozpromienione lica ponad śnieżno-białą bluzą.

Schodzą się stali goście. Zabawiają się, kręcą, filozofują, dyskutują. Chwilami podchodzi ktoś do łóżka i z pietyzmem zdejmuje kapelusz Reginy, który teraz jest o wiele większy aniżeli wówczas, gdy jest na głowie.

W pewnej chwili zaczynają nalegać na profesora, by im zagrał różne urywki muzyczne, dla każdego najbardziej przezeń lubiany. Dobroduszny ślepiec nie odmawia. Zdejmując okulary, a wtedy białą się ruiny oczu, zwracając się w bok, gdy uderza w klawisze. Rozkoszne akordy szarpią rany, zadane w miłości przez swawolne, zimne, jasnowłose dziewczęta. Lecz oto przez pokój naukos przechodzi Regina, piękna czarnowłosa, o głębokich, smutnych nieco oczach z brwiami, schodzącymi się u nasady nosa, i rany te nieco zabliznia.

Po zamknięciu fortepianu toczy się rozmowa o różnych kwestjach muzycznych. Profesor objaśnia i tłumaczy tonem ex cathedra, wspominając mnóstwo nazwisk słynnych kompozytorów. W pewnej chwili rozmowa schodzi na temat różnych rodzajów muzycznych instrumentów — który jest najmiłszy? Profesor wychwala skrzypce, „dociągające akordy do samego końca“, przypominając jak się o instrumencie tym wyraził Edward Hanslick. Jeden z gości, emigrant rosyjski i poeta, twierdzi, że on, przeciwnie, nie znosi skrzypiec, które wydzierają się o litość i przypominają mu zawsze żydowskie wesela z brzydkimi, spoconymi dziewczętami, idącymi do tańca. Najlepiej natomiast lubi harmonijkę, mającą w sobie coś z rosy wieczornej i kochania pięknych i hożych dziewcząt wiejskich.

Lonek zauważył:

— A ja szczególnie lubię niekiedy — wiecie wy co? — katarynkę...

PROZA
ŻYDOWSKA

Tłumaczyli:

B. MOSIĘŻNIK
E. SCHÜRER
H. SZYMINOWNA

A. M. F U K S

Z I M A

Josel wyszedł na ulicę, naciągnął na uszy futrzaną ojcowską czapkę, głośno kichnął, przerywając panującą ciszę i ruszył naprzód. Naokoło wisiała martwa, przeraźliwa swoją białością noc, bez początku, bez końca, bez śladu wszelkiego cienia, jakby przed stworzeniem świata. Wiatr osłabł, tylko mróz płonął, trzeszczał, przejmował martwością przestrzeń naokoło, ścisnął ją żarliwie, aż rozpląszczył w białą równą powierzchnię. Okrąglą plamą zaczernił się wdali na białej powierzchni zgarbiony człowiek z workiem na plecach.

Był to Sender. Szedł z Koźlewa, sapiąc pod ciężarem worka soli. Było tak zimno, że oddech marzył mu pod nosem i straszliwie palił.

Nagle Sender stanął, — wydało mu się, że tam zdaleka w rowie coś się rusza: jakaś czarna plama, jak gdyby na kogoś czatowała, to się podnosiła, to opadała. Sender rozszerzył małe, ostre oczy i próbował wzrokiem przedrzeć się poza szarawą biel i rozpoznać, co się za nią dzieje. Pojmował tylko, że ta czarna plama nań czyha. Spuścił więc worek na ziemię, wyciągnął się pod nim i trwał tak ze wstrzymanym oddechem i zaciśniętymi zębami; ręką dotykał w kieszeni krótkiego ostrego noża, gotów każdej chwili skoczyć do walki. Czarna plama naprzemian to podnosiła się, to chowała.

Senderowi sprzykrzyło się wkońcu nasłuchiwanie.

— Pal sześć! — pomyślał głośno, według swego zwyczaju, podniósł się, wciągnął worek na plecy, otworzył nóż i, zacisnąwszy go mocno w garści, ruszył naprzód w kierunku tajemniczego rowu. Gdy się zbliżył, rozpoznał w czarnej plamie swego młodszego brata, Jósła.

— Ach, ty, draniu, oburzył się Sender, żeby cię szlak trafił... Gdzie leżesz po nocy?

— A tobie co do tego? Jak mi powiesz, dokąd ty idziesz, to ci powiem, dokąd ja, — rozumiesz, — odpowiedział Josel. Mówił powoli, zgrubiałym, zachrypniętym głosem.

— Patrzcie tego zucha, — odparł Sender, — mogłeś oberwać parę razy po mordzie, jak jasna cholera...

— A myślisz, że jabym ci nie był oddał, wykrzyknął Josel i stanął w pozycji obronnej, gotów do bitki.

Sender oddalił się z workiem na plecach, a Josel długo jeszcze czegoś szukał w rowie. Wreszcie wyciągnął ciężki kłoc, pokryty śniegiem i lodem, wziął go na ramię i ruszył do domu, ale inną drogą niż brat, naokoło Rożbiny.

Ciężko stapały buty Josla po zaspach śnieżnych. Nie czuł już rąk skostniałych od zimna. Czoło jego obficie zraszał pot. Na rękach narosły ostre, kłujące sople lodu. Kilkakroć poślizgnął się, aż wreszcie upadł pod ciężarem kłoca; leżąc tak, namacał rękoma pod śniegiem suche kości, ostre jak szpilety. Koście głucho zatrzeszczały, naruszając martwą, zastygłą ciszę nocy. Josel gotów był przysiąc, że to szkielet ich konia: nie stało żarcia dla wyschłej szkapiny, której żebra łukami otaczały zapadły brzuch. Wyleniata skóra nie miała już żadnej wartości. Więc z początkiem zimy wygnano szkapę z domu, aby gdzieś tam zdechła...

— Czego by tu stała bez żdźbła słomy... Samym niema, co do gęby włożyć, — powiedziała matka.

I Josel wygnał wówczas konia z domu.

Wydostawszy się wreszcie z rowu, myślał w dalszym ciągu o szkapie. Zdało mu się, że jej szary cień posuwa się przed nim, połyskując białemi, wyszczerzonymi zębami. I Josel przypomniał sobie, jak to wtedy w mroźną noc pędził konia z domu, niemiłosiernie tłukąc wychudzone zwierzę po krwawiących gołeniach. Widać było czerwone mięso, które na mrozie od razu pokryło się lodem, niby błyszczącą warstwą szkła. Wiatr podrywał i wyblakły ogon, zawijał nim ciągle w jedną stronę, czasem podnosił całą szkapę w górę i bezlitośnie smagał ostreimi, kłującymi podmuchami.

mi. Ale szkapka nie chciała iść. Stała uparcie, cierpliwie, podrzucała przez wiatr i nie ruszała się z miejsca. Wtedy Josel rozgniewał się na dobre. Tłukł bez litości po skrwawionych gołeniach, dopóki szkapka nie ruszyła; szła powoli, kulejąc nieco i tylko raz jeden obróciła wygłodzony łeb ze ślepymi oczyma, które już dawno wypłynęły. Josel stał i długo jeszcze patrzył, dopóki wypędzone zwierzę nie znikło w śnieżnej zamieci...

W nocy ojciec nagle usiadł w łóżku i rzekł:

— Josel, słyszysz, szkapka wróciła.

Naprawdę, wyraźnie słychać było, jak koński łeb ociera się o ściany chałupy. Potem znów ucichło.

— Żał, chociaż to tylko nieme stworzenie, westchnęła matka i natychmiast znów usnęła.

Ani ojciec, ani Josel nie mogli już owej nocy oka zmrużyć. Obaj leżeli wsłuchani w przeraźliwe wycie burzy. Ojciec pokasywał i od czasu do czasu pytał:

— Josel? Słyszysz co?

— Tak, słyszał. Słyszał kroki, tępe kroki po stwardniałym śniegu, których odgłos zwolna słabł. Słyszał i rozumiał wkońcu, że szkapka poszła sobie w tę okropną i burzliwą noc, poszła na pewną śmierć; wpadnie gdzieś do dołu i zginie z głodu i mrozu.

— Sama odeszła w taką noc, — pomyślał teraz Josel, czując mroźny dreszcz w rozpalonych plecach. Zdało mu się, jakby całe śmiertelne zimno owej nocy skupiło się w tym dreszczu, ale szedł naprzód, zginając się pod ciężarem kłoca, daleką, nieznaną, drogą, sam jeden pośród ciemnej zamieci.

— Któraż to teraz może być godzina, myślał, zresztą skoro sklepik Jankowskiego jeszcze otwarty, to chyba nie zbyt późno...

Zdaleka żółtawem światłem połyskiwały zamaznięte okna sklepiku. Na szybach porośniętych lodem jasno rysowały się żółte cienie żołnierskich głów w okrągłych papachach. Niewyraźne, ochryple głosy, dzikie pijane śmiechy, raczej do rżenia podobne, rozpierały niewielki sklepik, wydostawały się nazewnątrż w gęstą ciszę nocy i Josel mógłby być przysiąc, że rozróżnia między niemi cienki piszczący głos, tak mu znany, głos jego narzeczonej Elki.

To bolało, paliło wprost... Najgorszemu wrogowi nie życzyłoby takiego bólu... Ciężej i boleśniej odczuwał teraz ucisk kłoca na ramieniu. Lada chwila padnie pod nim... Żeby choć mógł dowiec się do chałupy, szkoda byłoby kłoca...

Wreszcie przywłókł się do domu. Rozebrał się pocichu, wsunął się do łóżka, w którym spał ojciec, i jak zwykle, obrócił twarz do wilgocią przesiąkniętej ściany, dotykając jej długim, suchym nosem. Żeby choć ciemno było w pokoju, żeby nie widzieć tańczącego, żółtego cienia świecy. A w świetle tem Sender w kapeluszu, wsuniętym na tył głowy, schylony tam w kącie wśród swoich worków z towarami, gorączkowo pracuje, przesypuje z worka do worka, kredę do mąki, piasek do cukru, liczy, rachuje, fałszuje, waży, znów miesza, nabiera wody do ust i obryzguje szerokie liście tytoniu. Błyszczące jego oczy zatopione są w radośnej, dobrobyt niosącej pracy.

Lekkie, drżące pukanie do okna, jak gdyby ptaszek trącił skrzydełkiem. Sender otworzył drzwi i dwaj Żydzi, czarni, ocieźniali z sopłami lodu na brodach — nie weszli, ale rzekłbyś, wkradli się; czapki ich głęboko wsunięte na oczy, twarde kozuchy, przewiązane sznurem, miały w sobie coś z czarnej nocy, kryjącej się za oknami chałupy.

— Dobry wieczór...

— Ile masz, Sender, — niższy z przybyszów uderzył batem w worek.

— Dwadzieścia kilo...

— No, a co z tym workiem soli?

— Co to was obchodzi? Nie sprzedam. Nie mam czasu? Co? Jeszcze woła? Niechaj leży, nie pali się,

Sender przymruża oko, ręce zamaszycie wsadza do kieszeni, kapelusz zsuwa na tył głowy. Trzyma się po pańsku. Stali więc we trójkę, Sender wzrostem najmniejszy, nachyleni nad workami, o szerokich barach, twardzi, silni, pewni swej mocy.

„Szeptali, targowali się, kłócili, szybko liczyli pieniądze, raz i dwa, raz i dwa, z jednej twardej, popękanej ręki do drugiej...”

— Dobranoc...

— Dobranoc, idźcie z Bogiem.

I dwie nachylone szerokie, czarne postacie z workami na plecach zeszły z pagórka, twardo skrzypiąc butami i zanurzyły się w pustkę szarej nocy, dyszącej siarczystym mrozem.

W izbie znów zapanowała cisza. Cień świecy ukazał się na ścianach i pełził po suficie, drgając, jak żywy wąż. Sender długo się jeszcze kręcił, majstrował, krzątał koło swych worków, szukał czegoś pomiędzy garnkami, liczył pieniądze; wreszcie skrzętnie schował podarte brudne papierki do kufra. Potem zzuł buty, rozebrał się, rzucił na posłanie w kącie za piecem, okrył się szmatami i wnet popadł w zdrowy sen, chrapiąc i pogwizdując nosem: dryndź... dryndź... dryndź...

*

— Dzieci, och dzieci, słyszycie, Sender...

Matka pierwsza obudziła się, potem ojciec jęknął i cicho splunął w ciemność. To już było inne stukanie; nie jak przedtem — lekkie dotknięcie zamarzłych szyb. Teraz miało to w sobie coś złowieszczonego. Cicho, niezmiernie szybko, z kocią wprost zręcznością zeskoczył Sender z posłania i rzucił się do swoich worków; jeden włożył ojcu pod poduszkę, drugi matce — pod nogi i prędko wrócił do swego kąta za piecem, okrył się szmatami aż po głowę i nasłuchiwał stamtąd ostro natężonem uchem.

— Otworzyć, do cholery!

Głos był zachrypnięty, przytłumiony, jak gdyby wydobywał się z głębokiego dołu; brzmiał krwią i mordem.

— Josel, otwórz, — jęknęła matka.

Josel powoli wylazł z łóżka, duże, suche rozplaszczone nogi wsadził w zimne buty i poszedł ku drzwiom...

Było ich trzech, ubrani napół po żołniersku, napół z chłopska. Z ciężkich podwiązanych kozuchów biło mrozem. Najeżone bagnety u karabinów dotykały sufitu, grożąc przebicciem...

Josel zapalił świecę, zrzucił buty i wlaź z powrotem do łóżka.

— Aaa... zadrżał z rozkoszy, czując wilgotne ciepło pościeli.

Z przybyszami rozmawiała matka. Byli to zresztą znajome chłopaki z Rożbiny: synowie Siemiona, Piotra i Jewdochy.

— Czego chcecie, na Boga, — płakała matka. — W chałupie nic

niema. Żadnych towarów. Idźcież spać, kochani chłopcy. Późna godzina...

Zimna, półciemna chałupa pełna była karabinów, bagnetów, kozuchów, zachrypniętej chłopskiej mowy i przerażenia.

Czerwone zbójckie ręce przeszukały wszystkie kąty, aż wreszcie wyciągnęły matce z pod nóg worek soli... Surowe okropne głosy:

— U, żydy parszywe! A gdzie Sender? Gdzie się podział Sender? Sender!

— Sender? Sendera niema w domu... Co za Sender? U nas niema żadnego Sendera. Jaki Sender?

— Nieszczęście, Menachem, dzieci,—zajęczała nagle, bo szmaty już leciały z Senderowego posłania. Twarz matki zsiniała.

— A to kto? ty, wstawaj-no, żydku przekłety... prędeż, prędeż... ściagnąć go... trzymaj, łapaj...

Milcząc, z głową spuszczoną na piersi, Sender powoli wciągnął spodnie, włożył buty i zapiął pas.

Ojciec przegiął się nad krawędzią łóżka, i głośno splunął.

— He-che-fre, — kasał, — przecież mówiłem, żeby...

Ciężka chłopska pięść głucho uderzyła Sendera w kark.

— Prędeż, żydku, chodź...

Josel z hałasem obrócił się w łóżku.

— Hej ty... nie bij, mówię ci... czego bijesz...

Sender podciągnął spodnie i przechylił się w bok. Znow spadła mu na kark chłopska pięść.

— Prędeż żydku, brać go...

Ściągnęli już karabiny z ramion i trzymali je w ciężkich zbójckich łapach, jak lekkie cienkie drzewienka.

Ojciec z trudem usiadł w łóżku.

— Będę wołać ratunku,—jęczała matka.—Menachem... Boże...

Ciężki szloch rodziców i znow cisza.

Pustka zapanowała w izbie, jakgdyby po dwakroć zwiększona. Surowe, ostre zimno wypełniło izbę, jak w domu, z którego wyniesiono nieboszczyka. Cień świecy chylił się w ostatnich drgawkach i małą czarną żmijką tańczył na ścianie. Josel ledwo słyszał

ciężkie, skrzypiące kroki, któremi zeszli z pagórka. W alkuwie zgłodniały szczur chciwie chleptał pomyje.

— Oj, nieszczęście... Boże... Dokąd oni go zaciągnęli, dokąd... Menachem...

Rodzice siedzieli w łóżku, nasłuchując z zapartym oddechem, niemi, naprężeni, zastygli.

— Kto tam?... Kto tam?... Menachem, Josel, ktoś tam przy drzwiach... Sender, to ty? To ci noc, Boże...

To był Sender. Wrócił. Zaryglował drzwi, wszedł do izby i począł się rozbierać.

— Żeby ich jasna cholera,... — powiedział.

Ojciec chciał zapytać, co ta sprawa kosztowała... gdzie się podział worek soli, ale nie śmiał. Wiedział zresztą, że syn nie odpowie.

Sender zzuł buty. Znać było, że się spieszył. Zgaślił świecę i owinąwszy się w szmaty pod piecem, powiedział:

— Mamo... słyszysz mamó, obudzisz mnie nad ranem... Muszę dokądś pójść... słyszysz mamó...

BARUCH GLAZMAN

MOJŻESZ RAMBAM

Fragment z powieści

I.

Z wyjątkiem soboty i niedzieli, kiedy redakcja pracuje popołudniu, Rambam wstaje zazwyczaj bardzo wcześnie.

O godzinie wpół do szóstej rano musi być w redakcji, a dojazd z domu do redakcji trwa prawie godzinę. Wstaje więc około czwartej nad ranem.

Latem — nic w tem jeszcze strasznego. Przeciwnie, wczesne wstawanie orzeźwia człowieka.

Olbrzym New-York, który dopiero późną nocą zapadł w czujną drzemkę o ciężkich snach, pełnych hałasu miejskich pociągów i tłumnie pędzących samochodów — olbrzym New-York zaczyna się budzić. Przeciera sobie oczy mlekiem i chlebem, rozwożonem po mieście, stertami świeżej zielenizny, kopiasto naładowanej na auta ciężarowe.

Tak bywa latem; nawet ptaki świergocą już o tej porze, gdzieś, na drutach telefonicznych.

Zimą bywa jednak dość ciężko. Szczególnie, gdy całymi nocami sypia się bardzo źle i niespokojnie. Wciąż prześladuje obawa, aby się nie spóźnić. To nie drobnostka, gdyby się coś takiego przytrafiło — gazeta, której wyczekują dziesiątki i dziesiątki tysięcy par oczu!... I Rambam wciąż nie może się przyzwyczaić do wczesnego wstawania, mimo, że na posadzie tej pracuje już od kilku lat. Mojżesz Rambam nie jest młodzieniaszkiem, dobija już do czterdziestki... Przy czterdziestu latach — czyż nie zawczasie poczuł jesień swego życia? Może dlatego, że cierpi na neurastenję i skłonny jest doszukiwać się w sobie nieistniejących chorób i śla-

bości? Zresztą, wszystko jedno... Te urojone cierpienia sprawiają mu może więcej bóle, niż „prawdziwe” choroby.

Tak, zimą bywa dlatego dość ciężko...

Nad ranem zrywa się często wiatr na dworze. Stare płachty gazet wirują w zawiei. Rzędy milczących latarni sznurem obrębiają ulicę — palą się martwo, cmentarnie. Nie dojrzyś żywej duszy — nawet psa. Po niebie pędzą chmury — złe, kudłate. Ani śladu księżyca, gwiazd. Milcząca, nocna pustka wielkiego miasta. Tylko wiatr orze bezustanku niebo, ulice, przymarzły asfalt.

Mojżesz Rambam spieszy przez ulice do najbliższej stacji kolei miejskiej, sam jeden przez pustkę nocy, sam jeden, jak błędny duch.

W wagonie czuje się nieco rażniej: są tu przynajmniej ludzie. Po odzieży, paczkach z narzędziami u nóg można ich rozpoznać: irlandzcy robotnicy portowi i transportowcy, Włosi, spełniający czarną robotę gdzieś przy kopaniu kolei podziemnej, murzyni, pomocnicy murarscy. Szczególnie zaciekawiają dobrze ubrani pasażerowie: trudno domyśleć się, poco tak wcześnie wstali — do jakich tajemniczych zajęć spieszą o tej porze?

Siedzą wszyscy milcząco, mają twarze blade, wydłużone — bardziej milczący i skupieni, niż zwykli pasażerowie w dziennych pociągach.

Rambamowi wydaje się nagle, że wszyscy ci, bez wyjątku, to więźniowie, których teraz, w ponurych, blado-oświetlonych wagonach, wiozą ku jakiemuś nieokreślonemu, straszliwemu przeznaczeniu. Dlatego siedzą tu wszyscy w milczeniu, każdy zatopiony w ostatniej swojej myśli...

*

Stopniowo budzi się w nim tętno życia, zaczyna bić w jednym rytmie z budzącem się tętnem wielkiego miasta.

Gdy wysiada na swojej stacji przy Canale-Street, czuje się już świeżo i rzeźko. Nozdrza szybko chwytają ostre, poranne powietrze, które wionęło nań z bramy mostu Manhattan — z wód new-jorskiego zlewiska po drugiej stronie rzędu drapaczy nieba, co płoną teraz we wschodzącym słońcu.

Bramy mostu Manhattan!...

Ranek. W dole, nad ziemią błękitna mgła. Most spoczywa jeszcze w ciszy, wielki, potężny. Świecą się jeszcze sznury lampek elektrycznych, które zdobią i owijają przez całą noc ogromne masywne bramy betonowe; palą się jeszcze o poranku — niosą wieści o tajemnicach nocy na krańcach miasta. Wielkie kwadraty przestrzeni, zamknięte w ramach bramy, mają świąteczny, świeży wygląd — jakby umyte przed chwilą...

O tej godzinie dopiero czuje się panujące wokoło ciche oczekiwanie: przez te wrota ma nadejść wkrótce, — może już, zaraz — wiosna...

Rambam staje przez chwilę przykuty do miejsca, — zdawałoby się, że chce tu pozostać, kto wie, jak długo. Drgnęły w nim nagle struny, dawno zamilkłe; wykwitają słowa, tańczą każde z oddzielną, potem biorą się za ręce, wiążą w strofy... przybiega nowa strofa, klania się przed nim, za nią trzecia, czwarta...

— — — — —
Królewskie wrota mostu Manhattan o cichem, chłodnym świtanii, które pachnie już nadejściem wiosny!...

— — — — —
Grzmiące auto ciężarowe nadjechało nagle z tyłu, od strony Boveri; przeraźliwym sygnałem przecięło ciszę wspaniałego poranku.

Dzień new-jorski oznajmił swe nadejście pierwszym rozgłosnym gońcem. Rambam przemocą zerwał się z miejsca.

— To ci dopiero! — wszystko tam czeka na niego, by puścić w ruch olbrymią maszynę...

I bez tchu prawie biegnie do redakcji.

*

W drzwiach oczekuje już paczka świeżych angielskich pism porannych. Świeżo upieczone późną nocą wielkie gazety — pachną jeszcze farbą i wypadkami, ledwo co narodzonemi.

Rambam w pośpiechu chwyta je pod pachę: jak skarb porzucony...

Wbiega do dużego pokoju redakcyjnego. Jest tu cicho, jak na cmentarzu. Światło elektryczne pali się przez całą noc, chociaż nikogo dotychczas niema w lokalu, i potęguje cmentarny nastrój. Przez okna w murze najwyższego piętra wpada cichy, bezbarwny świt.

W głównym pokoju redakcyjnym, gdzie fabrykuje się nowe wiadomości, panuje jeszcze zupełna cisza: jedynie aparat telegraficzny — nocny stróż redakcji — westchnie od czasu do czasu, budząc ciszę późnej nocy. Ten nawpół martwy, nawpół żywy dozorca puka pod szklanym kloszem, nad ranem coraz częściej i pewniej; teraz puka już prawie bez przerwy. Wiecznie niespokojne tętno wielkiego świata, który czuwa gdzieś daleko, czuwa wiecznie...

I rzecz dziwna: od tego samotnego pukania w pustym, oświetlonym pokoju redakcyjnym jeszcze większy smutek osiada na duszy, jakgdyby z pod tej szklanej skrzynki sfrunąć miały złowróbnne wieści...

Rambam szybko jednak otrząsa się z tego nastroju; energicznie rozkłada na swoim stole wielkie płachty angielskich gazet. Wprawne okiem przegląda szybko kilka pięter nagłówek nad wiadomościami, zwinnie przebiega nożycami po wielkich kolumnach; bezlitośnie tnje je, ćwiartuje — przygotowuje materiał dla pracowników redakcji, którzy zaraz nadejdą.

Po chwili wsuwają się jeden za drugim do redakcji. Zaspani, o twarzach niezadowolonych, rzucają krótkie „dzieńdobry”, jakby od niechcenia, nie podnosząc nawet oczu.

Po chwili już praca wre w pełnym tempie — precyzyjna, codzienna maszyna: bezustanku skrzypią pióra, maszyny do pisania zanoszą się w głośnym stuku. Z brzuchatych bloków szybko znikają kartki. Zecerzy niecierpliwie biegają tam i z powrotem, wyrrywają z rąk kartki, nieobeschle jeszcze z atramentu. W zecerni nienasycone linotypy o długich stalowych szyjach i chciwych, metalowych palcach polykają bezustanku kopję.

Rambam, zagłębiany w swoich notatkach, gryzie naczczo surowe jabłko — środek przeciwko niestrawności. Polyka duże kęsy i znów szpera po gazetach — czy nie ominął jakiejś ciekawej wiadomości?... Co chwila biegnie do telegrafu, wyciąga długie pa-

pierowe wstęgi, jakając się w pośpiechu odgaduje z płynącej wstęgi pełne garście nowych wiadomości, które nagle urywają się w najważniejszym punkcie...

Aparat przystaje, milknie! Wtedy Rambam podbiega z powrotem do biurka, do nowych pism, które niewyspany woźny co chwila przynosi z dołu, z ulicy. Dopóki nie napłynie do telegrafu nowa fala elektryczna, aparat zacznie pukać i znów popłyną wstęgi papierowe — wówczas Rambam w mgnieniu oka jest już przy aparacie i wyciąga mu z pod zębów wstęgę za wstęgą.

W takich chwilach odczuwa Rambam doniosłość swego stanowiska.

— Niczem kapitan okrętu, dowódca, kierujący bitwą!...

Czyż praca jego jest bez wartości? W tysiącach miast i miasteczek, w najdalszych osiedlach żydowskich Stanów Zjednoczonych i Kanady czekają na tę jego pracę dziesiątki tysięcy ludzi.

I gdyby tak pozostał jeszcze kilka godzin przy owej wspaniałej bramie u mostu Manhattan — co by się wówczas stało?

Tak, podczas tych chwil cudownych coś się w nim obudziło, zaczęło się snuć, wykluwać... Trudno narazie stwierdzić, co to takiego: czy tylko wiersz, czy może cały poemat?...

Jego przyjaciel i przeciwnik na polu literackim, poeta Saul Wilder, który ma zwyczaj przy każdej sposobności przytaczać cytaty biblijne, — Rambam widzi już z góry: gdyby po tak długim milczeniu ogłosił nowy poemat, Wilder całymi dniami chodziłby po kawiarniach, zatrzymywał znajomych i, zacierając ręce z wielkiego zaaferowania, zapytywałby każdego:

— No, już pan widział? Co pan powie o tem? Widocznie jeszcze coś niecoś potrafi... Muszę koniecznie poszperać w nowych antologjach poezji amerykańskiej i zobaczyć, skąd też on ściągnął takie świetne wiersze...

Tak, wniosłoby to napewno Rambamowi wiele jasności w jego życie.

Ale — z drugiej znów strony — niech spojrzy na ten obraz, który roztacza się przed nim gdzieś, w rzeczywistym życiu — obraz majestatyczny, niezwykle!

— Dziesiątki, setki tysięcy ludzi w najdalszych zakątkach

Ameryki czytają „jego” gazetę — pozostałoby przecież bez wieści! Zagubieni gdzieś w górach, dolinach, oderwani od świata żydowskiego... Jak ludzie w wielkim mieście, kiedy nagle pod wieczór gaśnie światło elektryczne...

W takich chwilach czuje Rambam doniosłość swego stanowiska. Kto śmiałyby twierdzić, że wszystko to czyni tylko dla zarobku? Praca jego jest przecież najważniejszą bodaj na świecie! Światu dzisiejszemu gazeta jest bardziej potrzebna od poezji! I szczególnie — „u nas, Żydów”. Prasa to przecież umerwienie, które...

Umysł Rambama zaczyna odczuwać zmęczenie. Myśli nie kojarzą się już z taką łatwością. Wielkie stronicy angielskich pism szeleszczą dziwnie usypiająco pod dotknięciem jego zmęczonych palców. Nagle:

— „Posel Johnson wnosi do kongresu projekt nowej ustawy anty-imigracyjnej”...

Wiadomość ta umieszczona na trzeciej stronie u dołu, jakgdyby chciano ją ukryć. Rambam szybko przebiega oczyma krótką wzmiankę: następuje wiadomość z Waszyngtonu o wzmożonych utrudnieniach imigracyjnych do Stanów Zjednoczonych.

Zmęczenie znika w mgnieniu oka.

— Ho, ho! gratka nielada! Pierwszorzędna wiadomość!... — drży z przejęcia. — Jakże mógł do ostatniej chwili nie zauważyć tak ważnej rzeczy?

Ale teraz z tego się coś robi — nada się nagłówek na całe cztery szpalty... Podtytuł też — nie, nawet dwa podtytuły! To przecież posiada „ogólno-narodowe” znaczenie!... Ach, a on o włos nie przeoczył...

Wycina wiadomość drżącymi dłońmi, z bijącym sercem. Ładnie by wyglądał, gdyby nie zamieścił tego w dzisiejszym numerze, podczas gdy inne pisma napewno podadzą tę wiadomość! Serce zamiera, zimno robi mu się na myśl o wzroku, jakimby go poczęstował naczelny redaktor — a co ważniejsza właściciele pisma!...

— No, — szepcze z uczuciem skruchy. — Teraz robi z tego pierwszorzędną wiadomość — tak, największą sensację dnia!...

Nic nie szkodzi, że złożono już na pierwszą stronę inne wia-

domości. Spieszy się, goni. Nerwowo wydaje rozkazy metrapa-
żowi, aby to i owo wyrzucić z gotowej prawie formy, by wyrzu-
cić nawet sensacyjną historję o osiemdziesięcioletniej kobiecie,
która w nocy wykraǳła się z domu starców, aby pobrać się z 86-
letnim staruszką — nawet tak ciekawą historję postanowił po-
święcić! Z wielkiej niecierpliwości zaczął sam wyrzucać złożone już
szpalty. Dopiero surowe spojrzenie krótkowzrocznego, piegowate-
go metrapaży przypomniało mu milcząco, aby się powstrzymał:
według przepisów związku drukarzy nikomu — nawet redakto-
rowi — nie wolno dotknąć się formy...

Rambam nieprzytomny, podniecony niecierpliwie biegał wokoło
okutego żelazem stołu i bez przerwy wydaje zupełnie zbyteczne
rozkazy. Jakgdyby chciał się zemścić na kimś za to przewinienie,
którego o mało nie popełnił przed chwilą... Teraz nada temu olbrzy-
mi tytuł:

*„Imigracja do Stanów Zjednoczonych zamiera na najbliższe
dwadzieścia pięć lat.”*

Jak to ściągnie uwagę wszystkich, porwie, uderzy jak obuchem
po głowach, dopadnie każdego przechodnia...

Wreszcie, gdy wszystko było już gotowe, na właściwym miej-
scu umieszczone i pierwszą stronę odlano już w olbrzymią grubą
płytę i przesłano do prasy — Rambam zatryumfował.

ICEK KIPNIS

CO ZA RADOŚĆ!

Byłem wówczas jeszcze bardzo młody — młokos poprostu.
Co to się wtedy nie działo!

Ale się przecież jedno z drugim nie wiąże. Dobrze to i wtedy
człowiekowi było, może nawet lepiej, niż dziś. A jeśli się mówi
dobrze, to czegoż więcej trzeba?

Teraz właśnie, siedząc na wozie, przypominałem sobie o tem.
Rankiem świeci słońce, zboża wzbierają ziarnem, a z bocznych uli-
czek pędzą wozy, po dwa, po trzy, po pięć, a pośród wozów — po-
niektórzy na oklep jeżdżąc prowadzą kilka koni, inni znów bydło
na postronku. Poznać, że jarmark dzisiaj w miasteczku. Jedne wozy
przeganiają nas, a inne, powolniejsze, pozostają za nami w tyle.
I nagle uniosły mnie wspomnienia dawnych lat.

W przededniu jarmarku.

Żona moja chodziła już podówczas z pierwszym dzieckiem,
ale mi jeszcze pomagała w różnych drobniejszych sprawach: czy
to do szkapy zajrzała, bym nie potrzebował odrywać się od pracy,
czy to siedziała, tak sobie, w warsztacie na kupie skór albo na
koźle i przypatrywała się mojej pracy; a jak ona patrzała, to praco-
wało mi się o wiele lżej. Partja towaru, którą musiałem wywieźć na
jarmark — towar bądź mój, bądź cudzy — opóźniła się trochę
i trzeba było bardzo się spieszyć, aby wykończyć robotę na czas.

Jest przed jarmarkiem. Człowieka do pracy nikt nie ustąpi
i nic w tem dziwnego: każdy jest potrzebny. No cóż, takie rzeczy
to u Pana Boga nie nowina. Jarmark miał się odbyć — dajmy na
to — we czwartek, a był już wtorek. Jasne więc, że przez te dwa dni,
we wtorek i środę, trzeba było pracować do późnego wieczora,
mimo, że dzień był już długi. Ale jak mi żona pomaga, jest mi
lżej. Kiedy już wreszcie we środę pod wieczór kończę glansowanie,
kamień spada mi z serca.

We czwartek towar się sortuje, wiąże — i na wóz! Zapakowane, przeliczone, w pośpiechu wypita szklanka cykorji i koń raz-dwa do wozu wprzągnięty. Komika miałem wtedy, że bata do niego nie potrzeba było; aby tylko lejce wziąć do ręki — i wio! Cacko, a nie koń! Do Krasnowolska mamy raptem niecałe 15 wiorst i jechałem wtedy — pamiętam — wśród zbóż, dojrzewających tak samo jak dzisiaj.

Z bocznych uliczek pędziły, jak za każdym razem, wozy świeże, wypoczęte, — a mnie jeszcze sen morzył; lecz głowa już zaprzągnięta stu drobiazgami: żeby choć chłopci przyjechali odebrać swoje skórki i zapłacili mi, tobym ich nie potrzebował wozić z powrotem i trzymać, Bóg wie, jak długo. Oto gnije już u mnie ta wielka juchtowa skóra Nieczipioienka. Już dwunasty tydzień leży gotowa, a jego gdzieś tam lichy wzięło. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą tę skórę na jarmark, a nuż przyjdzie, to się nareszcie pozbędę kłopotu... Gdybym to trochę towaru sprzedał, byłoby bardzo dobrze. W sklepie należy się według rachunku 25 rubli, rzeźnikowi za surowe skóry — dwieście rubli, a resztę musiałbym wydać na nową partję skór. Mam teraz na wozie kilka tyliczek (pomniejszych skórki) — nie towar, — prawdziwe lusterko i żeby tak natrafić na porządnego kupca, toby mi za nie podziękował w dodatku.

Odczytuję w myślach pełny wóz towaru, niby otwartą księgę. Co chwila przychodzi mi na myśl żona. Ciężko jej biedaczce, pewnie się teraz znowu położyła. Gdyby teraz razem ze mną jechała, nie miałbym i połowy kłopotu. Jakoś, kiedy ona jest przy mnie, czynię ją gospodynią wszystkiego i słucham, robię wszystko, co mi doradzi. Rozum ma jasny, że choćby świat objechać... Tak oto myśląc, podnoszę oczy i dostrzegam już targowisko. Jeszcze tylko te łachy piasku minąć, a już będzie grobowiec cadyka i kirkut. A ledwo wyjadę z pocztowej uliczki, już się zaczyna jarmark, — stawiają budy i rozpinają brezenty. Spójrz, to ci naprawdę będzie jarmark! I staję jako jeden z pierwszych w uliczce skórników. Właśnie tak, jak to lubię. Lubię przyjeżdżać na czas, albo wcale nie.

W kilka minut później zaczynają się już zjeżdżać także inni

garbarze. Nasi i z różnych innych miasteczek. Miejscowi garbarze nie wykładają swoich towarów, przychodzą tylko od czasu do czasu popatrzeć, pogadać, pochwałą robotę jednego, a na robotę innego powiedzą, że partaczy, że nie chce mu się mocniej ręki przyłożyć. Mój towar wszyscy jednogłośnie chwalą, że jest „owszem”, dobry. Szewcy co prawda mówią, że zdzieram za towar; stara historia: chcecie mieć dobry towar, to pofatygujcie się i płacie.

Kupcy się kręcą, tu pomaca, tam pomaca, — jeden przychodzi kupić, a drugi głowę zawróci. Ot, jak na jarmarku. Stopniowo pojawiają się i chłopci po odbiór swoich skór. Macają, gniotą i dłubią paznogciem, jeden szuka swego znaku na skórze. Ale o takie rzeczy jestem całkiem spokojny, bo choćby ich skóry miały złocene brzegi, to ja cudzego nie chcę. Targ jest nieszczególny, ale dzień jest jeszcze dosyć długi, to się może towaru do domu z powrotem nie zawiezie.

Widać już na jarmarku i wiśnie i czarne jagody, to się kupuje coś na przegryzkę. A kto żałuje wydać na to piąta, ten przysuwa się do drugiego, aby skubnąć. No cóż, tem się przecież jeszcze nikogo nie objada. Przyjąłem do roboty trochę surowych skór, leżą pod wozem.

Już i połowa dnia minęła. Po tamtej stronie uliczki dzwonią kosami, piją kwas, gadają, hałasują, wóz się pomału wypróżnia, a kieszeń się wypełnia. Podeszła do mnie krewna:

— No, co porabiasz? A co porabia Łajka? Ona już pewnie przy nadziei? Nie wstydz się, głupi! Kto się wstydzi, ten nie może mieć dzieci.

A mnie sprawia przyjemność, że ona chwali moją Łajeczkę.

— O, — powiada dalej — jest z kim porozmawiać, to ci Łajeczka!

A mnie się ciągle cknii, że żony tutaj niema; bo i czem jestem bez niej? Bez niej jestem niczem.

— I ktoby się był tego spodziewał? Pozostało mi parę najlepszych tyliczek, które — jak myślałem — wyłapią mi z ręki. Udaję się więc do starca z Białokrowy.

Starzec ma długą koźlą brodę i pociągłą, pomiętą twarz i w życiu swoim na niejednym już był jarmarku.

— Abyś wiedział, — powiada on do mnie, — że nad każdą rzeczą ciąży jej własny los. Czasem brzydka panna prędko się wyda, a ładna zostanie na pniu! Wszystko jest rzeczą losu.

Tak też zostało mi parę tyliczek i ta duża skóra Nieczipiorenka. Jakoś niema wokoło niej natłoku. Zamyślałem więc znowu pójść do starca i zapytać, co on robi w takich wypadkach, gdy zalega u niego jakaś chłopska skóra a nie przychodzą ją wykupić. Tymczasem widzę, że koń stoi i nie żre. Zostawiłem więc na wozie znajomego chłopca, kazałem mu uważać, a sam poszedłem konia napić. Właściwy jarmark odbywa się nie tam, gdzieśmy stali, lecz tam, gdzie są sklepy; narodu tam tyle, że trudno się przepchnąć. Konie rżą, wozy stłoczone. Wszyscy czują, że są na jarmarku, każdy zajęty na swój sposób: gardłuje się, bryka, w ścisku zaplątują się postronki. Wszędzie sterczą dyszle zadarte do góry pośród stolików, pełnych cukierków, piszczałek i zabawek.

Nieco dalej jest już przestrzenniejsz. Tam Żydzi kupują, szacuje się płótna, kilimy; koń mój wytarzał się koło stawu, napił się.

Krewniacy moi mieszkają właśnie koło tego stawu, w dolince; wybiegli dzieci ich i prosiły, abym je według zwyczaju posadził na konia. Zaraz za niemi wybiegła siostra ich matki, starsza panna o długich grubych warkoczach, bardzo czysto ubrana, i uczepiła się mnie: co to znaczy, że nie chcę nawet wstąpić do mnieszkania, że nie chcę nawet obiadu zjeść; co to znaczy, — ona mi „tego” nigdy nie zapomni.

Tłumaczyłem się, jak mogłem, i wreszcie dotarłem z powrotem do mego wozu. Stary chłop i młoda chłopka siedzieli i czekali. Patrzają na mnie, — ja na nich.

— Czy jestem tym i tym?

— Jestem! O co chodzi?

— Karpo Nieczipiorenko z takiej a takiej wsi oddał mi skórę do wyprawy...

— Owszem, mam taką skórę. Gdzież jest on sam?

— Niema go teraz (mniejsza o przyczynę) — posadzili go do

więzienia, przeskrobał coś. On, stary, to jego teść, a ta młoda to jego córka, tamtego żona.

Na córkę nie mogę podnieść oczu, tak oślepia mnie jej uroda. Mało powiedzieć piękna, odkąd żyję na świecie, jeszcze nie oglądał takiego lusterka.

Jest smukła i delikatna. Z twarzy ani na chwilę nie znika jej uśmiezek. Policzki, usta, cała twarz — tylko przeglądać się w niej, za biletami stać i patrzeć. Nie rozumiem, jak pozwalają jej przejść ulicą, że nie gonią za nią gromadą?! Ja, Żyd, który posiada — oby nie urzec — dom i żonę — oby się nam nic złego nie zdarzyło — patrząc na nią, tchu nie mogę złapać. Oni mówią do mnie, a ja ledwo mogę usta otworzyć. Widziałem już w moim życiu różne panie i wielkomiejskich ludzi... No i...?! A ona się wcale tak wysoko nie ceni, bawi się koniem, klepie go, głaska go po szyji. Jej brwi stykają się u nasady nosa, jak dwa wężyki, a pod brwiami, oprawione w długie podgięte rzęsy, para oczu. Czuję, że jeszcze mi się co złego stanie. Lecz w tej chwili przypominam sobie twarzyczkę Łajeczki, Łajeczkę brzemienią z plamami na policzkach i czole, i słodki jej płód, który nosi w łonie... I czar prysł i nie widzę już kobiety; odpowiadam staremu na wszystko łatwo i prędko: chcesz zabrać skórę, weź! Chcesz płacić, płać!

— Dapożyczyć coś chcesz? — dapożycz!

Sąsiedzi moi, garbarze, też byli poruszeni pięknnością tej kobiety, — przystępują, odchodzą, szturchają się i ciągle coś przygadują:

— „Jakiej zapłaty trzebaby zażądać za wygarbowanie tej kobietki?” i tym podobne żarówki. Zaczynam się wstydzić za nich, lecz, jak widzę, ona wcale się im nie przysłuchuje.

Opiera się tylko niedbale o wóz i powiada do ojca tak, żebym ja też słyszał:

— Całkiem podobny do syna naszej stryjenki! Jak zbliżał się do nas z koniem, o mało go nie chwyciłam za rękę!...

— Prawda, że to nie on jednak... Sawrin służy przecież teraz w wojsku! Też jest wysoki i włosy mu tak samo opadają na czoło, a zęby, te zęby?!

Naści, bracie, — i ani na chwilę nie odwraca ode mnie ser-

decznego spojrzenia jasnych oczu, a gdy się jej ojciec na chwilę odwrócił, to się jeszcze *prawdziwiej* uśmiechnęła do mnie... A uśmiech ten był, jak skinienie.

— Boże wielki — myślę sobie, czegoż ona chce ode mnie? Ale w spojrzeniu jej nie było zuchwalstwa i nie mogę jej nawet niczego zarzucić, bo skądże miała wiedzieć, że mam już żonę i dom?

Nie umiem sobie dać rady, jak się tu wykręcić z godnością? Aż wpadłem na bardzo dobry pomysł: zacząłem wprzęgać konia. Garbarze się dziwią:

— Co, już tak prędko?

Opowiadam im, że zostało mi w wozie jeszcze tylko kilka tyliczek, na które wszędzie kupca znajduję. I dalej zaprzęgam konia. Ojciec jej wetknął mi do ręki kilka razy liczone srebrniaki; nie sprawdzając już, schowałem je do kieszeni.

— No, prędzej — powiada on do córki, i układa sobie skórę pod pachę. — Chodźmy.

— Idźcie sami, — odpowiada ona ojcu, — i nie zapomnijcie kupić osetki do domu, poczekam na was i posiedzę trochę w chłodku.

Chomąto i uprzęż wypadają mi z rąk. Ale jak tylko przypominę sobie mój dom — Łajeczka myje statki, opierając się brzuchem o stół, — wtedy ręce moje stają się znowu rękami. Oby tylko nie patrzeć, nie wolno. I chomąto już nałożone, wóz nakierowany, a koń podnosi łeb, abym mu kazał już ruszyć. Było jednakże przeznaczone, by moje tyliczki nie doznały wstydu i lichy naniósł pewnego szewca z dwoma chłopami, który zaczął im — i słusznie — zachwalać resztki mego towaru. Nie dają się więc ci chłopci długo prosić, składają zadatek i odchodzą po resztę pieniędzy, żebym tylko zaczekał. Na taki zbieg wypadków ojciec mój zwykł był mawiać „djabelskie zrządzenie”! Czyż miałem zresztą inne wyjście? Musiałem czekać! Rzuciłem koniowi trochę koniczyny, odpiąłem wędzidło, a sam położyłem się na wóz z zamkniętymi oczami. (Sprawdzam tylko kieszeń, czy portfel jest. Pieniądze nie wszystkie są moje, więc trzeba je podwójnie strzec.)

Gdy otwieram oczy, widzę, jak inni garbarze rozjeżdżają się już.

Jedni zaprzęgają sami, innych wyręczają furmani. Jestem spokojny, jarmark minął bez dalszych już wydarzeń, a towar zamienił się w gotówkę. Pełny wóz towaru streścił się w portfelu, tylko kieszeń trochę obwisa. Szatan zda się odstąpił ode mnie. Podała mi rękę i patrzyła mi w oczy. O, ta ręka i to spojrzenie!... Gdyby nie obawiać się grzechu, — a zdaje się, istnieje gdzieś takie przykazanie — to należałoby nad takim cudem odmówić błogosławieństwo. Bo przecież to cud, że się taka rodzi. Całe życie oddać za jeden uścisk, — gdyby nie dom. (Taka zdarza się tylko jedna w całym kraju)! Jeden z chłopów przybiegł zasapany, myślał, że się rozłościłem i odjechałem. Głupi, gdy chodzi o chleb, to się nie wpada w złość.

I w końcu odjeżdżam ostatni. Dzieci uwijają się wszędzie tam, gdzie przedtem stały budy, zbierają coś, szukają. Żydzi, kobiety taszcza próżne butelki, stołki. Z pastwiska wraca bydło i nie poznaje własnego miasteczka. Wyjeżdżam z pocztowej uliczki, a tam dalej widać już grobowiec cadyka. Jak będę miał wolną godzinę — myślę — to trzeba tam będzie przyjść i złożyć z dziesięć funtów oliwy. (Wtedy wierzyłem jeszcze w to wszystko). Przecież ze wszystkich stron przyjeżdżają tu. Układam się wygodnie w wozie, popuszczam lejce, a oczy się same zamykają. Pył na szosie już osiadł, zapach żyta wilgocią uderza w nozdrza i orzeźwia; nagle — nie minąłem jeszcze łachów piasku — niedaleko od grobowca, obok łanu żyta, na trawie, dostrzegam ją. To ona, ta sama.

Serce zamarło mi w piersi od samego spojrzenia, jakie rzuciła na mnie. Omdleję, jeśli teraz podejdzie do mnie i przemówi.

— Żydzie, — odzywa się do mnie, — nie goń, zaczekaj chwilę.

Wylękły jestem. Tu opodal jeszcze jest kirkut i grobowiec, a to też rzuca strach na człowieka, — a tu...! Może to wogóle nie kobieta, a sam szatan wcielony? Boże wielki! — myślę sobie, — czego ona chce ode mnie? — A ona już przy wozie:

— Dlaczego nie poszłaś z ojcem? — zapytuje.

Nie poznaję swego głosu.

— Nie wiem, gdzieś mi się zapodział.

Odmówić nie mogę, choćby to był ktoś gorszy od niej, a ona... Wiem, że już jej żywy nie ujdę, ale przepadło. Patrzę na lśniący

grzbiet konia i wstyd mnie ogarnia. Łajeczka również lubi patrzeć na niego. Ale nie; już tam będzie gryzł siano, przecież ona go pogłaskała.

Wskoczyła na wóz, a gdy usiadła blisko mnie, powiała od niej ciepła woń świeżego mleka, że upoiłem się, nie na chwilę, i nie na dwie...

Wiem już, że nie będę się jej opierał, choćby mi śmiercią być miała. Prawa jej ręka znalazła się blisko mojej, — to znaczy, że siedziała plecami do konia odwrócona. I jakby nieświadom, co czynię, wetknąłem nagle rękę jakby w sam środek płomienia — tam, gdzie się lniana koszula na piersiach otwierała. (O, płomień!). Ale ona szarpnęła moją rękę i uderzyła ją, że mi w oczach gwiazdy zakołowały.

— Będiesz ty wiedział, — zawołała, i twarz jej tak zapłonęła, że nie wiedziało się, czy to złość, czy wstyd.

A ja czuję, że to wogóle pomyłka, nie ja tam moją rękę posłałem, lecz sama tam pomknęła, nie pytając. Ale to dobrze, żem oberwał. Jestem teraz gotów zejść, zostawić konia z wozem, jeszcze dołożyć jej pieniądze i uciec stąd. Jeśliby tylko natychmiast, w tej chwili, to mógłbym się jeszcze uratować. Po koniu wielkiej straty nie będzie, będę jeszcze miał konia i pieniądze będę jeszcze miał, aby tylko Łajeczce nie sprawić zmartwienia. O siebie nie dbam, — tylko ona, mój dom. Ale Olga, — tak nazywała się urodzicielka moja, tak się nazywała czarodziejka moja, — Olga zaczęła tulić moją rękę, głaskać ją, przemawiać do niej, jak do dziecka małego. Przyciska ją do ust, parzy wargami.

— No cicho, no cicho, — i utula moją rękę, jak tuli się niemowlę do piersi. Wiem, powinienem był wyrwać rękę i skończyć raz na zawsze, — ale nie mogę. Wiem, wiem, że przez całą wieczność mogę być szczęśliwy, ponieważ jedna noc równa się całemu życiu ludzkiemu. Tylko Łajeczka, mój dom, — oni mi nigdy nie wybaczają... Opuściłem się na dno wozu i leżałem oszołomiony, a Olga przesiadła się twarzą do konia, odebrała mi leżce i pojechała truchtem, — ręki mojej nie wypuściła.

Potem zawróciła w boczną uliczkę. Można i tą uliczką jechać. Ale w nocy nie jechałbym tamtędy. Z daleka dolatywały głosy

kupców, powracających z jarmarku; siedzieli tam, odpoczywali, nie mogąc rozstać się z uciechą dnia jarmarcznego. Tu, na tej drodze może ich nie spotkamy. Opieram głowę na kolanach Olgi, jej zapach upaja mnie. Oświetlona jest księżycem: jej też niewesoło. Spojrzenie jej zwrócone jest gdzieś w dal, w dal czasu lub przestrzeni, a losy nasze wydają się związane, jakby nie od tej chwili. Czuję się, jakbym nie był ani samodzielnym gospodarzem, ani młodzieńcem, czuję się całkiem nijako. Ale gdy ona na mnie spojrzy oczami, co mnie odnalazły, mnie jedyne, co wybrały mnie pośród tysięcy i dziesiątków tysięcy, wtedy mnie nic na świecie nie obchodzi. Niech za mną tęskni mój dom, niech ze mną zerwie na wieki, niech mnie Żydzi do żadnego domu modlitwy nie wpuszczą. Nie, rosnę we własnych oczach, widzę się pięknym i szczęśliwym; nie wiem, czy to Olga wóz zatrzymała, czy to mój koń sam przystanął, znalazłem się na ziemi, jakby na czyjś rozkaz. Olga też zesza. Byliśmy na polu, co nieobsiane odpoczywało tego roku.

Koń zaczął skubać wkoło siebie wysoką trawę, ona zaś usłała mi legowisko z tataraku i rzekła:

— Chodź, Żydzie!

Podchodzę, kładę się obok niej; nie było w tem żadnego uczucia złodziejskiej radości czy wyzyskiwania chwili. Była świętość, cierpienie, usta masze czyniły rzecz najświętszą, jaką czynić mogą dwoje ludzi, którzy się tak spotkali, jak my.

Mówię do niej więcej tchem, niż ustami:

— Wiesz — mam żonę i dziecko?

A ona:

— O niczem nie wiem.

Potem mnie pyta:

— Czy to prawda, że Żydzi to czarownicy?

— Nie, — odpowiadam, — ludzie, jak wszyscy. Ja też tylko człowiek. I boję się ciebie. Ręce mi drżą, obawiam się, że jesteś wyklęta, że jesteś...

Miękko mnie obejmuje i zapadam się w wieczność.

— Twój mąż, — pytam szeptem.

— Nie kocham go!... Tylko takich, jak ty... Tobie chciałabym

życie oddać... Mogę cię odebrać twojej żonie... wszystko mogę z tobą zrobić...

...I usta, usta! Piersi — z pożaru. Płoną. Koszula na niej lniana. Nie trzeba więcej królowie. Rozwiera się ta koszula, jak niebiosy.

Wydaje mi się, że już od wielu lat nie byłem w żydowskim osiedlu, a gdy tam przychodzę, kamieniami we mnie ciskają, a nie mam odwagi odpowiedzieć im.

Jestem gorszy od wychrzty, chodzę w obcej skórze: pośród chrześcijan nie chrześcijanin, pośród żydów nie żyd. Dzień po dniu krążę w błędnym kole, tylko noc... Za to noc są moje. A nocami oto kogo obejmuję. Nocą karmi się nią moje życie.

— Życie ty moje, moja gwiazdo w niebie, — szepczę do niej. A ona: że jestem jej synem, jej chlebem i stodołą, jej chudobą i polem.

Pomyśleć, że taka kobieta w polu pracuje.

Gdybym wiedział, gdzie motyka, której dotykały jej ręce, i którym sierpem pracowała, odkupiłbym je i w mieszkaniu ustawił na ozdobę.

Ślodycz jej warg, delikatne muśnięcie jej policzka! Życie oddaję w westchnieniu. Upija mnie swym ciepłem, ale już słowa od niej wydobyć nie mogę.

— Dwoje dzieci, — powiadam, — będę miał... Od ciebie... i... od niej: ale gdy dorosną, mordować się będą, jakby nie byli braćmi.

Bije we mnie źródło radości i życie toczy się ze mnie.

Rozkoszy!!!

Księżyc coraz bledszy, gwiazdy rzadsze, a niebo bardziej szare.

Olgi nie ma koło mnie. Krząta się koło mnie siostra mojej krewniaczki. Biały czysty czepek ma na głowie. Ta białosc straszy i oślepia. Jej szerokie usta wykrzywiają się i wilgotnie dotykają mego policzka. Oczyma ją błagam, aby mnie zostawiła w spokoju. I bez tego dosyć wymęczyłem się przez całą noc.

Ale ona staje się zuchwałą. Wyciąga do mnie swoją gęsią łapę, rozplatają jej się warkocze. Wpadam w opętaną złość:

— Precz!!! — wyrывa mi się nagle z piersi jakby nie moim głosem.

Nie wiem, czy ten krzyk, czy też uderzenie pięścią w drabinę wozu, — obudziłem się.

Tak! Obudziłem się... I zobaczyłem, że dnieje, koń stoi niewyprzężony, z łbem opartym o bramę; jest zmęczony i głodny, pewnie już całą noc tak stoi. Usnąłem gdzieś pewnie tuż za Krasnowołą i szczęśliwie zawiózł mnie do domu. Zrobił, co mógł. Gdyby miał ręce, toby jeszcze i bramę otworzył. Przybiegł do mnie nasz biały pies, ucieszył się mną — i nuż mi ręce oblizywał. Odetchnąłem swobodniej, psa odegnałem, i z coraz większą radością przekonywałem się co chwila, że przeważna część tej historii, to sen.

Pieniądze z kieszeni znikły, portfel również. Znowu obmacuję kieszeń, drugą kieszeń — niema!

Utrata pieniędzy jednak mnie martwi, bo połowa była nie moja, alem wesół, że jestem ten sam, co byłem, tamto wszystko, — to nic, a teraz już wszystko będzie dobrze.

Zląę z wozu — co to! Portfel wypada skądś na ziemię. Okazuje się, że wysliznął się z kieszeni i leżał gdzieś obok mnie.

Tak, to mój! Ścisnąłem go w rękę jak żywą istotę, — już nie będę musiał przed wierzycielami oczu spuszczać. Koń mój wciska się w otwartą bramę. Głaskam go po szyji, po mordzie, wynoszę mu najsamprzód wiązkę koniczyny, wyprzęgam go z wozu, ale jakoś nie je, tylko odwraca się i znajduje sobie miejsce do wytarzania się. Jak się już wytarzał, wstaje i biegnie prosto do studni.

Chce się napić.

Napij się.

(Błaszane wiadro wisiło właśnie na płocie wywrócone).

Puściłem konia wolnego, nie spętanego; spróbował najpierw koniczyny, potem zaczął szczypać trawkę pod płótem, a ja surowe skórki do domu zaniósłem. Otwieram drzwi, ale jakoś w mieszkaniu nie wyczuwa się snu; wężę ostrożnie, a tu wychodzi mi

naprzeciw akuszerka z miasta, ma zapadłe suche policzki, — tylko oczy jej błyszczą.

— A może to także sen? — przerażam się.

— Ładny z ciebie mąż, — zasepleniła, odsłaniając nagie dziaśła, — gdzie się podziewałeś przez całą noc? Niechże ci przynajmniej powinszuję, urodził ci się chłopak!

— Co?? — szarpnąłem się z miejsca.

Zrzucam z siebie ubranie, chwytam kwartę w kuchni i zaczynam się myć naprędce. Ręce! Twarz! Głowę! Aby być czystym. Wycieram się, trę ręcznikiem, chwytam czapkę, surdut i do alkowy.

Te, te, te, co się tu dzieje?! Niecułki, sprzęty różne, a moja żona błada leży za zasłoną, na jej znużonej twarzy jaśnieje radość.

Patrzy na mnie, jeszcze jej trudno usta otworzyć.

— „Mazeł tow”, — zwracam się do niej i boję się podnieść głos.

— „Mazeł tow” — nachylam się nad nią, a ręką wyczuwam obok leżące niemowlę, — ciepłe, w powijkach, — i ciepło rozprzestrzenia się we mnie, prawdziwe ciepło, czerwienię po same koniuszki uszu, ale czuję w sobie radość. Czuję, że wszystka moja krew pędzi we mnie tam i z powrotem, jakby się z łańcucha urwała.

— Sprzedałeś?...

Z radością wyjmuję wypchany portfel, który się tak szczęśliwie znalazł, i wywijam nim w powietrzu.

— Szczęście mi przynosisz, — mówię do niej, — wszystko, do ostatniego kawałka!... O mało dna wozu nie wyskrobali... I tę wielką chłopską skórę też...

— W Krasnowoli nocowałeś? — pyta cicho.

Czuję, że powinienem się zawstydzić, ale radość we mnie wszystko pokonywa i opowiadam jej prawdę, jak to ja — zdaje się — zasnąłem tuż za grobowcem cadyka (dwie-trzy noce nieprzespane, to się mści), a konik sam mnie zawiózł aż pod samą bramę, i jakie to sny się przyplątały, — oby na głowy wrogów, — przez to może, że ty się tak męczyłaś tej nocy... I tak kilka mi-

nut przed ósmą budzę się, a tu już pies nasz koło mnie, a koń się łbem o bramę opiera...

— Posil się, — powiada.

A ja nie chcę odejść, chcę ją pytać, jak jej było, ale nie mogę się zdobyć na takie pytanie. A więc znowu wyjmuję portfel i opowiadam, jak to już myślałem, że go zgubiłem, ale że ona mi szczęście przynosi, to się prędko odnalazł.

Wtedy wyjęła z pod koldry bladą wyczerpaną rękę i jęła mnie głaskać po głowie.

Serce moje — jak pijane — wędruje mi po całym ciele, i czuję się podniosłym z ogromu radości, z ogromu nagłej radości.

Działo się to wszystko bardzo dawno temu. Byłem jeszcze wtedy młody, byłem jeszcze całkiem niczem.

Podówczas jeszcze Żydzi jeździli na jarmarki.

DAWID MICMACHER

DWA PORTRETY

Dziadek Motel i dziadek Naftuła byli to szczególnie wrogowie. Nienawidzili się nawzajem i kłócili przy każdej nadarzającej się sposobności. Odczuwali tak silną potrzebę wyładowania się, że rozmyślnie wciągali się wzajemnie w interesy, z góry wiedząc, o ich fatalnym wyniku. Służyło to jako powód do wzajemnego użerania się przez tygodnie i miesiące!

Była to nienawiść stara i zajadła, zapoczątkowana przez dziadów i pradziadów, — z czasów, kiedy to tułacze rzesze żydowskie przywędrowały z Prus i na rozległych łąkach nad wodami Pilicy założyły miasteczko, biorące nazwę od rzeki.

Dziadek Motel był roslym zdrowym mężczyzną, każdy jego ruch i postawa zdradzały niezwykłą siłę. Podczas wielkich upałów chodził do łaźni parowej, gdzie na najwyższym stopniu smagał się miotłą z liści dębowych. Zimą zaś po trzykroć zanurzał się w przełębli i nawet nie zadrżał z zimna. W siedemdziesiątym roku życia przegryzał monetę miedzianą na pół, a gdy do domu wracał głodny, zjadał prawie pół pieczonego cielęcia i przez rurkę gumową powoli wysączał pełnusięnką beczulkę miodu.

Potem brał w zęby jedną ze swych porcelanowych, długich fajek, które stały szeregiem w specjalnej oszklonej szafce według wielkości — jedna większa od drugiej — jak żołnierze na rewji.

Dziadek Motel był dostawcą wojskowym i na Moskalach, których nienawidził jak wieprzowiny — dorobił się znacznego majątku. Dom jego był zasobny, opływał w dostatki, a spichlerze pęczniały od zapasów.

Skromnym człowiekiem był dziadek Motel, sercem ku niebu wrócony, oczyma zaś wodził po ziemi. Lecz gdy czasem podnosił oczy i rozglądał się po swym obszernym dziedzincu — wówczas

na niezabudowanym jeszcze miejscu wyrastał w krótkim czasie nowy śpichrz.

Pobożny był z niego Żyd i gorliwy chasyd. Na święta jeździł do chęcińskiego „rebego”, a zapas ze sobą woził taki, że koła trzeszczały.

To też nie brakło mu powodów do kłótni z dziadkiem Naftułą, który wymyślał rabinom od darmożjadów, a chasydów, którzy do nich jeżdżą, nazywał osłami.

* * *

Dziadek Naftuła mieszkał we własnym domu na przeciwległym rogu. Nie gardził kieliszkiem czystego spirytusu i palił cygara 10-ciokopiejkowe, na których błyszczały złote opaski. Uważał się za „lepszego” człowieka; chętnie rozповідаł o pochodzeniu swem z — Częstochowy — i z rozmysłem wymawiał ostre „r” by się wyróżnić od miejscowego pospólstwa.

Dziadek Naftuła nosił drogie tureckie szlafroki i jasnie-wielmożne listy pisywał do panów i hrabiów. Uczył swoje dzieci czytać i pisać, a swatów sprowadzał z Warszawy i Łodzi.

Dziadek Naftuła był uznanym maklerem leśnym. Często zatrzymywały się przed jego domem hrabiowskie karety; przyjeżdżano do niego po rady w sprawach kupna lub sprzedaży lasów. A jeśli dziadek Naftuła po namyśle coś orzekł, to słowo jego było święte. Nawet Niemcy, przyjeżdżając po drzewo, najsamprzód wstępowali do dziadka Naftuły — wszyscy bowiem słyszeli o niezwykłym wypadku, słynnym na całą okolicę, który warto tu przytoczyć:

Razu pewnego przyjechał do dziadka Naftuły, Jaś Sobolski, ten sam, co to przepada za żydowską kuchnią i nawet po żydowsku gada; jego imieniem też nazwano całą ulicę w mieście powiatowem, bo on, Jaś, tę całą ulicę wybudował. Przyszedł więc Jaś Sobolski do dziadka Naftuły poradzić się w sprawie kupna lasu żarnowieckiego i za wszelką cenę chciał kupić ten las, gdyż dowiedział się, że kiedyś, bardzo dawno temu, należał do jego rodziny. Pan dziedzic Sobolski nie chciał, by las ten pozostał w obcych rękach.

Wsiadli zatem do bryczki i pojechali do lasu. Dziadek Naftuła

obejrzał drzewa i rozszerzonymi nozdrzami wchłaniał woń żywiczną. Jadą więc, jadą, a tu nagle wywraca się bryczka i wysypują się obydwa, niby dwa ciężkie wory. Jaś śmiał się z przygody. Ale dziadek Naftuła nie chciał już dalej jechać i rzekł:

— Jasiu, zostaw ten las komu innemu, z tego już nic dobrego nie wyniknie.

I Jaś usłuchał. Po dwóch dniach spłonął cały las i nie pozostało po nim ani jedno drzewo.

Wszyscy to sobie zapamiętali i przychodzą do dziadka Naftuły po radę. Po każdej takiej radzie dziadek Naftuła mógł znów bogato wydać córkę za mąż...

W wolnych godzinach lubił dziadek Naftuła zaglądać do książki. Modlitwy, nawet w soboty, odmawiał sam u siebie, w domu, bo nie znosił tych breweryj, jakie przy modłach wyprawiają chasydzi. Z „rebego” jawnie kpił i mawiał, że się jak krowa opasa i jeszcze kiedyś ocieli. Po każdej kłótni w bóżnicy straszył, że się wyprowadzi do Częstochowy. Ale jakoś tego nie uczynił.

Dziadkowi Naftule niczego nie brakło, prócz użerania się z dziadkiem Motłem.

Ażeby zaś w przyszłości powodów do sprzeczki nie zbrakło, wpadli na świetny koncept: poženili ze sobą swoje dzieci...

JEHOSZUA PERLE

GODZINA DZIEWIĄTA RANO

— Panie Winkler, jak tam — zgadza się już?

— Nie, proszę pana, nie zgadza się jeszcze.

— Wciąż jeszcze nie?

— Wciąż jeszcze nie.

Zapytywał pan Józef — niska, krępa osóbką na wysokich obcasach — jeden z współwłaścicieli domu bankowego „Bracia Kenig, Warszawa”. Odpowiadał — pan Winkler, buchalter tegoż domu bankowego — wysoki, kościsty mężczyzna lat około czterdziestu czterech, o kanciastej, obwisłej twarzy, w której czał się zawsze niewyspany, zielonkawy lek.

Działo się to zrana. Pan Józef przyszedł do biura skwaszony. Naprędce przejrzał korespondencję i, rzuciwszy „dzień dobry” po drugiej stronie drzwi, przeszedł z gabinetu do działu buchalterji.

Słyszac krótką odpowiedź buchaltera, pan Józef zbliżył się, oparł okrągły brzuszec o kant stołu i ukośnym wzrokiem spojrzał na otwarty dziennik.

Pan Winkler dobrze znał zwyczaje swego szefa i wiedział, że chodzi mu o sprawdzenie, jaką datę wniesiono już do księgi. Wziął więc pan Winkler do ręki suszkę i zasłonił nią datę.

Pan Józef wykrzywił kąciaki ust, grubemi wargami zaciągnął się cygarem, wykonał półobrotu na jednym obcasie i znów zapytał:

— A więc, wciąż się jeszcze nie zgadza?

— Nie, nie zgadza się.

Buchalter odpowiedział głucho, jakby znał już na pamięć tę zwrotkę. Wetknął nos głębiej w księgę i jego wąsko zakrojone ramię ostro wygięło się ku górze.

— A pan, panie Lipson? — zapytał bankier po chwili, zwracając swą pomarszczoną twarz w stronę pomocnika buchaltera.

Pan Lipson siedział naprzeciw pana Winklera i z udaniem zaabsorbowaniem sumował szereg cyfr w księdze głównej.

— Do mnie się pan zwraca? — zerwał się z miejsca pan pomocnik, wystrojony młodzieniec w binoklach, z przygładzoną, lśniąca fryzurą — księguje już grudzień.

— Wciąż jeszcze grudzień! — rzucił pan Józef przez dym cygara — mamy już marzec, a pan wciąż jeszcze księguje ten przekłety grudzień.

— Panie Winkler! — głos jego nabrał surowości — kiedy to się wreszcie skończy?

— Księgujemy przecież — wyjąkał pan Winkler, raczej do siebie, aniżeli do szefa i jeszcze bardziej ściągnął ramię.

— Słyszę to codziennie w ciągu całego roku — głos pana Józefa stał się złośliwy — kiedy to się jednak wreszcie skończy?

— Za dużo mamy roboty, proszę pana, — starał się usprawiedliwiać pan Winkler.

Ale bankier nagle odwrócił się i spiesznym krokiem wyszedł z buchalterji, pozostawiając na stole garstkę popiołu z cygara.

W szarym pokoju panowała przez długą chwilę skupiona cisza, za drzwiami rozlegały się zdenerwowane kroki pana Józefa. Dopiero później, kiedy drzwi się znów otworzyły i stary woźny, ciężko wlokąc nogi, przeszedł przez pokój, pan Winkler uniósł nosa z nad księgi, wyprostował ramię i ze złością mruknął do swego pomocnika:

— Psiakrew, wsiędzie musi się wścibić. Widocznie już znów nakręcony.

To „znów nakręcony” oznaczało, że wczoraj przed wieczorem, kiedy urzędnicy rozeszli się już do domu, zasiadł w zamkniętym gabinecie pan Michał — drugi wspólnik domu bankowego „Bracia Kenig, Warszawa”, i zaczął skarżyć się przed bratem, przed panem Józefem, że buchalterja zalega, że przez cały dzień czyszcza sobie paznogie, opowiadają historyjki, że za to wszystko płaci się krwią i nie ma się z nich żadnej korzyści. Wtedy pan Józef swoim zwyczajem wrócił do domu zdenerwowany, klócił się pewnie z żoną i z samego rana zaczęło się ruganie.

Pan Józef, który przejął wprawdzie w swoje ręce wszystkie

sprawy przedsiębiorstwa i zwracał się do wszystkich rozkazującym tonem, drżał jednak przed swoim bratem, Michałem.

Pan Michał był starszy i bogatszy. Niski, chudy, o zapadłych policzkach, lubiał krzątać się po kątach, szperać między papierami, wyszukiwać zaległe długi i jednym okiem uważać, ile razy dziennie każdy z urzędników jada i ile razy wychodzi dla załatwienia swoich potrzeb naturalnych. Chciał on jednak uchodzić za dobrego, opowiadał wciąż o tem wszystkim bratu, a ten krzyczał za siebie i za niego.

Pan Michał, w przeciwieństwie do Józefa Keniga, należał do tych szefów, którzy lubią w wolnej chwili rozprawić ze swymi urzędnikami. Wypytywał ich wtedy, co porabiają dzieci, czy żona zdrowa. Udzielał rad, ale gdy przyszło do podwyżki, albo urlopu — marszczył czoło, wzruszał ramionami i odpowiadał, że on się nie wtrąca. W interesie musi być jeden, który zarządza. Niech się zwróca do pana Józefa. Ale, gdy udało się wymóc coś na panu Józefie, pan Michał na pewien czas zieleniał i nachmurzony spoglądał na wszystkich matowym wzrokiem.

Na złość bratu, który lubiał okazywać swoją wyższość, zwykł był pan Michał przychodzić do biura w starej kurtce, w gumowym, niebiesko-zielonawym kołnierzyku, uskarżał się, że personel rujnuje go do reszty, że stanie się żebrakiem — jednym słowem, będzie musiał wkońcu zlikwidować przedsiębiorstwo.

Podobne żale powtarzały się już około dwudziestu pięciu lat, od czasu istnienia domu bankowego „Bracia Kenig”. Pan Józef słuchał — jednym uchem weszło, drugim wyszło. Potem skrupiało się wszystko na pracownikach. Podglądało się ich na każdym kroku, co drugi dzień innego urzędnika zwalniano z pracy, aby na jutro usprawiedliwić się, że to było tylko chwilowe zdenerwowanie. Nikt jednak nie przejmował się tem zbyt. O braciach Kenig mówiono bowiem powszechnie: „pies szczeka a wiatr nosi”...

Martwił się jedynie pan Winkler. Właściwie — nietyle martwił się — ile denerwował. A gdy pan Winkler był zdenerwowany, wtedy jego lekko-falujące blond wąsy opuszczały się ku dołowi, ręce niespokojnie błądziły po stole, przesuując z miejsca na miejsce każdy napotkany przedmiot.

Dziś był wyjątkowo zły i to z dwóch przyczyn. Po pierwsze — z powodu otrzymanej przed chwilą bury, po drugie — bilans naprawdę nie zgadzał się.

Już od kilku dni zapodziało się gdzieś sto trzydzieści siedem złotych i, choć byś się powiesił, nigdzie nie może ich znaleźć. Przewertował już całą księgę kartkę za kartką, wysledził i wybadał każdą cyfrę z oddzielną — księgą wciąż milczy, jak zakłeta. Pan Winkler pociąga nosem, końce wąsików drgają, jak u chrabąszcza. Pan Winkler dobrze wie, że trudno jest doszukać się takiej liczby, jak trzydzieści siedem. Gdyby to była suma, zakończona zerami — znalazłby ją w mgnieniu oka. W tym wypadku jednak błąd popełniono przy przenoszeniu pozycji z dziennika do księgi głównej. Trzeba więc sprawdzić wszystkie pozycje z całego miesiąca.

Pan Winkler odkłada tę żmudną robotę z dnia na dzień. Może się zdarzyć, że przejrzy cały dziennik i błąd znajdzie się dopiero na ostatniej stronie. Przytem dziennik w bieżącym miesiącu rozrósł się tak potężnie, jakby bliskim był rozwiązanie. Zasiadaj teraz i sprawdzaj cyfrę za cyfrą! Pan Józef będzie tymczasem co dzień zawracał głowę, a pan Michał nie przestanie skarżyć się na wielkie wydatki i włoży jeszcze gorszą kurtkę i tańszy kołnierzyk.

— Jak pan myśli, panie Lipson? — ruszył wąsikami w stronę swego pomocnika, który ze spokojem czyścił sobie paznokcie małym scyzorykiem.

— Co jest, panie Winkler? — rzucił tamten, nie podnosząc nawet oczu.

— Czy zestawić dziennik z główną księgą?

— Pewnie, niema innej rady — odrzekł ze spokojem, jakby go cała ta sprawa zupełnie nie obchodziła.

— To schowaj pan paznokcie na później i bierz pan główną księgę.

— W tej chwili! — pan Lipson kładzie koniuszek palca między zęby i odgryza kawałeczek paznokcia. Potem przygląda lśniące włosy, chowa scyzoryk do kieszonki od kamizelki i przysuwa wreszcie główną księgę.

Pan Winkler temperuje ołówek, bada pod światłem ostry koniec i zaczyna się praca:

— Rachunek kasy, — dyktuje pan Winkler.

Pan Lipson przerzuca duże, białe strony i patrzy na buchaltera.

— Debet — wywołuje pan Winkler — 2510 zł.

Wymuskany młodzieniec podkreśla coś ołówkiem w głównej księdze, pan Winkler — w dzienniku, potem dalej:

— Bank Dyskontowy!

Znów szeleszczą sztywne stronicy, ołówki podkreślają odpowiednie pozycje.

W pokoju, w którym pracują, jest zupełnie cicho. Jasny dzień zagląda przez dwa długie okna i szarem światłem kładzie się na otwartych kartach, które kryją w sobie tajemnicę poszukiwanego błędu. Z otwartych szaf, stojących pod ścianą, wyglądają obszarpane grzbiety starych ksiąg, które pan Winkler zapisał w ciągu długich lat. Nad głową buchaltera jednostajnie i miarowo tyka stary, okrągły zegar. Z dalszych pokoi, z ekspedycji, donoszą się urywane ludzkie głosy i obco obijają się o ciszę pokoju. Słychać ochrypły stuk maszyny do pisania, dzwonek telefonu. Od czasu do czasu otwierają się nagle drzwi i do pokoju wpada ktoś z ekspedycji. Biegnie do szafy z wytartymi księgami, szuka w nich czegoś, po drodze rzuci żarcik, opowie, że pan Józef gniewał się dziś na kasjera — i mimochodem spojrzy do księgi, wydobytej z szafy. Potem zanotuje coś ołówkiem na kartce i równie szybko wybiegnie z pokoju, trzymając ołówek w ustach i pióro zn uchem.

— Wciąż się gniewa! — mruczy pan Winkler. Skulił się cały, jakby ze strachu — pan Józef może za chwilę wpaść i znów skrzyć wszystkich.

Gniew pana Józefa nie jest podobny do gniewu innych ludzi, którzy pokrzyczą i uspokoją się. Pan Józef, to niby bestja nienasycona — ilebyś nie dał, zawsze mu mało. Krzyczy na wszystkich dla swojej przyjemności: na korespondenta i na woźnego, na swego brata i nawet przez telefon. Kiedy niema pod ręką nikogo, na kim mógłby wyrzucić swą złość, głośno kroczy z pokoju do pokoju, sztywny, wyprężony i wydaje się, że krzyczą wtedy jego kroki.

Gdy pan Józef jest w biurze, urzędnicy siedzą nieruchomo

na swych miejscach, zgięci we dwoje. Milczenie panuje w pokoju i tylko szybko skrzypią pióra. Pan Józef siedzi wprawdzie w zamkniętym gabinecie, ale oczy jego są wszędzie. Wydaje się, że jego miarowe kroczki rozlegają się po wszystkich pokojach równocześnie. W uszach każdego pracownika brzmi wciąż jego gniewny głos. Każdego prześladuje uparta myśl:

— Żeby go się pozbyć choć na godzinkę, półtóry!

Zresztą jest już późno. Nikt się nie spodziewa, aby pan Józef wyszedł jeszcze dziś na miasto. Zegar posuwa się. Wybiła już wpół do czwartej. Jeszcze pół godziny — i plecy wyprostują się. Rozpocznie się suwanie krzesłami, trzask otwieranych i zamykanych szuflad. I nim wskazówka zegara zatrzyma się na kwadransie po czwartej, już po pokojach domu bankowego „Bracia Kenig” pozostanie jedynie echo tych wszystkich ludzi, którzy tu w ciągu całego dnia pisali, liczyli i potrosze żartowali. Zamilkną drewniane liczydła, na których kasjer sprawdza teraz kasę i dlatego odchodzi do domu ostatni.

Narazie jest dopiero godzina wpół do czwartej. Pan Winkler dyktuje równym, obojętnym głosem. Pod palcami pana pomocnika szeleszcze papier, jakby po nim mysz przelatowała. Na szybach osiada szara mgła. Wieje zmęczeniem z twardego głosu pana Winklera, z przewracanych kartek i wytartych grzbietów w szafie. Wszyscy niecierpliwie spoglądają na zegar. Wreszcie skrzypnęło coś w przemyślnych kółeczkach i powoli rozległy się długo oczekiwane uderzenia — wydaje się wtedy, że zmęczenie osiągnęło już najwyższy szczyt i nie sposób byłoby wytrzymać dłużej ani chwili.

Ale pan Winkler nie ufa jeszcze. Wyjmuje swój zegarek kieszonkowy, rzuca wzrokiem na jego wskazówki, potem na zegar, wiszący na ścianie nad jego głową:

— Jeszcze dwie minuty.

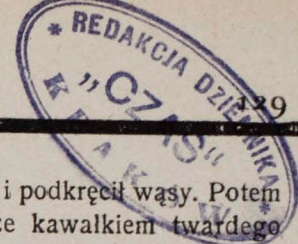
— Dość będzie na dzisiaj — odpowiada pan Lipson i odsuwa się krzesłem od stołu.

— Nie, panie Lipson, jeszcze dwie minuty.

Po upływie dwóch minut rozlega się wreszcie zdecydowane posunięcie krzesłem. Pan Winkler podnosi się z miejsca. Wyprosto-

wał się, ściągnął obydwie końce u kamizelki i podkręcił wasy. Potem wytarł pióro o bibułę, przykrył kałamarze kawałkiem twardego papieru, schował dziennik do otwartej szafy i wolnym krokiem przeszedł do ekspedycji, gdzie wiszą okrycia.

W ekspedycji wszyscy wiedzą, że nie wolno ruszyć się z miejsca, dopóki nie zjawi się pan Winkler; gdyż prędzej mógłby zawieźć stary, dobry zegar w buchalterji, aniżeli punktualność pana Winklera.



ABRAHAM ZAK

POD SKRZYDŁAMI ŚMIERCI

Fragment z powieści

Rano, byliśmy już gotowi do wymarszu. Komendant pułku przecwałował na koniu przed nami i pozdrowił nas z okazji święta pułkowego, które przypadało tego dnia.

— Ha ! Ha ! Ha ! Winszujemy ! Pozdrawiamy ! — śmieliśmy się jeden do drugiego, mrużąc oczy...

Idziemy dalej. Pola, góry, doliny, lasy. Zdała grzmiały armaty i przypominają nam, że to nie jest zwykły spacer...

Zatrzymaliśmy się w małym lasku.

Wieczorem podano nam do wiadomości, że jeden bataljon — właśnie nasz — ma ruszyć na pomoc...

— A więc — znów...

Mechanicznie poruszają się nogi, coraz głębiej wsącza się w duszę jad... Powoli zbliża się ku nam łoskot armat i karabinów. Zdała widać wysokie wzgórza; z ich wierzchołków unosi się cienkie pasmo dymu. Pogrążone w ciemności doliny i lasy kryją w sobie niepokojące tajemnice...

— Nagle —

— W—w—w—w—bach !!!

Granaty polowe.

Jeden za drugim leciały teraz z wyciem burzy, wybuchały prawie nad naszymi głowami, zasypując nas gradem szrapneli i szczątków metalu... Widocznie nas zauważyli i przesłali „pозdrowienia”.

Natychmiast podzielono bataljon na rotę i oddziały i mniejszymi grupami posuwaliśmy się wciąż naprzód. Granaty latały coraz częściej. Zdawało się, że oto uderzą, — niezrozumiałem było, dlaczego nas nie dosięgają, spadając tuż blisko, lub kilka metrów

za nami. Wreszcie przybyliśmy na miejsce, gdzie dosięgały już kule karabinowe...

I znów to samo... Brzęczą blisko, niemal koło uszu; schylasz się niżej, przypadasz do ziemi, krew uderza ci w skronie i oczy — strach śmiertelny...

Znów ranni, skrwawione, poszarpane ciała. Dobrze znajome, błagalne głosy: „Sa—ni—ta—rjusz!”, „Bo—że!”...

Już zmierzcha. Zmrok z każdą chwilą gęstnieje. Zdała, na wzgórzu coraz to błysnie i zagrzmi: tam umieszczono baterje. Na lewo, w dolinie widnieją wieżyczki klasztoru i dalekie mury miasteczka, oblane wielkim czerwonym płomieniem.

Biegniemy w tamtym kierunku.

Po drodze — rzeka.

Przystajemy na chwilę; ale kule nie pozwalają długo się namyślać.

— Do wody !

Brniemy. Niezbyt głęboko — zaledwie po kolana. Ale zimna woda, zi—m—m—no...

Znów przez pole. Spodnie przylgnęły do ciała, buty pełne wody. Nogi ślizgają się w nich — trudno stąpać.

Zbliżamy się do miasteczka. Oto już szyny. Żelazny parkan i obok długie, białe mury — dworzec kolejowy.

Straszny, dreszczem przemijający widok! Brniemy poprzez stosy martwych ciał. Jedno przy drugim... Czasem ktoś jęknie i wyda ostatnie tchnienie... Wzdłuż linii kolejowej trupy jeszcze gęściej stłoczone. Parkan kolejowy okręcony grubym drutem kolczastym. Tutaj znaleźli swój wieczny spoczynek...

Żywych tu już niema. Linję bojową przesunięto na drugą stronę miasteczka; dolatuje stamtąd łoskot karabinów.

Otrzymujemy rozkaz zatrzymania się w tem miejscu. Rozkładamy się wzdłuż linii kolejowej w gotowych, płytkich okopach, wyrzucamy znalezione tam trupy...

Ściemniło się już zupełnie. Strzały rozlegają się coraz rzadziej i tylko czasem świsnie blisko kula.

Przed nami przesuwają się oddziały wojska — przez cały dzień walczył. Wloką się w ciemności zmęczeni, milczący ludzie; głucho

rozlegają się ich kroki. Zgarbieni pod ciężarem ładunku przesuwają się jak cienie i znikają w ciemnościach nocy. W mroku pozostał jeszcze obraz ich postaci i odgłos głuchego stąpania zawisł w powietrzu. Dziwnie niesamowitem wydaje się to wszystko — niby jakiś sen upiorny. Trudno przewidzieć co się za chwilę wyłoni z chaosu...

Zdała, z drugiej strony dworca kolejowego donoszą się przerażliwe krzyki. Wywiadowcy opowiadają, że to jęki rannych żołnierzy nieprzyjacielskiej armji.

Każdy z nas siedział w oddzielnym okopie. Po obu stronach mego schroniska poniewierały się ludzkie ciała. Z jednej strony — martwy z odrzuconą do tyłu głową, z drugiej — konający, z przewiazaną głową. Od czasu do czasu rzucał się w drgawkach i ciężko charczał. Próbowalem zapytać go o coś, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Moi martwi sąsiedzi z początku zakłócali mi spokój, ale po chwili zapomniałem o nich. Byłem zmęczony i oczy kleiły się do snu.

Spałem twardo, chociaż kazano nam czuwać i być w pogotowiu. Wartownik kilka razy uderzył mię po ramieniu, ale po jego odejściu znów zasypiałem. To samo powtarzało się z innymi, kiedy z kolei zająłem jego miejsce. Przemierzałem całą długość okopów i schylając się budziłem każdego żołnierza; gdy jednak wracałem tą samą drogą wzdłuż okopów, wszyscy znowu już spali... Jakże tu walczyć ze zmęczonemi powiekami, które siłą kleją się do snu!

Wśród nocy obudziłem się z zimna i wilgoci. Nogi w mokrych butach jakgdyby odmarzły. Otwieram oczy — wokoło poruszenie! Żołnierze kręcą się przy okopach i pocichu mówią coś między sobą. Jeden drugiemu zwraca uwagę: „Ciszej! Ciszej!” Wszyscy są przy czemś zajęci i rozglądają się wokoło. Wylażę z okopu i zbliżam się do nich.

— Ciszej! Ciszej! — ostrzegają również mnie.

— Co się stało? — zapytuję.

— Wino, wino — odpowiadają półgłosem. — Tu, na dworcu, pełne beczki. Chcesz się napić?

Podają mi pełny kociołek.

Zabrałem się do picia i przyjemne ciepło rozlało się po ciele.

Szampan!... Napełniłem sobie manierkę i jeszcze mi pozostało nieco. Wino było szczególnie zachęcające i piłem dalej. Po chwili niezgodnie szumiło mi już w głowie...

Wszyscy bezustannie pili i całe towarzystwo zataczało się już na nogach...

Na dworcu było jeszcze wspanialej. Sala pierwszej klasy wesoło oświetlona, oficerowie urządzili tu istny bal. Na stołach — butelki wina, przeróżne biskwity, czekolada i nawet kipiący samowar wesoło połyskiwał. Wszyscy czuli się bardzo swojsko.

Tam — oficerowie, a tu, przy okopach — żołnierze. Toczyła się już swobodna rozmowa, podniesionym głosem opowiadano dyktoryjki i dalej się upijano. Wszystkim kołowaciały już potrosze języki...

Dziwnie niesamowitem wydawało się to wszystko:

...Głęboka noc. Ciemno, ponuro. Czarne, bezgwiazdne niebo. Zdała dolatują jęki rannych, a tu, obok nas, zaledwie o dwa-trzy kroki — martwe, zastygłe ciała, milczące jak noc... Głucho i martwo...

I... jakby nigdy nic! Żywi kręcą się tu i owdzie. Piją, słysząc dowcipy, śmiech, okrzyki...

— Za wasze zdrowie!

— Za zdrowie! Za zdrowie!

Zdała jasno i jakby wyzywająco świeciły się w ponurej ciemności okna poczekalni pierwszej klasy... Zdumiony wzrok błędził wokoło i trudno było zrozumieć, co się tu dzieje... W zamroczonym umyśle kłębił się nawał wrażeń: szampan, rzęsiście oświetlone okna, podejrzane śmiechy, ponura ciemność i nieme, zastygłe ciała...

— Za zdrowie!

— Za zdrowie!

W tem ktoś z zacięciem obrócił się na ciężkim butcie, podniósł rękę i krzyknął pijanym głosem:

— Hej, mazurka...

Ktoś drugi przyskoczył, splelił się w jedno i rozpoczęli szalony taniec pośród ciemnej nocy...

Dławił mię histeryczny śmiech. Oczy patrzyły naprzemian

na milczące, oniemiałe martwe ciała i na żywe, tańczące... W ciemności widziałem je niedość wyraźnie. Ich postacie przewijały się niby cienie, przytupywania dudniły głucho i obco... Czułem, że między nimi jest ktoś trzeci — śmierć; mocno trzyma w objęciach ich ciemne postacie i wraz z nimi wiruje w niesamowitym, oszalałym tańcu...

Świt. Szare światło kładzie się wokół na polach i odsłania straszliwy obraz. Powoli błędną oświetlone okna. Zimno przenika do wszystkich członków. Ciężkie uczucie przytłacza pierś. Jedni twardo śpią w okopach, inni chodzą wokół, drżąc z zimna. Widok trupów odsłania się przed nami w całej swojej okropności. Twarze żółte i zczerniałe; kurczowo ściśnięte sztywne ręce o zsiniałych palcach. Jeden ma oczy szeroko otwarte. Zrenice wywróciły się na wewnątrz i tylko białka zastygłe zwrócone są ku niebu. Ktoś podszedł do niego i kawałem płótna, urwanym z namiotu, zasłonił mu twarz. Konający z mego okopu już także zastygł i leżał spokojnie... Powoli rozpraszająca się ciemność uniosła ze sobą i jego ostatnie charczenia...

Słońce wzeszło i powietrze ociepliło się nieco. Znalezione gdzieś całe paki tytoniowych liści i żołnierze obsiedli je, jak pszczoły. Łażą po szynach, szukają, szperają wśród rzeczy po brudnych salach dworca kolejowego. Od strony miasteczka wieje smutkiem... Ani żywej duszy... Puste, samotne budynki. Tylko wielkie, czarne litery na białej ścianie dworca świadczą, jakby nagrobek, że było tu kiedyś żywe miasteczko.

Stanęliśmy znów w szeregach i ruszamy w pole. Tam rozsypujemy się w długi łańcuch i każą nam kopać. Przed nami — las; tam ma się znajdować nieprzyjacieli.

Po chwili każą nam biec dalej. Niechętnie opuszczamy ukończone przed chwilą schroniska, odznaczające się przytem niezwykłym „komfortem”: wyłożone wewnątrz liśćmi kapusty... Na nowym miejscu odeszła już ochota do kopania, ale na myśl o tem, że za lada chwilę posypać się może ognisty deszcz, ręce mimowoli chwytają za rydel. Ze złości wielu tylko rzuciło przy każdej grudzie ziemi zjadliwie: „do diabła!...”

Zdała widać było, jak inny łańcuch ludzi wtargnął do lasu, ale wciąż nie słychać jeszcze strzałów. Widocznie „ich” tam nie ma. To też po chwili porzucamy nowe okopy i ruszamy dalej.

Wchodzimy w długą aleję — przed oczyma straszny widok!

Po obu stronach, obok drzew — masami leżą ciała, miejscami gęsto stłoczone jedno na drugim — wzdłuż całej alei... Włosy stają dęba... Skrwawione, poszarpane ciała... Podziurawione czaszki... Odsłonięte, krwią zalane piersi, brzuchy... Niektórzy zastygli w postawie siedzącej, oparci o drzewo... Kto z głową wzniesioną ku niebu, kto w ziemię wkopany... Oczy przymknięte, lub otwarte — szeroko otwarte, wytrzeszczone... Zrenice zasły za powieki... W nogach, na drodze — plecaki, niebieskie mundury, koce, rydle, amunicja...

Pośród zastygłych, milczących ciał siedzi żywy ranny. Jedyń wśród tylu trupów!

Gdy przechodzimy obok, wskazuje na usta — chce pić. Ktoś podaje mu swoją manierkę...

To stąd donosiły się w nocy śmiertelne krzyki. Jak wielu poumierało tu w ciągu jednej nocy!...

Mijamy aleję śmierci. Jesteśmy na polu.

I znów to samo —

Tam — „ich” trupy, tu — nasi.

Tam — aleja, tu — zwykłe pole kartoflane. Nie widać jednak zieleni kartoflanych liści, wszędzie gęste plamy „zaszczytnej barwy”.

Pole jest szerokie i gęsto pokryte zastygniętymi trupami... Niebieskie odznaki z dobrze znaną nam cyfrą — z naszej dywizji... Na myśl przychodzą znajomi. Kto wie, czy nie leżą tu gdzieś wśród kartoflanych liści?... Trudno rozpoznać ściemniałe, żółte twarze... zupełnie straciły ludzki wygląd...

Pośrodku pola kilka karetek. Sanitarjusze szukają pozostałych jeszcze przy życiu — żywych, którzy zazdroszczą swoim martwym sąsiadom...

Wydostajemy się na drogę. Znowu trupy — w rowie, przy drodze, obok na polu — wszędzie.

Oto leży ktoś nad rowem, w jednym bucie: pewnie ktoś żywy

chciał skorzystać z jego butów, ściągnął mu jednego, zmierzył i, widząc, że jest za ciasny, odrzucił go obok. Jedna noga zabitego nieobuła, okręcona onicą, sterczała sztywno i widok pożółkłych palców przejmował obrzydzeniem...

Biała kaplica i obok na podwyższeniu święta figura — częste zjawisko na galicyjskich drogach. Przy niej kilku zabitych... Figura, jak zwykle, spoziera ku górze, poważnie i milcząco... Równie obojętnie i zimno, nie zmieniając barwy, spoziera ku ziemi błękitne niebo...

K R Y T Y K A

JAKÓB FICHMAN

WSPÓŁCZESNA

LITERATURA HEBRAJSKA

I.

Szczęśliwa gwiazda przyświecała pokoleniu pisarskiemu, któremu przypadło w udziale kształtowanie literatury hebrajskiej ostatniego ćwierćwiecza. Okres poprzedni wytworzył wszystkie elementy, zapewniające literaturze rozrost i nieprzemijające wartości.

Literatura hebrajska od czasów Luzatti'ego do ostatnich lat dzieśiątków ubiegłego stulecia miała na celu jedynie pielęgnowanie barwnej retoryki słowa — odzwierciedlała raczej powierzchnię, aniżeli głęboki wyraz artystycznych przeżyć. A kiedy wreszcie nadeszła właściwa chwila, odrząsnęła się z letargu, zyskując wreszcie pełny ton. Cisnęła na bok ogólniki i frazesy, odkrywając w sobie nagle niespożyte tajnie siły i energii życiowej. Nie zadawała sobie już bierną rolę przekazywania wartości, zawartych w prastarych źródłach biblijnych. Zapraagnęła wypowiedzieć się sama. Zgromadziwszy uprzednio niezbędne ku temu zasoby, zapraagnęła stworzyć nową Biblię żywego słowa, celem przekazania jej przyszłym pokoleniom.

Przejdźcie to — od „literatury” do żywego słowa — nie było wynikiem przypadku. Doszło ono do skutku dzięki pełni nagromadzonych sił.

W chwili kiedy literatura hebrajska przestała służyć wyłącznie celom „haskali”, kiedy zapraagnęła dać ujście swej pełni życiowej, pojawiła się również konieczność rozszerzenia zakrzepłych form językowych. Kategorycznym nakazem chwili był zwrot ku życiu, ku przyrodzie. Ważyły się losy języka hebrajskiego — albo stałby się żywym językiem i przeszedł również do mowy potocznej, albo skazanym był na niechybną zagładę.

II.

Ostatnie pokolenia literackie, nadały mowie hebrajskiej gętkość i bezpośredniość, uczyniły z niej czuły instrument, zdolny do wyrażenia najgłębszych lirycznych przeżyć.

Trzech wielkich mistrzów słowa — Mendele, Bialik i Achad-Haam — wskazali drogę rozwoju młodej literaturze hebrajskiej. Najsilniejszy bodaj wpływ na kształtowanie się współczesnej prozy hebrajskiej wywarł Mendele. Proza hebrajska znalazła w nim najwyższego wyraziciela kunsztu słowa. Posiadał on niesłuchanie wrażliwe wyczucie rytmu życia. Nikt z jego poprzedników nie zdołał w tak wielkiej mierze uchwycić cech charakterystycznych obyczajowości żydowskiej i odszukać wszystkie elementy języka hebrajskiego, które tętnią jeszcze żywą krwią. Jego hebrajszczyzna była poniekąd wytworem usilnej pracy nad językiem żydowskim. Odnalazł w nim bogate nawarstwienia hebrajszczyzny, które zyskiwały wiele na sąsiedztwie z żywym słowem języka żydowskiego. Mendele posiadał wspaniałą umiejętność kojarzenia obu języków, wzbogacania jednego przy pomocy drugiego. To też trudno dziś bodaj wyobrazić sobie dobrego hebrajskiego prozaika, któryby nie znał obydwu języków. Być może Palestyna, gdzie dzieci i masy robotnicze mówią językiem hebrajskim, wyda pisarza, czerpiącego bogactwa językowe jedynie z nowej, żywej hebrajszczyzny.

Podobnie jak Mendele w prozie, tak i Bialik w poezji odnowił i zespolił mowę hebrajską. Z równie silnym wyczuciem prawdy poetyckiej wydobył on wszystkie bogactwa języka i tchnął nową treść duchową w stare, przebrzmiałe dźwięki. Swe jędrne, pełne uczucia strofy wypełnił świeżym tchnieniem pól, oszałamiającą młodością rozkwitania — całe pokolenie zdołał wreszcie wyzwolić z mroków poezji okresu „haskali”. Przemówił całą mocą swego bólu, ukrytej wiary i ogromu miłości. W imieniu całego pokolenia żegnał jasnymi łzami ginącą przeszłość. Z drżącym zakłopotaniem, czasem z uczuciem niepewności, wzywał do przyjęcia nowych, nadchodzących dni. Wierzył i wątpił zarazem w nowe pokolenie, zapierały mu oddech naprzemian zalewające go fale zwątpienia i nadziei. Przywiódł nas napowrót do starego łań.

Twórczość Bialika i Czernichowskiego — to uosobienie renesansu poezji hebrajskiej. Niby pomost powiązała ona Biblję, Hagadę, twórczość Ben-Gabirola, Jehudy Halevi'ego, M. Ch. Luzatti'ego z twórczością swoich wielkich poprzedników — Mapu, Gordona.

Brak było jeszcze wielkiego prozaika — nauczyciela. Po okresie „haskali”, który wydał bojowników, nacechowanych odwagą i trzeźwością sądu, jak Gordon i Lilienblum, nastały osiemdziesiąte lata ubiegłego stulecia, odznaczające się przewagą marzycielstwa, rozlewnego sentymentalizmu, przepojone romantyczną miłością Sjonu. Wydoskonalila się wprawdzie mowa hebrajska, nabrała dźwięku i subtelności, wyżyła się ciężkiej retoryki i przystosowała do lirycznych wylewów poetyckich. Czas ten nie poszedł na marne. W ciszy dokonywała się przygotowywająca praca. Zjawily się nowe talenty. Najwybitniejszym wśród nich był Fryszman, bojownik o kulturę zachodnią, o przejrzystość sądów, o pro-

stotę i liryzm. W późniejszych zdobyczach na polu literatury hebrajskiej tkwi niewątpliwie poważna część jego zasług. Większą jeszcze trzeźwością i przejrzystością stylu odznaczał się Kantor. Wreszcie jasna, humanitarna postać d-ra I. L. Kacenelsona, poety i uczonego w jednej osobie. Z. Epsztejn, który wniósł do poezji hebrajskiej romantyczną nutę — wszyscy oni odleli nowy stop hebrajskiej mowy, nadali jej kształty, przystosowane do nowych form wyrazu poetyckiego. Brakło jednak cementu, spoidła. Brak było jeszcze budowniczego, wieszca, któryby przemawiał w imieniu pokolenia.

Tym wieszczem pokolenia był Achad-Haam. Sam on nie uważał siebie za apostoła, głoszącego nowe idee, raczej rozwijał dawne. W rzeczywistości jednak wniósł on nierównie więcej. Korzystał wprawdzie z materiału, nagromadzonego przez poprzednie pokolenia. Ale nadał mu kształt właściwy — był budowniczym, zsumował wartości kulturalne narodu, istniejącego tysiące lat. Mendele i Bialik wydobyli na jaw skarby uczucia, ukryte bogactwa motywów ludowych — Achad-Haam sformułował podstawy żydowskiego światopoglądu, żydowskiej myśli narodowej. Ze zdrowych, realnych elementów zbudował koncepcję myślową, o zdumiewającej jednolitości architektonicznej.

O tę prostolinijskość walczył Achad-Haam przez całe życie, omijając wszystkie półtony, bocznice, w których dopatrywał się cech przypadkowości oraz znamion dekadencji... O te trwałe, konkretne podstawy prowadził walkę z Berdyczewskim, który jako poeta wydobywał raczej wszelkie odchylenia, niedopowiedzenia, cechujące umysłowość żydowską. O zachowanie klasycznej, posągowej jednolitości żydowskiego światopoglądu narodowego walczył również z Perecem, który, podobnie jak Berdyczewski, chciał podważać, w przeskokach osiągać dalsze mety. Achad-Haam występował przeciwko idealizowaniu wszelkich przejawów anarchji, które uznawał za elementy obce sobie, skrycie lub jawnie zmierzające do niszczenia.

Achad-Haam nadał myśli żydowskiej jasność i spoistość stylu. Nikt przed nim, nawet I. L. Gordon, ani Lilienblum, nie mówiąc już o Smoleńskim, którego płomienna myśl zatapiała się w powodzi słów, — nie posiadali podobnie wielkiej zdolności przejrzystego formułowania myśli. Achad-Haam wydobył umysłowość żydowską z romantycznej rozlewności, wskazał jej drogę intelektualnego pogłębienia, kontroli i dyscypliny. Dzięki wielkiemu poczuciu stylu przezwyciężył chaotyczność i gadulstwo, cechujące literaturę hebrajską w okresie po „haskali”, i wraz z Fryszmanem stworzył podwaliny piśmiennictwa na miarę europejską.

Trzy księgi zbiorowe „Pardes”, wydane przez I. H. Rawnickiego, przy ścisłej współpracy Mendele i Achad-Haama, stanowiły linję graniczną — wniosły nowy klasyczny styl do literatury hebrajskiej.

III.

Mendele, Achad-Haam, Bialik odegrali rolę wychowawców młodego pokolenia. Uczyli surowego krytycyzmu, żądali maksimum wysiłku. Wymagania te stawiali zarówno w odniesieniu do formy jak i treści.

Surowość przystoi wprawdzie tym, którzy tworzą podstawy, kładą fundamenty, lecz wkońcu męczącym staje się ciągle przebywanie w atmosferze niebotycznych szczytów. Budzi się pragnienie swobody, wolniejszego oddechu. Perec, Berdyczewski, Fryszman, Czernichowski i wraz z nimi Brajnin, Klojzner, Ehrenpreis — przy całej różnorodności tej grupy — wnieśli do literatury hebrajskiej nowego ducha. Osnową starego kierunku był realizm, nowego — poezja Pomijając Czernichowskiego, który zaliczał się raczej do wiernych uczniów Mendele, nowa grupa odznaczała się rewolucyjnym, radosnym nastrojem. Tworzyli oni opozycję przeciwko surowemu klasycyzmowi i swymi wystąpieniami wywarli silny wpływ na szerokie koła młodych poetów. Zbliżyli oni literaturę hebrajską do prądów zachodnio-europejskich (Fryszman, Czernichowski), sięgnęli jednak również do motywów ludowych (Perec, Sztajnberg, Berdyczewski). Achad-Haam, Mendele i nawet Bialik opierali się głównie na tradycji narodowej, podczas gdy Perec i jego zwolennicy za podstawę swojej twórczości obierali raczej motywy rewolucyjne.

Pod wpływem obydwu kierunków dojrzewało młode pokolenie pisarskie. Trudno ocenić, który z nich silniej wycisnął swe piętno na nowej twórczości. Niewątpliwie jednak, w rozmaitych etapach swego rozwoju, młodzi pisarze podporządkowywali się to jednemu, to drugiemu znowu kierunkowi. Wychowani w surowej szkole Mendele i Achad-Haama (Bialik, szczególnie w swoich późniejszych lirykach, należał raczej do drugiej grupy), chętnie wyzwalali się na czas pewien z pod ich wpływów, by potem z większym jeszcze zapalem do nich powracać.

Szofman, Berkowicz, Sz. Ben-Cjon, Brenner, Szejnur, Szymonowicz, Debora Baron, Agnon, Barasz, nawet Gnesin, Sztajnman i Hazaz — wszyscy oni wyszli ze szkoły Mendele. Pod wpływem umysłowości i twórczości Achad-Haama wychowali się wszyscy młodzi publicyści — Klaczkin, Glikson, Kaufman, Kleinman, Borochow, pionierzy robotniczej prasy palestyńskiej: A. Gordon, Aronowicz, B. Kacnelson i inni. Nie przeszkadzało to jednak, że wielu z nich gorąco zwalczało jego reakcyjną, historyczno-społeczną koncepcję.

Najdobitniej zaznaczył się wpływ Bialika. Twórczość jego — był to pierwszy potężny wybuch heroizmu. Wzywał do walki, do bezustannych zmagani. Symbolem twórczości w pojęciu Bialika — to męstwo, nadludzki wysiłek. Bialik był nie tylko uczniem Achad-Haama; dopełnił również jego dzieła. Obrócił w czyn marzenia swego mistrza — odbudowywał zapadłe ruiny, odnowił świątynię naszej duchowej kultury.

IV.

Inne były jednak dążenia młodzieży, która wyrosła pod ich okiem. Nie chciała ona dźwigać na swoich młodych barkach ciężaru spuścizny minionych pokoleń. Pragnęła zburzyć mury przeszłości, ujrzeć światło słoneczne, odczuć radosne tętno przyrody, szczęście miłości. Ogarnęło ją palące pragnienie życia i na bok odrzuciła wszystkie inne zagadnienia.

Zjawisko to nie było zupełnie nowem. W swoim czasie „haskala” również kruszyła ściany starych murów i wzywała do normalnego, zdrowego życia. Czyniła to jednak bez zapalu, bez uniesienia — trzeźwo, beznamietnie przemawiała raczej do rozumu, aniżeli do uczucia.

Młoda poezja natomiast nie pouczała, lecz oszałamiała siłą uczucia. Nie porzucała przytem swego środowiska, zdołała odszukać w niem piękno niedostrzeżone dotychczas oraz wzbogacić je ogólnoludzkimi wartościami z szerszego świata.

Bialik śpiewał swoje słoneczne pieśni, a Czernichowski ogłosił pierwsze swoje sielanki, pełne zapachu żyznej gleby i kwitnących pól — obydwaj porwali za sobą całą plejadę młodych poetów hebrajskich na początku bieżącego stulecia.

Jakób Kahan, piewca przyrody i gloryfikator heroizmu życiowego; subtelny liryk i twórca potężnych hymnów. Rzekłbyś, że zwarła się w nim wielka cisza Goethego z patosem myśli schillerowskiej.

Z. Szejnur — poeta mocny i nieokiełznany — całą siłą swego talentu dał wyraz swej nienawiści i pogardy dla wszelkiej karłowatości, życiowego niedorozwoju.

Dawid Szymonowicz wyróżnił się jako piewca palestyńskiego krajobrazu. Utwory jego poświęcone są życiu pracującego chaluca. Rozbrzmiewa w nich wielka radość z powodu szczęśliwego powrotu narodu do opuszczonej niegdyś ojczyzny. Poezja Szymonowicza jest wzorem treściwej i głębokiej liryki.

Wnikliwym wejściem odznacza się Jakób Sztajnberg, poeta i twórca oryginalnych essayów. Mimo dręczących go ustawicznie wątpliwości, również jemu dodało otuchy nowe życie żydowskie w Palestynie, pełne bohaterskich wysiłków.

Ischak Kacnelson, poeta pełen radości życiowej, wyróżnia się niezwykłą potocznością mowy, pozbawioną na szczęście wszelkiej stylizacyjnej pedanterji.

Młoda poezja na długi czas wyrzekła się ważkich zadań — było to jej wadą. Wyształciła natomiast w dużym stopniu poczucie piękna. W dziejach literatury hebrajskiej nie odnajdziemy okresu, w którymby zespół poetów tej miary co Bialik i Czernichowski, zgodnym chórem wznosił równie potężny hymn na cześć przyrody. Charakter ich twórczości nie wynikał z powierzchownego epikureizmu, lub estetyzmu lite-

rackiego. Była to szczerza miłość dla ziemi, religia przyrody. Zdawało się, że nanowo odkryto lato i zimę, jesień i wiosnę, morze i góry, a ponad wszystko — ukochaną ziemię, zieleń traw i złoto dojrzałego kłosu. Śpiewano o wielkiej, radosnej miłości, o pieszczotach kobiety, długo z utęsknieniem wyczekiwanej. Zwrot ten świadczył wymownie o siłach żywotnych, nagromadzonych w duszy narodu.

V.

Innemi drogami szedł rozwój prozy, pozostającej wciąż pod silnym wpływem Mendele. Twórczość prozatorska nie mogła wzorem poezji dawać jedynie wyraz indywidualnym przeżyciom poety. Prozaicy tego okresu, wyrosli w atmosferze surowego realizmu, z bezlitosną prawdą kreślili obrazy pokolenia odchodzącego i tego, które nadchodzi. Nie byli satyrykami, ale tak uporczywie gnębili swych bohaterów, wykazywali ich nicość, że wyczuwało się niemal jawną radość poety z powodu ich upadku (Szofman, Brener).

Nawpół romantyczna, rozmarzona proza Feierberga, Berdyczewskiego, będąca dalszym ciągiem perecowskiego chasydyzmu i lirycznej prozy Fryszmana, okazała się zjawiskiem przemijającym.

Nową prozę cechuje przedwzrostkiem nastrój grozy. Nomberg, Sz. Ben-Cjon, nawet Berkowicz, pisali niekiedy i liryczną prozą. Większość jednak ich utworów charakteryzuje ciężki, przytłaczający nastrój. Postacie ludzi, zagubionych w wielkim mieście, lub ginących w miasteczku — nieszczęśliwe, bezsilne, beznadziejne. Baal-Machszowot wyraził się, że z przepalonych popiołów nie da się wzniesć monumentalnych pomników. Nie sędzę, by miał w tym wypadku słuszność. Epickie obrazy Brenera, rozpacz pokolenia, pozbawionego woli, wydobyta bezlitośnie na jaw przez Szofmana, bezsilni, zapomniani bohaterowie Nomberga — wszystko to stanowi wdzięczny materiał dla wielkiej sztuki. Wartość dzieła zależy jedynie od zdolności twórczych artysty. Wielki poeta powinien uchwycić również słabe cechy pokolenia. Istotnym jest w tym wypadku stosunek autora do obranych tematów. Zarówno w noweli Brenera p. t. „W szpitalu”, jak i w utworach Szofmana i Gnesina, gdzie przewija się szereg opuszczonych, blakających się bez celu postaci, wyczuwa się również tęsknotę autora za zdrowym pokoleniem, wyrosłem w normalnych warunkach.

W młodej prozie zauważyć się dają dwa odłamy. Do jednego z nich należą: Bialik, Sz. Ben-Cjon, Berkowicz — są to naturaliści, poeci „prozy życiowej”. Wolą jednak obierać sobie bohaterów duchowo zdrowszych, silniej związanych z życiem. Są to postacie znane nam dobrze, przeciętne raczej (Arie Baal-Guf, Moszkele Chazir), autor jednak nie odnosi się do nich z pogardą i obrzydzeniem, jak to czynią Szofman, lub Brener.

Często kreślą oni (poza Bialikiem) również sylwety bladych, bezkrwistych postaci, w których życiu nie brak jednak przeblasków nadziei. Pisarze ci — to raczej obiektywni realisci, bez osobistego stosunku do odtwarzanych postaci. Do tej grupy należy zaliczyć również Berszadzkiego, Kabaka, Sika, Ben-Eliezera i innych.

Druga grupa nie odznacza się równie syntetycznym ujmowaniem zjawisk. W twórczości jej dadzą się dostrzec zarówno wpływy Mendele, jak i Pereca, Berdyczewskiego. Brener, Gnesin, Szofman — to realisci posiadający jednak skłonność do głębszego analizowania, do poetyckiej refleksyjności. I tak Szofman, nawskroś realista, jest przytem ukrytym symbolistą; niejedne z nowel Gnesina i Szofmana — to raczej poematy, pisane prozą. Podobnie Debora Baron — pisarka z wybitnym talentem epickim — osiągnęła w prozie swej iście poetycką melodyjność i przejrzystość.

Największy wpływ na literaturę hebrajską tego okresu wywierał Brener. Nie wyróżnia się on z pośród całej grupy młodych pisarzy, jako artysta; była to jednak niewątpliwie najwybitniejsza indywidualność tego okresu. Głośnie echem odbiły się w jego twórczości bolesne zmagania współczesnej mu epoki. Z wielką siłą i głębokim rozgoryczeniem uwiecznił nieukojoną niepokoj młodego pokolenia. Brener również wykroczył poza granice realizmu. W jego noweli p. t. „M'kan u m'kan” drga bezbrzeżny smutek — symbol przeżyć człowieka, złamanego wielkością swej duszy.

Nastąpił jakby podział ról między poetów i prozaików. Poeci głosili potęgę siły życiowej, budzącej się w pokoleniu, — prozaików natomiast cechował sceptycyzm i trzeźwość sądów. Nawet Brener, który z radością powitał pierwszych „chalucim” i poświęcił im większą część swej twórczości, nie zaprzestał jednak odtwarzać opuszczonych, skazanych na wegetację przedstawicieli minionej epoki przejściowej.

Młoda poezja hebrajska w krótkim czasie osiągnęła pełny ton i doskonałość formy. Proza natomiast wciąż jeszcze wyczekiwała pokolenia, któreby mówiło po hebrajsku. Narazie wielcy nawet mistrze słowa, jak Szofman i Berkowicz, nie zdołali należycie indywidualizować języka swych bohaterów, gdyż nie pozostawali oni w bezpośrednim kontakcie z hebrajszczyzną, używaną w mowie potocznej.

Dopiero z odrodzeniem mowy hebrajskiej w Palestynie przed literaturą hebrajską otworzyły się nowe horyzonty.

Przechodząc do tej nowej epoki nie godzi się pominąć milczeniem pierwszych nowoczesnych krytyków hebrajskich.

Rubin Brajnin — jeden z pierwszych głosił odrodzenie narodu żydowskiego w Palestynie, nawoływał młode pokolenie do pielęgnowania sztuki narodowej. Utwory jego, przepojone patosem wiary, wywarły niepośledni wpływ na rozwój idei odrodzenia narodowego.

Josef Klausner, człowiek wszechstronnie uzdolniony, krytyk o rozległej wiedzy, publicysta i badacz historii.

Do nich należy również Dr. M. Ehrenpreis, świetny stylista i twórca nowoczesnego studjum literackiego.

Okres, rozpoczęty przez nich, wydał cały szereg wybitnych krytyków: F. Lachower, D. A. Frydman, Sz. Cemach, M. Rybołow, Sz. Sztreit — badaczy literatury, jak Dr. Simchoni i inni.

Z pośród publicystów, którzy przyczynili się do wzmożenia idei narodowej, należy wymienić:

Nachum Sokołow, wszechstronnie uzdolniony publicysta i essayista, powieściopisarz i badacz, wzbogacił literaturę hebrajską we wszystkich niemal dziedzinach; Hilel Cejtlin, krytyk i publicysta, którego prace krytyczne graniczą z poezją; I. Klaczkina, essayista, wnikliwy myśliciel i świetny stylista stworzył najpiękniejsze studia filozoficzne we współczesnym piśmiennictwie hebrajskim. W życiu kulturalnym narodu żydowskiego odegrali również poważną rolę: Wł. Zabotyński, I. Ch. Rawnicki, A. Drojanow, M. Glikson, I. Kaufman, M. Kleinman, A. M. Borochof i inni.

VI.

Idee, propagowane przez literaturę hebrajską zaczęły się urzeczywistniać w ostatnim dziesięcioleciu, poprzedzającym wybuch wojny światowej. Aktywność, która znalazła swój społeczny wyraz w t. zw. drugiej emigracji palestyńskiej („alija”), była między innymi wynikiem usilnej pracy wychowawczej, dokonanej przez literaturę hebrajską. Praca przygotowawcza dobiegała końca. Wzrósł znacznie poziom wymagań. Nowe prądy dają się zauważyć szczególnie w prozie. Naogół jednak brak znamion przełomu — dalszy rozwój w tym samym kierunku. Wyczuwa się nawet pewien przesyt, wyczerpanie możliwości starych form.

Toczy się jawna i ukryta walka z hegemonią zakrzepłej w formach „szkoły odeskiej”. Brener, Cejtlin, Berdyczewski zerwali już dawno z doktryną Achad-Haama. Jego ciasny konserwatyzm stoi w jaskrawej sprzeczności z rewolucyjnymi nastrojami chwili.

Mimo to twórczość Achad-Haama weszła w krew całego pokolenia. W Palestynie powstaje młoda prasa robotnicza („Hapoel Hacair”, „Achdut Haawoda”), równie silnie zwalczająca Achad-Haama, jak prześlągnięta uwielbieniem ku niemu. Koncepcja „Poalej-Sjonu” wyrosła całkowicie na gruncie historjografii Achad-Haama. Nawet A. D. Gordon bronił jego tezy, zwalczając historyczny nihilizm Brenera.

Z wielką ostrożnością występuje się przeciwko Mendele. Przeraża klasyczny, surowy ton jego artyzmu, jednak głębią krytycznego umysłu imponuje nawet najskrajniejszym przeciwnikom. Brener i Szofman, czołowi przedstawiciele nowego kierunku, uznają w nim swego nauczyciela.

Brener ceni w Mendele i Berdyczewskim przede wszystkim wolne indywidualności twórcze, które w swoim czasie zerwały z więzami tradycji. Natomiast tacy, jak J. Rabinowicz, którzy uganiają się za każdą krztą modernizmu i mało mają zrozumienia dla poważnej sztuki, ostro występują przeciwko Mendele, wysuwają jednak najczęściej argumenty mało ważne.

Wielki wpływ na kształtowanie się młodej prozy hebrajskiej wywarła literatura skandynawska. Pod jej wpływem styl prozaików indywidualizuje się coraz bardziej, autor szuka swoich indywidualnych środków wyrazu. Ale zerwawszy z tradycją klasycznego stylu Mendele, Bialika, Szofmana, proza hebrajska została zalana nową falą liryzmu.

Najwybitniejszym przedstawicielem młodej prozy hebrajskiej jest niezaprzeczenie Agnon, świetny nowelista oraz autor pięknych, liryczno-epickich poematów. Jego wybitnemu talentowi epickiemu stawia często zaporę skłonność do stylizowania. Wierny uczeń Mendele pod względem stylu i języka, wiele momentów nastrojowych i kulturę pisarską zaczerpnął u Hamsuna.

W przeciwieństwie do Agnona, u którego utwór dojrzewa powoli, ewolucyjnie, twórczość Szteinmana odznacza się istic żydowskim impetem i bezpośredniością. Jako urodzony polemista postawił sobie za zadanie walkę ze starszym pokoleniem. Często jednak wydaje się, że marnuje on wielkie możliwości swego talentu. Skłonność do polemizowania przeistacza się w manierę i autor przestaje odróżniać sprawy istotne od mniej istotnych, stosując patos i cały ogień swego temperamentu w wypadkach, kiedy wystarczyłyby mały uśmieszek, lub nieco ironji. Twórczość jego jest bardzo nierówna. Obok świetnych, wykończonych w formie utworów, znaleźć można wiele zupełnie chybionych eksperymentów.

Jednolitą, utrzymaną w stylu jest natomiast twórczość A. Barasza. Prostota stylu, czystość języka, głębokie zrozumienie dla zadań literatury — oto istotne jego zalety. Na dnie jego twórczości tkwi jednak coś zakrzepłego, nawet najlepszym jego opowiadaniom brak życia, organicznej świeżości. Jako poeta „szukał” on raczej, nie osiągając naogół wielkich zdobyczy. Dzięki wybitnej kulturze pisarskiej stworzył jednak szereg wierszy, które — aczkolwiek zimne i mało przeżyte przez autora — przemawiają silniej niż płytka uczuciowość innych pisarzy.

Niezwykłą prostotę i przejrzystość stylu osiągnął M. Poznański. Jego spokojne, poważne nowele nasiąkły rytmem literatury skandynawskiej.

Poznański przybył z zewnątrz do literatury hebrajskiej, wyróżnia się jednak swem duchowem i poetyckim obliczem.

Wspominaliśmy już o Deborze Baron. Odnalazła ona swój właściwy ton dopiero w późniejszym etapie twórczości. Wyróżnia się epickim, syntetycznym stylem. Nowele jej, na początku nawskroś realistyczne,

nabrały potem prawdziwie poetyckich elementów — przebija w nich cichy liryzm, smętny uśmiech, jasność i muzyka słowa.

J. Rabinowicz również dopiero w ostatnich latach napisał dwa utwory: „Hagadam” i „Beharim”, które zapewniły mu wybitne stanowisko w młodej literaturze hebrajskiej. „Beharim” — utwór, osnuty na tle czasów drugiej świątyni Jerozolimskiej — daje doskonały obrazek rodzajowy z życia dawnych chłopów żydowskich, rekonstruowany według Miszny i Hagady. Autor świetnie uchwycił różnicę między ubogim, górzystym krajem Jehuda, gdzie pustynne, skaliste otoczenie kształciło w człowieku skłonność do kontemplacji i wewnętrznego skupienia, — a obficie uodnioną, zieloną Szefalą, odznaczającą się zewnętrznym przepychem i kupiecką przedsiębiorczością, właściwą osiedlom nadbrzeżnym.

Należy tu wspomnieć jeszcze o nowelach J. Szeinberga, które nie należą wprawdzie do najlepszych jego utworów, ale przebija w nich dążenie do przełamania tradycyjnych form. Pod powłoką zakrzepłych form artystycznych nurtuje na dnie jego nowel ukryty, orzeźwiający prąd liryzmu. Niektóre z jego nowel — to istotnie małe arcydzieła.

W tym czasie pojawia się również kilku młodych nowelistów. Niepohamowany, pełen liryzmu C. Z. Weinberg, wyróżniający się błyskotliwymi erotykami — Klacsko, ludowy w kolorycie — Z. Rozental, Ben-Abram. Ukazują się pierwsi beletryści palestyńscy: M. Smilański, Sz. Cemach, A. Rubeni. Wraz z tą grupą literatura hebrajska wkroczyła w nowy etap rozwoju. Język hebrajski nabiera żywości, ujęcie tematów odznacza się poważnym pogłębieniem psychologicznym. Mała nowela osiąga formę niemal zupełnie wykończoną.

Piśmiennictwo hebrajskie w Palestynie jest silnie sprzęgnięte z ruchem chalucowym. Mosze Smilański, M. Wilkoński, Sz. Cemach, ich następcy — A. Rubeni, B. Kimchi, J. Churgin, oraz utalentowani powieściopisarze sefardyjscy — I. Burla, A. Szami, A. A. Kabak — wszyscy oni dali obraz nowego życia żydowskiego w Palestynie. A. A. Kabak napisał ostatnio świetną powieść p. t. „Szlomo Molcho”, przepojoną specyficznym pięknem życia palestyńskiego. „Dni i noce” N. Bystryckiego są apoteozą twórczego ruchu chalucowego. Jakby z eposu życia bohaterów, wyłania się z piśmiennictwa palestyńskiego duch nowego życia, kształtującego hart woli i zapał twórczy.

Na początku bieżącego stulecia zastaje założone narodowo-radykalne stronnictwo „Hapoel-Hacair”. Teoretykiem jego był znany pedagog i publicysta, A. D. Gordon, apologeta kultu pracy.

Równocześnie z „Hapoel-Hacair” powstała również socjalistyczna partja „Poalej-Sjon”, która wniosła do nowej myśli hebrajskiej swoiste wartości, wyzwalać ją z tradycyjnej wsteczności. W jej szeregach

znajdujemy wybitnych działaczy społecznych i publicystów: J. Aronowicz, Reb-Benjamin, I. Wilkoński, Ch. Arlozorow, I. Lufban, B. Kacnelson, M. Bejlison, D. Ben-Gurjon, Ben-Cwi i inni.

VII.

Kontury młodej poezji hebrajskiej zarysowują się już w ostatnich latach przed wojną. Grupa amerykańska — Silkiner, Sz. Ginsburg, H. Bawli, Lisecki, Sz. Halkin — wydała zaledwie kilka tomików, które dają słabe pojęcie o jej możliwościach. Wśród nich wyróżnia się Sz. Halkin, poeta i powieściopisarz.

Grupa europejska — obecnie przeniosła się prawie całkowicie do Palestyny — rozwijała się powoli i stopniowo. Temkin, szczerzy liryk, w którego utworach przebija cicha nuta rezygnacji, dopiero po wojnie odnalazł właściwe sobie środki wyrazu. Z wielką subtelnością kreśli on w swoich lirykach przejrystość palestyńskiego krajobrazu. Łagodny, melodyjny jest również wiersz Lichtenbauma, przepojony elegijnym tonem. Wolfowski wyróżnia się bezpośredniością, prostotą; dobrze pisze również prozą. W pierwszych próbach A. Meitusa i P. Gincburga zarysowują się nowe możliwości, dotychczas jednak mało zrealizowane.

Zdała od tej grupy pozostawał J. Lerner. W utworach jego, pisanych surowym stylem, przebija ciężki, uporczywy smutek.

Pełne prastarej, żydowskiej ekstazy są utwory A. Feiersteina (Ha-meiri). On pierwszy wstrząsnął atmosferą hebrajskiej liryki i zapowiadał nadejście późniejszej grupy nowatorów. Podobny nastrój ekstazy panuje w utworach J. Karni. Z początku pozostawał pod silnym wpływem Błoka i jego „kultu dla madonny”. Dopiero w Palestynie odnalazł on swą własną drogę rozwoju. Miłość do kraju i tych, którzy pracują nad jego odbudową, stanowi dominujący ton jego utworów.

Pod znakiem tej nowej mesjanistycznej ekstazy rozwija się młoda poezja hebrajska lat powojennych. Równocześnie rozwija się także stary kierunek, hołdujący „normalnym”, tradycyjnym formom, tworząc w ten sposób podłoże dla ustawicznych walk między „młodymi” a „starymi”.

Pierwsze miejsce w grupie młodej awangardy poetyckiej zajmuje A. C. Grynberg. Poeta pracy i ruchu chalucowego, jest on równocześnie bardem legionów i skrajnego rewizjonizmu. Jako indywidualność pisarska zajmuje on niezaprzeczenie pierwsze miejsce wśród młodych ekstatyków-mesjanistów. Styl jego tkwi głęboko w prymitywie chasydskich przypowieści i Kabały, osiągając miejscami szerokie brzmienie whitmanowskich hymnów.

Pokrewnym mu w tematyce jest Lamdan, który jednak nie osiągnął jeszcze swej ostatecznej formy. W bardzo popularnym poemacie p. t.

„Masada” dał on wyraz głębokiemu kryzysowi duchowemu, jaki przeżywa obecnie ruch chalucowy w Palestynie.

Specjalne miejsce zajmuje w młodej poezji hebrajskiej A. Szłoński — najwybitniejszy poeta — wirtuoz. Dzięki wielkim możliwościom językowym wykuł on wzór nowego wiersza hebrajskiego, niestety poetyckim jego kombinacjom brak treści i głębszego duchowego wysiłku.

Ciekawą jest również grupa młodych poetek hebrajskich — Elisze-wa, Rachel, Estera Raw, A. Pinkerfeld oraz Bat-Mirjam.

Wśród poetów hebrajskich poza Palestyną wyróżnia się Aron Cejtlin, którego utwory poetyckie i dramatyczne prześiąknięte są nastrojem mistycznym i ekstazą. W Ameryce czynni są: Sz. Halkin, poeta i prozaik, odznaczający się poważną kulturą pisarską; Sz. Blank, poeta pracy.

Jest rzeczą niemożliwą, w ramach tak szczupłej pracy, dać dokładną ocenę młodych talentów, tworzących zwłaszcza w latach ostatnich w Palestynie i krajach djaspory. W tej pracy musieliśmy poprzestać na ogólnych wytycznych.

NACHMAN MAJZEL

WSPÓŁCZESNA LITERATURA ŻYDOWSKA

I.

Spojrzenie wstecz na minione lata naszej twórczości literackiej. Przegląd literatury żydowskiej w różnych krajach w ciągu ostatnich lat, obfitujących w znamienne wydarzenia dziejowe.

W chwili dokonywania bilansu naszej twórczości literackiej wypływa pytanie:

Jaką drogę przebyła literatura żydowska w ciągu ostatnich piętnastu lat, jakie prądy ją nurtowały?

W chwili wybuchu wojny światowej literatura żydowska przechodziła okres silnego ożywienia i rozkwitu, zarówno w krajach byłego imperjum rosyjskiego, jak i w Ameryce.

Po kilku latach reakcji i ogólnego przygnębienia nastąpił w życiu kulturalnym Rosji, a w życiu żydowskiego ośrodka w Rosji w szczególności, wyraźny zwrot ku lepszemu. Nastąpił zwrot ku pracy społecznej, z wielką energią zaczęto zakładać i umacniać towarzystwa i instytucje o charakterze kulturalno-społecznym i gospodarczym. Wzrosło poważnie zainteresowanie wszelkimi dziedzinami twórczości żydowskiej — literaturą, szkolnictwem, malarstwem, muzyką. Pojawiły się nowe towarzystwa kulturalne, pisma, teatry, wydawnictwa.

Literatura żydowska wystąpiła z dotychczasowych ram, by wkroczyć na szerokie tory aktywnej twórczości. Proces przesiedlania się z miasteczek do wielkich ośrodków miejskich wniósł do życia żydowskiego nowe wartości. Czyniono próby ujęcia w szerokim zasięgu całość kształt przeżyć i zagadnień życia żydowskiego w wielkim mieście. Małe miasteczko traciło pozycję za pozycją, ekonomicznie i kulturalnie. Z uporczywym wysiłkiem wznoszono nowe placówki na terenie wielkiego miasta.

Literatura żydowska rozszerzyła swe horyzonty. Twórczość starszych pisarzy była naówczas w pełnym rozkwicie, w szczególności Pereca i Szalom-Alejchema. Rozrosła się młodsza generacja sił pisarskich: Sz. Asz, Jehoasz, A. Weiter, D. Piński, Berdiczewski, Bialik, Brener, A. Reizen, Z. Szejur, I. Kacnelson, J. Fichman, G. Szofman.

Z. Segalowicz, M. Teitsz, J. Mastbojm i wielu innych. Jednocześnie zjawia się w literaturze żydowskiej szereg młodych pisarzy o wybitnej indywidualności artystycznej, których utwory wyróżniają się nową treścią i nowym kolorytem: C. Hirszman, D. Bergelson, A. Rubeni, Menachem i inni. Literatura żydowska, odznaczająca się dotychczas wąskim zakresem pojęć i zainteresowań, nasiąka teraz nowymi ideami, nawałem nowych zagadnień.

Zostaje nawiązany kontakt z literaturą światową. Podjęto na szeroką skalę przekłady arcydzieł literatury europejskiej na język żydowski; szereg dzieł klasyków żydowskich ukazuje się w języku rosyjskim, niemieckim, francuskim i angielskim.

Następuje również odrodzenie teatru żydowskiego — Trupa Kamińskiego oraz Studium Pereca Hirszbeina podniosły znacznie poziom repertuaru oraz gry aktorskiej.

Jednocześnie wzmacnia się tętno życia kulturalnego wśród Żydów w Ameryce. Przywykli dotychczas do czerpania źródeł żywotnych ze swej dawnej ojczyzny, z Europy, sami zaczynają wykazywać teraz inicjatywę twórczą. Wielka fala imigracji żydowskiej wzmogła energię twórczą mas ludowych i wydobyła na powierzchnię życia kulturalnego nowe siły, które stanęły do współzawodnictwa z ośrodkami żydowskimi w Rosji. „Młoda Ameryka” po raz pierwszy wystąpiła z szeregiem wybitnych pisarzy: Mani Łajb, J. Opatoszu, Z. Landau, I. J. Szwarc, A. Raboj, D. Ignatow, M. Halperin, H. Lewik — oni pierwsi dali potężny wyraz życiu żydowskiemu nowej Ameryki.

Mocne, twórcze słowa, wykwitłe na gruncie pogardzanej „zmaterializowanej” Ameryki, znalazły radosny odzew w żydowskich ośrodkach kulturalnych Europy. Zadzierzgnięto bliższe stosunki między „starą Europą”, a „młodą Ameryką”. Pismo „Di idisze Welt”, ukazujące się w Wilnie, zorganizowało w New-Jorku amerykańskie wydanie p. t. „Literatura i życie” — symbol świadomej woli, wspólnego dążenia do jednolitej, opartej na porozumieniu współpracy.

II.

Wybuch wojny światowej przerwał wszystkie te poczynania. Na terenie ośrodków żydowskich toczyły się operacje wojenne. Czego bitwa nie zmiotła z powierzchni ziemi, uległo zniszczeniu mocą ustaw i tajnych okólników wojennego sztabu rosyjskiego. Żydowskie instytucje kulturalne po kolei musiały przerwać swoją działalność. Zakaz rozpowszechniania druków w języku żydowskim był ściśle przestrzegany i osiągnął zamierzone rezultaty. Granice, oddzielające linie frontów, poćwiartowały życie żydowskie. W ciągu lat wielkie ośrodki żydowskie w Europie były zupełnie odcięte od siebie, nie mówiąc już o Ameryce. Urwały się

więzy, zadzierzgnięte z wielkim wysiłkiem między żydowskim życiem kulturalnym Europy i Ameryki.

Stosunek Żydów do wojny był od samego początku wybitnie negatywny, mimo, że setki tysięcy Żydów walczyło na wszystkich frontach, a pozostali dźwigali na swoich barkach całą grozę przeżyć wojennych.

To też piśmiennictwo żydowskie nie posiada patriotycznej literatury wojennej — nie było w społeczeństwie żydowskim owej psychozy patriotycznej, której poddali się wybitni pisarze rosyjscy, niemieccy, francuscy, włoscy i in.

Od początku wojny Żydzi mieli swój własny „żydowski front” prześladowań, ucisku, zesłań i pogromów — fala, która pochłonęła setki tysięcy ofiar.

Utwory, osnute na tle bezpośrednich wrażeń z pola bitwy, ukazały się później w pismach i oddzielnych wydawnictwach. Szczególnie charakterystyczną jest książka A. Zaka p. t. „Pod skrzydłami śmierci” — „przeżycia człowieka w szarym mundurze, pośród tłumu innych szarych mundurów, na polach Galicji Wschodniej”. Żyd, wbrew swojej woli wciągnięty w tragiczny splot wydarzeń wojennych, obcy, przybity, śmiertelnie znużony włókł się poprzez pola wojenne, ogarnięty jedną myślą — jak najprędzej wydostać się z tego straszego kłębowiska.

Potem ukazały się również inne książki podobnej treści. Z. Segalowicza „Z życia w koszarach”, A. Iwenickiego „Na skrzyżowaniu dróg” (pamiętnik jeńca wojennego), I. Grinberga „Z krwawego pola”, S. Kahana „Na krwawych drogach” (wspomnienia żydowskiego żołnierza z Ameryki, który walczył na froncie francuskim), A. Heiszerika „W ogniu i we krwi” i wiele innych.

Do tej samej grupy utworów należy również zaliczyć J. Mesteia „Notatki wojenne oficera-Żyda” (w dwóch tomach) oraz wrażenia wojenne dwóch żydowskich lekarzy połowych: dr. G. Lewina „W wojnie światowej” i dr. J. Leipunera „Cztery lata w wojnie światowej”.

Stosunek do wojny oficera-Żyda i obu lekarzy jest również nawskroś negatywny. Podobnie jak zwykli żołnierze w szarych mundurach widzą oni w wojnie straszliwą klęskę, która pozostawiła po sobie jedynie ruiny i zgłiszczca.

Bogatszą i bardziej wykończoną w formie jest grupa utworów, której treść stanowią przeżycia na tyłach. Utwory literatury wojennej, w ścisłym znaczeniu tego słowa, pisane były w formie pamiętników, wspomnień, oderwanych obrazów. Druga natomiast grupa posługuje się bardziej skomplikowanymi gatunkami literackimi, jak: poezja, poemat, nowela, powieść, dramat. W tej grupie znajdziemy utwory najwybitniejszych pisarzy żydowskich.

Szalom Asz, najwrażliwszy z współczesnych pisarzy żydowskich, w swych opowiadaniach i dramacie p. t. „Sznur pereł” dał obraz z ży-

cia żydowskiego w Polsce podczas wojny, pełnego tragicznych przeżyć, bólu i rozpacz.

W tomie nowel p. t. „Księga bólu” odmalował autor całą grozę przeżyć bezbronnej ludności żydowskiej w Polsce na tyłach frontów.

Wreszcie dwa arcydzieła Asza — „Kidusz Haszem” i „Czarownica z Kastylji” — powstały niewątpliwie pod bezpośrednim wpływem grozą przejmujących wypadków na Ukrainie. W obrazach z czasów Chmielnickiego w „Kidusz Haszem” wyczuwamy grozę dni, któreśmy sami przeżyli.

Również J. Opatoszu z wielkim talentem oddał przeżycia Żydów na wschodnich rubieżach ziem polskich w szeregu świetnych nowel, które złożyły się w tom p. t. „Na zgłiszczach”.

Obrazy z wojny i pogromów dał również L. Szapiro w opowiadaniu p. t. „Państwo żydowskie”, które ukazało się w Ameryce.

Ciekawe poematy H. Lewika p. t. „Wilk” i „W oborze” stanowią spłot realnych wydarzeń i fantastycznych wizyj — tchną one najszybszą poezją, zrodzoną w bólu.

W sposób zupełnie odmienny ujął tragizm tych czasów poeta U. C. Grinberg w poemacie p. t. „Mefisto”, w którym histeryczny płacz i potężny protest zmieniają się wreszcie w zjadliwe bluźnierstwa przeciwko Bogu i ludziom.

W sposób jemu tylko właściwy zobrazował czasy wojenne poeta Borejsza w głęboko wzruszającej książce p. t. „Zawel Rimer”. Tragiczne wydarzenia zostały tu oddane szczerze i bezpośrednio — prosty człowiek opowiada tu o isticie nieludzkich przeżyciach.

Poemat Sz. Gilberta „Kroki Mesjasza” przepojony jest przerażeniem śmiertelnych dni wojennych i wizjami mesjaszowymi — przyćmione sylwety na tle szalejącego żywiołu wojny.

Z utworów, poświęconych wojnie i pogromom, wymienić jeszcze należy: B. Epelbauma „Drogi w mroku”, A. Szeina „Ukraina płacze”, Racheli Feigenberg „Na brzegach Dniestru” i wiele innych.

Znaczną wartość historyczną posiadają liczne pamiętniki i wspomnienia z okresu wielkiej wojny. Na pierwszym miejscu należy wymienić potężne dzieło An-skiego p. t. „Na zgłiszczach życia żydowskiego w Polsce, na Ukrainie i Bukowinie”. Autor opisuje swoje wrażenia ze zniszczonych osiedli żydowskich, które zwiedzał w latach 1914—1917.

Pogromy na Ukrainie znalazły również swoje odbicie w szeregu utworów poetyckich. L. Kwitko, D. Hofszteina i Pereca Markisza. Szczególnie popularnym stał się poemat Markisza p. t. „Stos”, w którym krzyk rozpacz łączy się z gwałtownym protestem przeciw grozie pogromów.

Nastaly czasy okupacji. Wojna wstrząsnęła u podstaw życiem żydowskim, okres okupacji zmiotł do reszty patryarchalne pozostałości obyczajowe, podważył gmach panującej moralności.

Życie żydowskie podczas okupacji odmalował w mocnych barwach z niezwykłą bezpośredniością Ojzer Warszawski w swojej oryginalnej powieści p. t. „Szmuglerzy”. Utwór ten wysunął młodego pisarza na czoło młodych prozaików żydowskich.

Na tle życia w okresie okupacji osnute są również utwory młodych pisarzy: L. Olickiego „W okupowanym miasteczku”, Sz. Horonczyka p. t. „Splątane szlaki”, D. Kaplanowicza „W zastygłym mieście” i inne.

Kilka lat po wojnie wzbogaciła się proza żydowska jeszcze kilkoma utworami, osnutymi na tle przeżyć wojennych. Dystans czasu pozwolił autorom na pogłębienie tematów i na ujęcie ich w doskonalszą formę artystyczną. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić dwie opowieści: Ojzera Warszawskiego p. t. „Żniwa” i I. I. Zyngera — „Stal i żelazo”. Warszawski kreśli w nawpół ironicznym, nawpół elegijnym tonie obraz żydowskiego miasteczka w chwili wybuchu wojny światowej. I. I. Zynger z wielkim rozmachem artystycznym daje w swojej powieści niezmierne bogactwo sytuacji i postaci. Przytem autor nie poprzestaje na roli obojętnego obserwatora, ale przy każdej sposobności śmiało piętnuje i oskarża. W ponurych barwach maluje ogrom dziczy i barbarzyństwa, rozpetanego przez burzę dziejową.

Do tej grupy autorów należy również zaliczyć dwie książki młodego pisarza Horonczyka „Grzęzawisko” i „Wśród huku maszyn”, które ukazały się w ostatnich latach.

Poważne miejsce w beletrystyce żydowskiej lat powojennych zajmuje A. Fuks. Jego nowele z życia powojennego odznaczają się ogromnym bogactwem stylu, siłą nastroju, barw i rysunku.

III.

Niemal symbolicznym wydaje się fakt, że w okresie wojny światowej i rewolucji rosyjskiej zakończyli swe życie najwybitniejsi przedstawiciele starszego pokolenia pisarskiego: Mendeł Mojcher-Sforim, Perec, Szalom-Alejchem, Dinenson, Spektor, Frug, M. Rosenfeld i Sz. An-ski. Okres ten stanowił erę w żydowskim życiu kulturalnym — wstrząsnął podstawami życia żydowskiego, zmiotł dawnych przywódców duchowych i wysunął nowe talenty.

Jak zwykle w podobnych okresach, kiedy wypadki następują po sobie z zastraszającą szybkością, obracając w niwecz utwierdzone formy życiowe — najsilniej i bezpośrednio reaguje poeta. Prozaik potrafi tworzyć jedynie w atmosferze względnego spokoju, stabilizacji stosunków. Powoli gromadzony materiał wymaga czasu i skupienia, zanim dojrzeje

należycie i znajdzie właściwe środki wyrazu. To też podczas wojny i rewolucji rosyjskiej rozwinęła się w pierwszym rzędzie twórczość poetycka. Każdy ośrodek życia żydowskiego wydał swoich poetów, którzy w mniejszych zazwyczaj utworach dali bezpośredni wyraz nastrojowi przeżytych chwil. Ten regionalizm zachował się w poezji żydowskiej również i po wojnie.

Każdy z ośrodków życia żydowskiego zyskuje nowych poetów. Na Ukrainie występują: U. Szvarcman, B. Szeinstein, L. Kwitko, D. Hofsztein, Perec Markisz; w Kongresówce — M. Broderson, M. Kulbak; w Galicji — U. C. Grynberg, M. Rawicz, B. Horowicz; w Ameryce — H. Lewik, M. Halperin, A. Lejeles i t. d. W twórczości wszystkich tych poetów głośnie echem odbiły się ciężkie przeżycia burzliwej epoki. Zestawmy dawną poezję: M. Winczewskiego, M. Rosenfelda, J. Bowszowera, D. Edelsztadta, A. Liesina z utworami współczesnej poezji żydowskiej — przejrzyście uwypukli się przed nami przestrzeń, dzieląca jedną epokę od drugiej.

W utworach poetów przedwojennych panuje najczęściej nastrój przygnębienia, zwątpienia i bezradności; w najlepszym razie — przebliski nadziei, sięgające w daleką przyszłość.

Burzliwe wydarzenia okresu wojennego wytrąciły młodą poezję ze stanu bierności i zmusiły ją do żywego reagowania.

Inaczej przedstawia się proza żydowska tego okresu. Moglibyśmy wymienić jeszcze kilkudziesięciu młodych poetów rewolucyjnych z Rosji Sowieckiej. Natomiast prozaicy żydowscy w tych latach gorących milczeli jeszcze, wyczekiwali. D. Bergelson podczas pierwszych lat rewolucji napisał opowiadania p. t. „W zamglonych czasach” i „Odwrót”; J. Rozenfeld nadal pisał się w psychologicznych sytuacjach między „nim a nią”. Podobnie inni pisarze, przebywający wtedy w Rosji, nie podążali za wypadkami chwili bieżącej; materiał do swoich utworów czerpali najczęściej z czasów minionych, roztrząsając zagadnienia już przebrzmiałe.

IV.

Wojna jednak nie zniszczyła całkowicie więzów, łączących ośrodki życia żydowskiego w jedną całość.

Nawet Ameryka, która nie przeżyła bezpośrednio wypadków wojennych, pogromów i rewolucji, śledziła wydarzenia te z ogromnym zainteresowaniem. Objaw ten uwydatnia się również w literaturze żydowskiej. Podczas wojny Szalom Asz napisał „Kidusz Haszem”, „Marańów”, „Sznur pereł”; J. Opatoszu — „W lasach polskich” i „Rok 1863”. H. Lewik — „Golem”, „W oborze”, „Wilk”; M. Borejsza — „Zawel Rimer” i t. p.

Wszystkie te utwory, powstałe w Ameryce, noszą na sobie piętno przeżyć wojennych, jakich doznali Żydzi w Polsce i na Ukrainie. Literatura żydowska coraz wyraźniej spaja się w jednolitą całość — przez wszystkie jej odłamy terytorjalne przewijają się te same tematy, te same palące zagadnienia.

Utwory Mendele, który życie swoje spędził na Wołyniu, w Beryczowie, Żytomierzu i w Odesie, wydawane były i z równym powodzeniem przyjmowane w Polsce i w Ameryce. Podobnie Szalom Alechem, zrośnięty niemal z Wołyniem i Kijowem, zyskał największą popularność na terenie prasy warszawskiej, a ostatnie niezrównane dzieło swoje p. t. „Na jarmarku” — obraz wzięty żywcem z życia żydowskiego na Ukrainie — napisał w New-Yorku. Wielu swoich bohaterów nprz. „Motel, syn kantora” przenosił on do Ameryki i opisywał ich dalsze dzieje na tle nowego środowiska. Rdzennie polski Perec obierał sobie bohaterów, pochodzących z Ukrainy („Gilguł fun a nigun”). W „Opowiadaniach chasydskich” i „Przypowieściach ludowych” zebrał Perec i stopił w jedną całość motywy ludowe, zaczerpnięte z obyczajowości żydowskiej Wołynia i Polski.

Poszczególne kraje i ośrodki w większej jeszcze mierze są reprezentowane w twórczości Sz. Asza. „Miasteczko” — to stary polski Kazimierz. Charakterystycznym typem polskiego Żyda jest „Szłoma bogacz”. Natomiast akcja „Meri”, „Droga ku sobie” i późniejszych utworów: „Ameryka”, „Onkel Mozes”, „Matka”, „Wyrok śmierci” oraz ostatniej trylogii p. t. „Przed potopem” — toczy się na terenie szeregu miast — Warszawa, Petersburg, Kraków, Paryż, New-York, Moskwa.

Wielu młodych pisarzy, którzy przenieśli się z Europy do Ameryki i tu dopiero zaczęli tworzyć, z trudnością aklimatyzują się w nowym środowisku i w utworach swoich zwracają się często myślą do swej dawnej ojczyzny. I tak A. Raboj, którego zaliczamy do pisarzy żydowskich, najsilniej związanych z życiem Zachodu, w ostatnich swoich dziełach („Prości ludzie” i „Przybył Żyd do Ameryki...”) przenosi akcję do Bessarabji, lub opisuje pierwsze kroki swego bohatera na terenie Ameryki. Autorzy ci wzmacniają w ten sposób więzy, łączące ze sobą poszczególne ośrodki życia żydowskiego.

Równocześnie z owym procesem zbliżania się poszczególnych ośrodków na terenie literatury żydowskiej, odbywa się w okresie wojny i po wojnie proces wyodrębniania literatury każdego ośrodka, związany z powstawaniem pewnego rodzaju „patriotyzmu lokalnego”.

Najbardziej urwał się kontakt z sowiecką literaturą żydowską. Specyficzne warunki społeczne i polityczne, charakteryzujące nowe życie w Z. S. R. R., odbiły się w silnym stopniu również na literaturze żydowskiej. Sowieckie koła literackie zerwały zupełnie stosunki z literaturą żydowską poza granicami Z. S. R. R., co należy przypisać w głównej

mierze względem politycznym. Zjawisko to jest nawskroś ujemne. Literatura żydowska w całości traci wiele na podobnem urwaniu się stosunków z twórczością któregośkolwiek z ośrodków żydowskich.

Chcąc ogarnąć szersze widnokreśli i tworzyć dzieła na wysokim poziomie artystycznym, ośrodki życia żydowskiego muszą się wyzbyć tendencji partykularnych i utrzymywać ze sobą ścisłą współpracę.

Często kierunek literacki, zapoczątkowany w jednym kraju, kontynuuje się w innym. Literatura żydowska poszczególnych ośrodków uzupełnia się niejako nawzajem. Stąd potrzeba, wyczuwana przez pisarzy żydowskich, nawiązywania stosunków z innymi ośrodkami, nawet zmieniania na krótki czas miejsca stałego pobytu.

Przyczyna ożywienia stosunków literackich między poszczególnymi ośrodkami tkwi jeszcze w innym fakcie. Literatura żydowska minęła już okres skrajnego indywidualizmu i bezpłodnego estetyzowania. Wypłynęły nowe zainteresowania społeczne. Pisarz żydowski obecnie nie może już zamykać się w ciasnym kręgu swoich osobistych przeżyć. Dzisiaj zmuszony jest stawiać przed sobą zadania o szerszym zasięgu, nie może ominąć w swych dziełach aktualnych zagadnień walki społecznej, toczącej się na wszystkich odcinkach życia mas żydowskich.

Zjawiają się nowe tematy, obrazy dalekich, nieznanych dotychczas literaturze żydowskiej krajów. Ukazuje się kilka tomów Pereca Hirszeina, zawierających wrażenia z podróży po Indjach, Japonji, Palestynie i Rosji Sowieckiej; szereg większych nowel B. Glazmana; silny w wyrazie poemat I. I. Szwarca p. t. „Kentoki”.

Nowa tematyka wniosła również nieznanne dotychczas watrości językowe. Jako mistrz słowa i wielki pisarz wysunął się na czoło literaturze żydowskiej Dawid Bergelson, szczególnie swą nową powieścią p. t. „Wymiar kary” („Midas Hadin”).

Tematyka Rosji Sowieckiej na swój sposób wpłynęła na wzbogacenie języka.

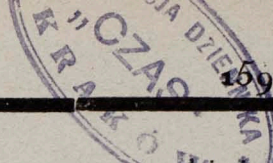
W literaturze żydowskiej odbywa się obecnie na całej linii proces pogłębiania i rozszerzania ram twórczości. Szalom Asz, D. Piński, J. Opatoszu, P. Hirszein, D. Bergelson, Z. Segalowicz, A. Raboj, J. Rozenfeld, Z. Szejnur, J. Mastbojm, M. Stawski — znajdują się obecnie w pełni rozkwitu sił twórczych. Również młodsza generacja pisarska — B. Glazman, E. Warszawski, I. I. Zynger, A. M. Fuks, J. Perle, Sz. Horonczyk, E. Kaganowski — odznaczyła się szeregiem poważnych wyczynów.

Żydowską twórczość poetycką i dramatyczną reprezentują obecnie: w Polsce — M. Kulbak, A. Kacyzne, A. Cejtlin, M. Nejman, M. Rawicz, M. Broderson, I. Stern; w Z. S. R. R. — A. Kusznirów, I. Fefer, I. Charik, M. Kwitko, P. Markisz; w Ameryce — Lewik, Menachem, I. I. Szwarz, Lejeles, R. Eisland, M. Leib.

Większość tych pisarzy cechuje zwrot ku szerszym zagadnieniom społecznym, nurtującym współczesne życie żydowskie i ogólno-swiatowe.

Poza wymienionymi poetami i prozaikami, pojawiła się w ostatnich latach plejada młodych pisarzy, którzy zdołali już wzbudzić szczere zainteresowanie. Nawet pobieżna charakterystyka ich rozszerzyłaby nadmiernie rozmiary niniejszej pracy.

Wybrane utwory przedstawicieli tej najmłodszej generacji zamieszczone zostały w niniejszym Almanachu.



NOJACH PRYŁUCKI WSPÓŁCZESNA SZTUKA ŻYDOWSKA

Od 19-go stulecia poczynszy społeczeństwo żydowskie w różnych krajach wiele zdziałało dla zgromadzenia zabytków kultury żydowskiej.

W większych ośrodkach żydowskich powstały zasobne biblioteki judaistyczne: w Jerozolimie — przy Uniwersytecie Hebrajskim, w Paryżu — przy Alliance Israelite Universelle, w Berlinie — przy Gminie Żydowskiej, w Nowym-Jorku — przy Żyd. Seminarjum Teologicznem, w Warszawie — przy Wielkiej Synagodze i t. p.

Muzea żydowskie istnieją w Berlinie, Wiedniu, Pradze.

Zasługują na uwagę również zbiory im. Bersona w Warszawie. Paryskie Museum de Cliny posiada dwie sale cennych zbiorów żydowskich (dar jednego z członków rodziny Rotszyldów).

Cechę charakterystyczną wszystkich tych zbiorów stanowi ograniczenie się do przedmiotów rytuału, lub urządzenia domów modlitwy. Natomiast nie pomyślano dotychczas o stworzeniu działu sztuk plastycznych.

Dziwić się należy słabemu zainteresowaniu społeczeństwa żydowskiego dla twórczości malarzy i rzeźbiarzy żydowskich, których zawsze było więcej, niżby się spodziewać można było. Nawet w żydowskich encyklopedjach, przedwojennych jak i powojennych, sztuki plastyczne u Żydów traktowane są po macoszemu, w najlepszym razie po dyletancku. Wystarczy przytoczyć, że „Jewrejskaja Encyklopedja” nie poświęciła nawet kilku wierszy nestorowi malarstwa żydowskiego w Polsce — Maurycemu Trębaczowi.

Warunki życiowe do końca 18-go stulecia nie sprzyjały wyzwoleniu się tendencji twórczych u Żydów w kierunku sztuk plastycznych. Tendencje takie istniały niewątpliwie, na co wskazuje wysoki poziom artystyczny przedmiotów rytuału, pochodzących z owych czasów, a sporządzonych przez rzemieślników żydowskich. Zabytki te świadczą o głębokim poczuciu piękna.

Mimo to znane są nietylko bezimienne arcydzieła sztuki żydowskiej z wieków ubiegłych, jak słynne miniatyry „Hagady Sarajewskiej” (styl francuski końca 13-go w.), lub ilustracje innej Hagady (najczystszy

styl malarstwa tokańskiego 14-go w.), lecz również nazwiska wybitnych malarzy żydowskich. *Marlibren* w r. 1270, z polecenia Edwarda I wykonał obraz *Madonny dla kościoła All-Souls* w Londynie. *Ercole Fedelli* (z zawodu jubiler z Ferrary) pozostawił po sobie szereg pierwszorzędnych płócien. *Mojżesz z Castellaca* (współczesnik *Giordano* i *Tycjana*) odznaczył się jako wybitny portrecista.

Emancypacja Żydów europejskich, zmodernizowanie życia żydowskiego w większych ośrodkach, wreszcie wyłonienie się zastępów inteligencji żydowskiej, dały impuls do znakomitego wzrostu liczby artystów-malarzy i rzeźbiarzy żydowskich.

Nawet pobieżna znajomość twórczości żydowskiej w dziedzinie sztuk plastycznych, przez szereg stuleci mieszkańcom ghetta zakazanych i niedostępnych, przekonywa, jak dalece przesadnem jest popularne twierdzenie, jakoby ghetto oraz ortodoksyjny tryb życia całkowicie oderwały Żydów od błogosławionego wpływu przyrody.

Nawet w czasach największego wydziedziczenia, pewien odsetek ludności żydowskiej zamieszkiwał po wsiach (w Polsce, w Niemczech); ci zaś, którzy mieszkali po miastach, ze względu na uprawiane procedury (handel obnośny, rzemiosła) pozostawali w ciągłym kontakcie ze wsią i świadomie lub nieświadomie odczuwali piękno otaczającego krajobrazu. Okoliczność ta tłumaczy poniekąd fakt osiągnięcia przez Żydów - malarzy w rozmaitych krajach zdumiewającej doskonałości w dziedzinie pejzażu.

Jednym z twórców współczesnej sztuki francuskiej był Żyd, *Camille Pissaro*, mistrz kompozycji i krajobrazu, rewolucjonista w sposobie pojmowania i stosowania barw. Przez kilka dziesięcioleci nie zważał na obojętność i drwiny krytyki. Najmniejszy kompromis mógłby mu posłużyć za most do sławy i bogactwa. Pozostawał jednak przez całe życie wiernym swej indywidualności artystycznej, mimo nędznych warunków bytowania. Dopiero jako starzec o długiej siwej brodzie doczekał się zwycięstwa swych idei i dążeń. Zbiorowa wystawa arcydzieł *Pissaro*, urządzona w 1930 r. w Paryżu na Champs Elisée stała się wielkiem świętem dla miłośników sztuki, zwłaszcza dla kilkutysięcznej rzeszy malarzy paryskich.

Twórcą współczesnego malarstwa holenderskiego był Żyd, *Józef Israels*. Praca jego stanowiła propagandę rewolucyjnych idei sztuki francuskiej w sąsiednich krajach europejskich.

Przepiękne płótna *Israelsa*, wśród których wyróżniają się szczególnie pejzaże morskie oraz interieur'y, zdobią największe muzea świata.

W czasie, kiedy sztuka niemiecka, błądząc po bezdrożach, przeżywała okres zupełnego chaosu, malarz żydowski, *Maks Liebermann*, olśnił kraj cały śmiałem nowatorstwem, adaptując młodzieńczy jeszcze impresjonizm francuski i demokratyzując tematykę obrazów. Wywołał

oburzenie reakcji i kleru; nie zważając na to, kroczył dalej obraną drogą. Obecnie piastuje godność prezydenta Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie.

Żyd *Ernest Josefson* był dla malarstwa szwedzkiego tem, czem Cezanne dla Francji.

W Rosji, gdzie Żydzi najdłużej pozbawieni byli wszelkich praw, wśród pionierów młodego malarstwa odznaczył się *Izak Lewitan*. Zmuszony ukrywać się przed policją, jako że nie posiadał prawa pobytu w Moskwie, Lewitan w pejzażach swoich najsztudniej odtworzył charakter krajobrazu rosyjskiego.

Twórczość malarzy żydowskich w Polsce — *Maurycego Gotliba*, zmarłego w wieku 23 lat, *Samuela Hirszenberga*, *Horowitza* (ostatnie lata spędził we Wiedniu), *Maurycego Trębacza*, *Abrahama Neumana*, — cieszyła się zasłużonym uznaniem krytyki polskiej jeszcze przed powstaniem krytyki żydowskiej.

*

W sztuce doby obecnej malarze-Żydzi są tak licznie reprezentowani, wybitnie zajmując stanowiska, iż trudnem byłoby w szczupłym artykule wszystkich wymienić i scharakteryzować.

Przodują wśród nich Żydzi z Polski i Rosji, a uznanie zdobyli w najkapryśniejszej stolicy świata — we współczesnych Atenach — w Paryżu.

Żyd włoski, *Modigliani*, w ciągu kilkunastu lat swego pobytu w Paryżu tak zbratał się z liczną kolonją malarzy żydowskich, pochodzących z Rosji i Polski, że zaliczony być musi do ich rodziny. Krótkie życie swe spędził w nędzy, nie uznany przez nikogo, prócz najbliższych kolegów. Dopiero po przedwczesnej śmierci artysty dzieła jego zdobyły wielką sławę. Imię *Modigliani*'ego znajduje się obecnie na ustach każdego malarza, krytyka, lub miłośnika sztuki w Paryżu. Określa się go mianem „jedynego prawdziwego artysty, jakiego wydała współczesna Italia”. Był nieprześcignionym w manierze przeistaczania zjawisk realnych w styl o osobliwych walorach emocjonalnych, tudzież w niesamowitej zdolności przenikania najgłębszych tajemnic duszy ludzkiej.

Wybitną indywidualnością twórczą wyróżnia się *M. Chagall* — Szalom Alechem pędzla, — pochodzący z miasteczka Liozna pod Witebskiem. Futurysta we krwi, wirtuoz rysunku i kolorów.

Jednym z wyśmienitych malarzy paryskich o światowym nazwisku jest *Soutine*, syn krawca żydowskiego ze Smiłowicz na Minszczyźnie. Dopiero przed kilku laty zabłysnął on w paryskim świecie artystycznym. Sławę swoją zawdzięcza częściowo profesorowi historii sztuki i milionerowi z Filadelfji, *Barnesowi*, który odkrył jego talent i w jednej ze swoich prac wyraża się o nim, jako o spadkobiercy *Tintoretto* i *Van Gogha*.

Przed kilku miesiącami pozbawił się życia w Paryżu *Pascin*, Żyd

espanjolski, rodem z Bułgarii, twórca cudownych rysunków i płócien obyczajowych, następca słynnego *Lautrec'a*.

Wybitną postacią paryskiego świata artystycznego jest *Mojżesz Kisling*, Krakowianin. Gorąco przywiązany do Polski, mimo wieloletniego pobytu w Paryżu, szczeni się również poprawną znajomością języka żydowskiego. Niestrudzenie pracując nad sobą, zdobył wysoką kulturę artystyczną i nawskroś francuską finezję.

Mniej więcej równocześnie przybyli do Paryża biedni, jak myszy kościelne, *Pinches Kremen* (z Żałudka) i *Kikojen* (z Reczycy), jak i *Soutine* — wychowańcy wileńskiej szkoły rysunkowej, oraz *Chaim Epstein* (z Pabjanic). *Kremen* i *Epstein* święcą sukcesy dzięki oryginalności swych temperamentów artystycznych i wyszukanej techniki. Również *Kikojen* zajmuje niepoślednie miejsce w plejadzie młodych malarzy żydowskich w Paryżu.

Wytwornym malarzem (kompozycje, portrety, pejzaże, gwasze) jest *Adolf Ajzyk Feder*, pochodzący z Odessy, — reprezentant kierunku neorealistycznego.

Niepowetowaną stratą dla sztuki żydowskiej była przedwczesna śmierć *Eugenjusza Zaka*, malarza o poważnych walorach artystycznych.

Należy jeszcze wymienić utalentowanego malarza *Mondscheina* z Chelma, wyjątkowo uzdolnionego *Zygmunta Menkesa* ze Lwowa, dzielnego *Mane Kaca* z Ukrainy.

W grafice wyróżniają się *Józef Hecht*, oraz pierwszorzędnym iluminator, *Artur Szyk*, — oboje rodem z m. Łodzi.

Rzeźbiarstwo reprezentują w Paryżu: *Liřszyc* (futurysta), *Łuszczanowski* i *Nudelman* (neoklasycy), *Chana Orłow* oraz *Cadkin*. Wszyscy pochodzą z Rosji.

Z Polski (z Turka, z. Kaliskiej) pochodzi wspaniały rzeźbiarz *Henryk Glicensztein*, przebywający w Rzymie.

Nie wymieniam innych kilkudziesięciu artystów, zamieszkałych we Francji lub Niemczech, gdyż nawet pobieżne scharakteryzowanie ich twórczości wymagałoby większej monografii.

*

Charakter Almanachu Literackiego usprawiedliwia bliższe wyszczególnienie malarzy i rzeźbiarzy — Żydów, czynnych w Polsce.

Niedawno obchodził 30-lecie swej pracy artystycznej *I. Weinles*, jeden z pionierów malarstwa żydowskiego w Polsce.

Do grupy *Hirszenberg-Trębacz* należy wierny klasycyzmowi wytrawny portrecista z Kaliskiego, obecnie zamieszkały w Londynie *Leopold Pilichowski*.

Odrębne a zaszczytne miejsce w sztuce żydowskiej zajmował zmarły niedawno śmiercią tragiczną w Buenos-Ajres głuchoniemy *Maurycy Minkowski*, piewca niedoli warstw ludowych.

Od czasu do czasu wystawia swoje prace, cieszący się zasłużonym uznaniem, najstarszy rzeźbiarz żydowski w Polsce I. Gabowicz.

Doświadczeniem i pracowitością odznacza się doskonały rzeźbiarz, A. Ostrzega. Wśród młodszych rzeźbiarzy rokuje nadzieje Ch. Szpigiel.

Doświadczoną malarką o nietuzinkowej kulturze artystycznej jest p. Centnerszwerowa.

Młodzi malarze żydowscy w Polsce pozostają przeważnie pod wpływami impresjonizmu. Wielu z nich poszukuje już jednak nowych dróg, zbliżając się do prądów, nurtujących sztukę francuską lat ostatnich. Z małymi wyjątkami obecna młoda generacja malarska poszczycić się może poważnymi zdobyczami natury merytorycznej i technicznej, zrozumieniem znaczenia faktury i dominującej roli koloru.

W. Brauner, M. Daniec, S. Finkielsztejn, F. Frydman, A. Guterman, Hirszfang, N. Korzeń, I. Szor, I. Tynowicki, bracia Zajdenbeutel odznaczają się dobrym rysunkiem, umiejętnością kompozycji i śmiałością stawianych sobie zadań malarskich. Wystrzegają się naogół anemii barw.

Dobrymi malarzami są N. Szpigiel z Łodzi i H. Rabinowicz z Warszawy. Eljowicz poświęcił się portretowi.

Wysoce kulturalnym malarzem i rysownikiem jest Henryk Berlewi, ostatnie lata spędzający poza krajem.

Ben-Cjon Cukierman z Wilna jest pejzażystą o intencjach szkoły francuskiej.

Grafikę żydowską reprezentują: A. Herszaft, jeden z najpoważniejszych przedstawicieli tej gałęzi sztuki w Polsce; Regina Mundlak, pracowita uczennica Hermana Struka; I. Lewit, wyróżniający się precyzyjnym wykonaniem okładek i winjet; Tykociński.

W dziedzinie dekoracji teatralnej odznaczył się pomysłowością i wykonaniem W. Weintraub, który przez szereg lat pracował dla Trupy Wileńskiej. W dziedzinie tej pracował również niedawno zgasły M. Apfelbaum (ostatnio zamieszkały w Katowicach).

Do perfekcji w dziedzinie metaloplastyki doszedł M. Szwarc z Łodzi. W tej samej dziedzinie pracują I. Merzer, Ch. Hanft oraz Ch. Kahane. Ten ostatni potrafił skupić w swych pracach najciekawsze pierwiastki tradycyjnej metaloplastyki starożydowskiej.

Wysoce utalentowanym pionierem groteski graficznej oraz fotomontażu był Zygmunt Kamiński, który mimo że zmarł w młodym wieku, pozostawił po sobie pokazną spuściznę.

Nawet powyższy daleko niewyczerpujący przegląd ujawnia ogromne bogactwo, jakim poszczycić się może współczesna sztuka żydowska.

Byłoby wskazaniem, aby którykolwiek z pośród słuchaczy wydziałów humanistycznych obrał sobie z tej dziedziny temat dla pracy doktorskiej.

J. M. NEUMAN

O NASZYM TEATRZE

Zasadniczą cechą teatru żydowskiego jest jego wszechświatowy zasięg terytorjalny. Bez przesady można twierdzić, że w krainie teatru żydowskiego nigdy nie zachodzi słońce. Nawet drugorzędny artysta żydowski występuje niemal we wszystkich częściach kuli ziemskiej. W każdym ośrodku życia żydowskiego — w Australji, w Afryce południowej, w Kanadzie i w Chinach — rozbił swe namioty teatr żydowski. W tem tkwi jego siła, ale i przyczyna słabości. Brak mu cech osiadłości. Teatr żydowski nie zdąży nigdzie zapuścić korzeni, wytworzyć poważną atmosferę pracy artystycznej, gdyż warunki zmuszają go wędrować dalej.

Do niedawna mniemano powszechnie, że istnienie teatru żydowskiego datuje się zaledwie od lat 50. Ojcem teatru żydowskiego jest Goldfaden. Miejsce narodzin teatru żydowskiego — mała kawiarenka w Rumunji. W Rosji trupie Goldfadena zabroniono występować. Zmuszano ją do grywania w języku niemieckim. Mężczyźni odtwarzali role kobiece. Po upływie pewnego czasu trupa Goldfadena wywędrowała przez Konstantynopol do Ameryki. Repertuar teatru Goldfadena sięgał od satyry obyczajowej (Kuni Lemel) do patosu historyczno-narodowych widowisk. Goldfaden — to żydowski Molier. Aktor i dramaturg w jednej osobie. W teatrze jego zarysował się już wyraźnie kierunek rozwoju żydowskiego widowiska. Do niedawna popularny bardzo wśród ludu, a pogardzany przez inteligencję żydowską, — dopiero w ostatnich czasach wywalczył sobie teatr większe znaczenie w żydowskim życiu kulturalnem.

Dr. I. Szyper w swej monumentalnej pracy o historii teatru żydowskiego wykazał, że zaczątki teatru u Żydów sięgają odległych czasów. Zwrócił uwagę na istnienie dramaturga - Żyda w Grecji, wśród niemieckich „Minnenzänger”. Dowiódł, że w żydowskich domach modlitwy w Holandji urządzano widowiska — misterje, że twórcą dramatu portugalskiego był Żyd, którego spalono podczas inkwizycji; że przedstawienia purimowe — to ludowe widowiska w stylu komedji de l'art, urabiane z pokolenia w pokolenie. Dzięki pracy dr. Szypera teatr żydowski zyskał tło historyczne. Praca ta wywarła również poważny wpływ na dramaturgię żydowską, podobnie jak wykopaliska starożytne oddziaływały na rzeźbę Odrodzenia. Rozwiał legendę o zupełnem odosobnieniu ghetta. Żydzi podlegali zawsze wpływom otoczenia, oraz oddziaływali na nie.

To samo zauważyć się daje w teatrze żydowskim doby obecnej. Najoryginalniejszy utwór żydowskiego repertuaru — „Dybuk” — reżyserował u „Habimy” armeńczyk, Wachtangow. Najlepiej odtwarzał Szekspira Żyd — Reinhardt.

Stan współczesnego teatru żydowskiego najdosadniej scharakteryzował Alfred Kerr, w związku z występami „Wileńskiej Trupy” w Berlinie: „Dreck mit Genialitätsblitzen”. Obcy przybysz, odwiedzający teatr żydowski, doznaje niekiedy miłego rozczerowania. Widzi artystów, grających z niezwykłym wczuciem się w odtwarzaną postać, sugestywnie i zarazem mistycznie. Innym znów razem napotka bezmyślne, chaotyczne widowisko. Pochodzi to stąd, że aktor żydowski jest najczęściej artystą z Bożej łaski. Brak mu natomiast kultury, któraby wysubtelniła, oszlifowała jego wrodzone zdolności. Brak często samokrytycyzmu. Miewa często szczęśliwe momenty, przebliski genialności, a potem — apatia, upadek. Aktorowi żydowskiemu brak wytrwałości. Winę w tym wypadku w znacznej mierze przypisać należy brakowi zdrowych podstaw materialnych. Poza Rosją Sowiecką i Łotwą, teatr żydowski nigdzie nie korzysta z subsydj państwowych. W Polsce jedynie nieliczne magistraty — w Krakowie, Wilnie i Łodzi — przyznały teatrowi żydowskiemu małe zasiłki. Gminy żydowskie tkwią jeszcze w głębokim średniowieczu. Jako kurjozum w swoim rodzaju można przytoczyć warunek, postawiony przez gminę warszawską teatrowi żydowskiemu, by mężczyźni grali kobiece role i aby w soboty teatr żydowski był nieczynny. Gdy Wielka Synagoga warszawska zainicjowała koncerty religijne, rozległy się protesty i zaniechano je. Jak dalece jesteśmy wsteczni, w porównaniu z naszymi przodkami, którzy przed wiekami w Holandji misterjom żydowskim szeroko otwarły bramy domów modlitwy!

Żydowski teatr zdany jest przedewszystkiem na aktora. Ze wzruszeniem czytamy pamiętniki niestrudzonej pionierki teatru żydowskiego w Rosji — Ester-Rachel Kamińskiej, która w nędznej budzie cygańskiej wędrowała po miasteczkach, rzucając promienie swej wielkiej sztuki. Dzieci jej urodziły się gdzieś w drodze, — za kulisami.

Teatr żydowski zyskał już obecnie szacunek, ale podstawy materialne nie uległy bynajmniej poprawie. Najwięksi aktorzy — Baratow, Zasławski, Potocka, Szwarz — oraz najpoważniejsze zespoły, jak Wileńska Trupa, zmuszone są wędrować po prowincji. Walcząc z ciągłym niedostatkiem uczą się nawych ról. Godnym podziwu jest ten zajęty, uparty wysiłek.

Wśród inteligencji żydowskiej panuje przeświadczenie, że ze starszym artystą żydowskim nie da się nic zrobić, gdyż jest on zmanierowany. Nie sędzę, aby twierdzenie to było słusznem. Najbardziej solidny, na zdrowych podstawach oparty zespół teatralny, jaki istniał ostatnio

w Polsce — „Wikt” (pod kierownictwem Zygmunta Turkowa) — składał się wyłącznie ze starszych aktorów. Teatr ten rozwijał się organicznie. Nie próbował bezowocnych eksperymentów, lecz stanął odrazu na zdrowych podstawach gry scenicznej. Skromnie przedstawiała się strona dekoracyjna, kostjomy oraz ilustracja muzyczna. Natomiast aktor miał wdzięczne pole do popisu. Teatr ten stworzył dobry wzór przeciętnego teatru ludowego, bez cech wulgarności.

„Wikt” z wielkim powodzeniem wystawiał klasyczne sztuki europejskiego repertuaru, jak: „Skąpiec” Moliera, „Rewizor” Gogoła, „Siedmiu powieszonych” Andrejewa, „Grzeszny Tszu” Klabunda, oraz opracował dla sceny szereg powieści klasyków żydowskich, jak: „Pobór” Mendele Mojcher-Sforim, „Motke-ganew.. Asza. Poważnym wyznacznym było wystawienie sztuki p. t. „Serkele”, napisanej przed stu laty przez dra Etingera, sztukę tę „Wikt” pierwszy inscenizował. Ester-Rachel Kamińska zbłysła w tej sztuce poraz ostatni przed śmiercią. „Wikt” dowiódł, że nawet publiczność, rekrutująca się z pośród mas ludowych, poznaje się na dobrej, literackiej sztuce. Teatr ten wychował zespół wybitnych aktorów z Sambergiem na czele. „Wikt” rozpadł się wskutek zewnętrznych przyczyn. Rząd wykupił lokal dla Monopoli Spirytusowego, a komisja budowlana przeszkodziła wystawieniu nowego gmachu teatralnego w pobliżu.

„Wikt” nie osiągnąłby tak wysokiego poziomu bez pracy przygotowawczej, ogarniętych zapalem artystów-amatorów z „Trupy Wileńskiej”, która obchodzi obecnie 15-lecie swego istnienia. *Studjo* teatralne zdoła zainspirować, pchnąć teatr na nowe drogi, trzon teatru tworzy jednak aktor zawodowy.

„Trupa Wileńska” rozpoczęła swoją działalność od kierunku naturalistycznego, według wzorów rosyjskich. Niektórzy z jej aktorów grali przedtem na scenie rosyjskiej. „Wieśniak” Kobrina oraz „Pusta karczma” Hirszebeina stały wówczas na czele żydowskiego repertuaru. Artyści tworzyli na scenie spiżowe postacie, kipiące życiem. Po pewnym czasie zakrzepili jednak w tej formie. Przełomem dla tego teatru było wystawienie „Dybuka” An-skiego. Reżyser Dawid Herman wykazał głębokie zrozumienie dla ludowości i stworzył najbardziej monumentalne widowisko teatru żydowskiego w Polsce w ostatnich czasach. Nieprześcignionym okazał się Morewski w roli cadyka. „Dybuk” — to szczyt rozwoju w dziejach Trupy Wileńskiej, po którym następuje upadek. W sztuce Szaloma Asza p. t. „Amnan i Tamara” zboczyli Wileńczycy na drogę wschodniej stylizacji i dekoracyjnego przeładowania — próba okazała się chybioną. Potem „Trupa Wileńska” udała się do Ameryki, gdzie, goniąc za sukcesami materialnymi, zatraciła swój charakter i wreszcie rozpadła się. „Trupa Wileńska” w obecnym składzie czyni wysiłki w kierunku utrzymania teatru na wysokim poziomie. Narazie poszukuje

jeszcze nowych dróg. Dawid Herman znów zabłysnął inscenizacją sztuki Pereca p. t. „Nocą na starym rynku”. Dramat ten powstał pod wpływem twórczości Wyspiańskiego. Odnoszono się dość sceptycznie do możliwości wystawienia go na scenie. W utworze tym Perce okazał się zamiastem ekspresjonizmu; marzył o powiązaniu teatru z filmem — idea, którą później dopiero urzeczywistnił Piskator... „Nocą na starym rynku” cieszyło się na scenie niebywałym powodzeniem. W sztuce tej bowiem tkwi prażydowski pierwiastek mistyczny, zawarty w hebrajskim słowie „chazojon”, co znaczy zarazem „widowisko” i „wizja”.

W „Trupie Wileńskiej” próbował również swoich sił, jako reżyser, znany krytyk teatralny dr. Weichert, posiadający głęboką wiedzę i zamiłowanie teatru. W inscenizacji „Kupca weneckiego” oraz „Kidusz Haszem” Sz. Asza, dr. Weichert dał wiele dobrych momentów, przedstawieniom tym brakło jednak jednolitości. Dopiero „Śmierć Dantona” Büchnera w Warszawskim Teatrze Reprezentacyjnym była jednolitem, solidnie opracowanym widowiskiem Dr. Weichert, jak widać postawił sobie za zadanie przenieść na teren teatru żydowskiego metody reżyser-skie europejskich teatrów.

Dobrze zapowiada się młody reżyser Rotbaum, artysta-malarz, który wykazuje wiele zrozumienia dla kompozycji grupowych oraz rytmiki.

Z wielkim uznaniem należy również wspomnieć o działalności polskich reżyserów na scenie żydowskiej. Piekarski wystawił w Krakowie, pod dyktando Jonasa Turkowa, „Wesele” i „Daniela” Wyspiańskiego, przytem przedstawienie „Daniela” było pierwszą realizacją sceniczną tego utworu.

Jan Kochanowicz z Reduty reżyserował w hebrajskim studjum teatralnym we Wilnie sztukę Dickensa. Zelwerowicz niejednokrotnie wykazał swój przyjaźny stosunek do sceny żydowskiej.

Czyniono również próby wystawiania sztuk żydowskich w języku polskim. Wystawiono Lewika „Golem” i „Mirele Efros” Gordina. Inicjatorem tego pomysłu jest Andrzej Marek. Próby te nie przyjęły się jednak na stałe. Odważniejsi z pośród polskich reżyserów włączają niekiedy żydowskie sztuki do swego repertuaru. Droga ta byłaby najsluszniejszą. Każdy żydowski utwór sceniczny o wysokich walorach artystycznych, sam uturjuje sobie drogę do repertuaru światowego. Najlepszym dowodem — „Bóg zemsty”, „Dybuk”, „Golem”. Dla ścisłości należy jednak zanaczyć, że inscenizacja „Golema” w języku polskim, dokonana przez Andrzeja Marka, posiadała wiele momentów wartościowych z teatralnego punktu widzenia.

Miałoby się pisać o rozwoju teatru żydowskiego, wypada nam wciąż powracać do reżyserów. Oni bowiem, reżyserowie, najsilniej wycisnęli swoje piętno na teatrze żydowskim. Czy objaw ten należy uznać jako dodatni? Na ten temat warto otworzyć dyskusję. W dziedzinie teatru

znajdują swoje odbicie tendencje, panujące w życiu. Na wszystkich odcinkach życia — w polityce, w życiu gospodarczym — panuje hasło silnego człowieka, dyktatora. Dominująca rola reżysera w teatrze doby obecnej jest wyrazem podobnych tendencji w życiu. Reżyserowie wnieśli niewątpliwie wiele nowych wartości, ale — operacja udała się, lecz pacjent nie żyje. Mimo wielu świetnych reżyserów, teatr żydowski znajduje się obecnie w stadium upadku. Reżyser bowiem nadużył swej władzy. Uzurpował nie-swoje uprawnienia. Dawniej pisarz dramatyczny zwykł był czytelować każdą scenę, każde słowo, gdyż poczuwał się do odpowiedzialności za sztukę, przez siebie napisaną. Obecnie reżyser stał się niemal współtwórcą sztuki. Autor często nie poznaje na scenie swego utworu. Powoduje to osłabienie intensywności twórczej dramaturga. Zanik odpowiedzialności pociąga za sobą niesumienność, niechlujność. Stąd też brak młodych, poważnych dramaturgów.

Aktor również polega zbyt na reżysera, który powierza mu rolę zupełnie opracowaną. Artysta staje się narzędziem w ręku reżysera, manekinem. Odrodzenie teatru nastąpi dopiero wówczas, kiedy aktor, dramaturg i reżyser równomiernie podzielą między siebie zadania, gdy wróci równowaga tych trzech elementów, które tworzą teatr.

Aktor nie powinien zezwalać na zbytne eksperymentowanie na sobie ze strony reżysera. Najodpowiedniejszym polem dla wykonywania eksperymentów reżyser-skich są zespoły teatrów amatorskich. Sukces odniesiony na terenie teatru amatorskiego uprawnia reżysera do przeniesienia nowych metod na teren teatru zawodowego. Podobnie jak rzeźbiarz, który najpierw ugniata dzieło swoje w miękkiej glinie, aby potem odlać je w bronzie.

Teatr amatorski jest więc swego rodzaju laboratorium: pobudza inicjatywę, inspiruje. Zamiast rutyny teatru zawodowego cechuje go śmiałość w poszukiwaniu nowych form. Najlepszym dowodem służy rozwój żydowskiego teatryku rewjowego. „Azazel” stworzył podstawę, szkołę, z której powstały potem rozgałęzienia: „Ararat” i „Sambatjon”.

Wiele zmysłu teatralnego daje się zauważyć w przedstawieniach dzieci szkół żydowskich — warto byłoby zastanowić się nad stworzeniem stałego teatru dziecięcego.

Jeżeli ocenimy poziom teatru żydowskiego według jego obecnego stanu w Polsce, obraz wypadłby dość niewesoły. W Warszawie czynnych jest obecnie pięć teatrów żydowskich, ale ilość w tym wypadku nie rozstrzyga. Najczęściej grywane są sztuki o wątpliwych wartościach artystycznych. Ubóstwo treści pragnie się przesłonić nowoczesną dekoracją. Inteligent żydowski nie ma tam czego szukać. Zamiast teatru ludowego — teatr dla tłumu. Jedynie zasymilowana inteligencja żydowska zachwyca się niekiedy specyficznie ckliwym, karmelkowym nastrojem tego rodzaju przedstawień. Czasem zabłyśnie wielki talent artystyczny,

jak na przykład Kutner, przeważa jednak szablon i płytkość. Miejmy nadzieję, że obecny kryzys w teatrze żydowskim okaże się zjawiskiem przejściowym. Przykład „Wiktu” wskazuje na wielkie możliwości, tkwiące w starszym pokoleniu aktorów żydowskich.

Obraz nabiera innych barw, kiedy ocenimy teatr żydowski w skali światowej. Sukcesy „Habimy” i „Moskiewskiego Teatru Kameralnego” wskazują na wielkie możliwości sceny żydowskiej. „Habima” — to największe zjawisko teatralne nie tylko u Żydów, ale bodaj na całym świecie. „Habima” wróciła do prairódla teatru. Widowisko nabrało cech monumentalności. U Greków obrzęd religijny przeistaczał się w widowisko teatralne; u Hebrajczyków z „Habimy” teatr staje się religią. Stąd wysokie napięcie gry, wstrząsające wrażenie, ekstaza. Widowisko przeistacza się w nabożeństwo, scena — w świątynię. Człowiek wyczuwa zawsze potrzebę rozprzestrzenienia wzroku poza granice świata widzialnego. Tę potrzebę zaspakaja u człowieka współczesnego — teatr. Na scenie oglądamy siebie i życie nas otaczające w wykrystalizowanej postaci. To nam daje „Habima”. Tą samą drogą rozwija się również palestyński teatr robotniczy „Ohel”.

„Moskiewski Teatr Kameralny” — to wspaniały pomnik na zgłiszczach minionych form życia żydowskiego. Zachód, opromieniony krwawą czerwienią. Taniec na zgłiszczach. Ginący świat przeistacza się w sztukę. Teraz chodzi o to, — jak wyraził się genialny reżyser Eisenstein — „aby sztukę przeistaczać w życie”. Teatr tendencyjny. Wola, świadoma swych celów. Oto hasło chwili. Teatr żydowski w Ameryce zaprzepaścił milionowe sumy, posiada wielkich aktorów, brak mu jednak twórczej idei, świadomej woli. Stąd — obawa upadku. Golem na glinianych nogach. Ale teatr jest dziedziną twórczości duchowej. Walory duchowe odgrywają rolę dominującą.

„Habima” i „Teatr Kameralny” oświetlają drogę sztuki żydowskiej niby pochodnie. Ambicje twórcze zostały pobudzone. Dojrzała już potrzeba teatru. Jeżeli możnaby poddać w wątpliwość skłonności Żydów w kierunku sztuk plastycznych, to niewątpliwą jest ich wrażliwość na widowisko sceniczne. Nawet w kołach ortodoksyjnych panują pewne prymitywne formy teatralizacji życia: kantor, kaznodzieja, wesołek. Święta żydowska — to intymne misterja: Seder Wielkanocy, Sądny Dzień. Według Ch. N. Bialika prorocy żydowscy byli również swego rodzaju aktorami. Wieszczę słowa, głoszone przed zgromadzonym ludem, ubierali w formy akcji scenicznej. Maska posiada u Żydów cechy świętości. Bóg nałożył maskę na twarz Mojżesza.

Dopiero naród żydowski duchowo wyzwolony, świadomy swych celów, czerpiący soki żywotne z pra-źródła swej kultury narodowej, zdoła stworzyć teatr żywotny. Teatr jest wszak odbiciem życia. Wzbożone życie nada też teatrowi nowe bogactwa barw.

H. KON

O MUZYCE ŻYDOWSKIEJ

Muzyka, niewątpliwie jedna z najmłodszych gałęzi sztuki, osiągnęła wielki rozkwit w ciągu ostatnich niespełna kilku stuleci.

Europejska muzyka chrześcijańska rozwinęła się w krótkim czasie i osiągnęła wysoki poziom, zaczątki muzyki żydowskiej są jednak o wiele dawniejsze i sięgają zamierzchłych czasów.

Historycy muzyki podkreślają silny wpływ żydowskiej pieśni synagoidalnej na muzykę kościelną wczesnego średniowiecza. Psalmi i recitativa pozostały w użytku do dnia dzisiejszego, oczywiście w formie nieco zmienionej.

Przytoczyć również warto, że Max Bruch, który wyrzekął się swego żydowskiego pochodzenia, użył wybitnie żydowskiego motywu w swojej „Kar - Freitag - Christus - Motete” w pieśni chóru: „Chrystus zmartwychwstał...”. Podobnie wielu kompozytorów kościelnych, począwszy od Palestrino a kończąc na ostatnich, nieświadomie wprowadzali stare żydowskie motywy do swoich utworów.

Stara muzyka synagogałna nie wywarła jednak żadnego wpływu na rozwój współczesnej muzyki żydowskiej, a w szczególności — pieśni ludowej.

W dziejach większości narodów świecka pieśń ludowa korzeniami swymi tkwiła w muzyce kościelnej, wyodrębniając się z czasem w samodzielny, wokalnie-instrumentalny rodzaj kompozycji. Posiadała ona swoich przedstawicieli już we wczesnym średniowieczu. Byli to *trubadurzy* we Włoszech, celtyccy *bardowie* w Irlandji i Francji, *skaldowie* w Skandynawji, „*Minnensänger*” w Niemczech. Ci wędrowni pociępi śpiewacy szli z miasta do miasta, rozpowszechniając pieśni o tekście i muzyce własnego układu. Mimo ciągłych prześladowań ze strony władz kościelnych, świecka pieśń ludowa czyniła kolosalne postępy i osiągnęła, szczególnie w Niemczech, niebywały rozkwit.

Żydowska muzyka ludowa powstała w zupełnie innych okolicznościach. Między okresem starej muzyki religijnej, a świecką pieśnią ludową, która powstała już w diasporze, upłynęło kilka tysięcy lat. Stara pieśń religijna nie pozostawiła po sobie bezpośrednich dokumentów. W Biblii odnaleźć można liczne wzmianki o muzyce, niewiadomo jednak w jakiej formie posługiwano się nią. Wiele z ówczesnych motywów

zachowało się zapewne dotychczas w śpiewie modlitewnym i w muzyce, towarzyszącej obrzędom religijnym. Nic pewnego nie wiemy jednak o żydowskiej muzyce religijnej (Bet-Hamidrasz), zaginęła zupełnie wieść o prastarym żydowskim wątku muzycznym. To też trudno dociec, w jakiej pieśni współczesnej tkwi on istotnie, oraz w jakim stopniu oddziaływały wpływy otoczenia na kształtowanie się muzyki żydowskiej w naszych czasach.

* * *

Zainteresowanie dla badań nad muzyką żydowską datuje się za ledwie od lat trzydziestu. W Rosji powstało wówczas Żydowskie Towarzystwo Muzyczne, które zajęło się gromadzeniem materiałów, dotyczących muzyki żydowskiej wogóle i pieśni ludowych w szczególności. Działalność tego towarzystwa stanowiła niewątpliwie poważny krok naprzód, jednak ograniczała się właściwie do kolekcjonowania pieśni i melodii ludowych. Mimo udziału wybitnych muzyków, praca towarzystwa pozbawiona była wszelkiej metody. Nagromadzono całe stopy żydowskich, ukraińskich, „mołdawańskich” i innych pieśni ludowych, przytem każdą piosenkę z żydowskim tekstem zaliczano do żydowskich pieśni ludowych. Przyczyna tkwiła w fakcie oddalenia kierowników towarzystwa od mas żydowskich i braku bezpośredniego kontaktu z żydowską melodią.

Czem jest muzyka żydowska? Czem różni się motyw żydowski od innych wschodnich motywów? I czy istnieje wogóle wyodrębniona żydowska muzyka?

Nad zagadnieniem tem toczyły się dyskusje między wybitnymi autoritetami, nie doprowadziły one jednak do ustalenia jednomyślnego poglądu. Jako przykład służyć może znana dyskusja między dwoma żydowskimi muzykami w Rosji: Englem i Somińskim. Jeden z nich dowodził, że czystych pierwiastków muzyki żydowskiej doszukać się można jedynie w pieśni synagogałnej. Natomiast Engel stwierdził istnienie tychże pierwiastków jedynie w pieśni ludowej.

Mniejsza o to, w jaki sposób każdy z nich uzasadniał teoretycznie swoje stanowisko. Obydwaj wyszli jednak z błędnego założenia, nie uwzględnili bowiem dwóch niewątpliwych faktów: po pierwsze — zarówno muzyka synagogałna, jak i pieśń ludowa zawierają w sobie elementy muzyki żydowskiej, po wtóre — w obu nie brak i wpływów obcych.

* * *

Ludowe pieśni żydowskie, powstałe w Rosji, na Ukrainie, w Polsce, na Węgrzech i w innych krajach noszą na sobie niewątpliwie ślady

wpływów etnograficznych obcego środowiska. Wszystkie te pieśni posiadają jednak wspólną skłonność upodabniania się do pieśni wschodnich.

Wątek melodyjny przejęty został najczęściej z zewnątrz, mimo to wiele z tych pieśni posiada swoisty, specyficzny charakter.

Żydzi nie mieli wszak kompozytorów ludowych; najczęściej melodia rosyjska, lub ukraińska, śpiewana przez Żydów, nabierała z czasem specyficznego kolorytu. Niejedne z tych pieśni uległy przetworzeniu do tego stopnia, że zatraciły swój pierwotny charakter i nabrały cech żydowskich. W zmianach tych doszukiwać się należy czystych pierwiastków muzyki żydowskiej.

Na pierwszy rzut oka utwory muzyki żydowskiej posiadają wiele podobieństwa do kompozycji muzyki wschodniej. Lecz po głębszym wnikięciu dopatrzyć się w nich można swoistego motywu żydowskiego.

Laik w zakresie malarstwa wschodniego nie dojrzy różnicy między dziełem japońskim a hinduskim, gdyż malarstwo japońskie i hinduskie mało różnią się od siebie zarówno w rysunku, jak i w doborze barw. Każdy jednak, bliżej obeznany z tą dziedziną, bez trudu rozróżni malarza japońskiego od hinduskiego. Podobnie rzecz się ma w muzyce.

Muzyka żydowska posiada swoiste elementy, których nie znajdziemy w żadnej innej muzyce wschodniej.

* * *

Olbrzymią rolę w rozwoju muzyki żydowskiej odegrał niewątpliwie chasydyzm. Ten okres odrodzenia w dziejach kultury żydowskiej wniósł wiele nowych wartości do skarbca melodyki żydowskiej. W czasie, kiedy muzyka ludowa u Żydów pozostawała pod dominującym wpływem obcego otoczenia, pieśń chasydska, powstała w zamkniętej atmosferze „jeszybotu”, stanowiła potężny wyraz ekstatycznych, religijnych przeżyć. W pieśniach chasydzkich tkwią wskrzeszone tajemnice prastarego źródła. Niektóre z nich — wesole, w formie scherzo’a, lub utworu tanecznego, czy pieśni elegijne — odznaczają się niezwykle sugestywnością i przewyższają inne utwory muzyczne siłą wyrazu. Trudno o przykład europejskiej kompozycji ludowej, która wywarłaby równie silne wrażenie na słuchaczu — niejedne z pieśni chasydzkich zasługują niewątpliwie na miano genialnych utworów.

Interpretując jakikolwiek fragment świeckiej kompozycji muzycznej unisono, t. zn. bez polifonicznego akompanjamentu, stwierdzimy najczęściej ubóstwo melodii w porównaniu z pełną ekstazą, wprawiającą w zachwyt melodią chasydzką. W niej bowiem tkwi absolutny pierwiastek czystej muzyki, nie ozdobiony środkami harmonicznymi i kontrapunkcją.

Pieśni chasydskie — to bodaj jedyne źródło czystej muzyki żydowskiej, pozbawionej obcych elementów. Powinniśmy je studjować i na ich podstawach tworzyć dalej.

*
*
*

P. Oberkantor, profesor berlińskiego konserwatorium, zauważył kiedyś, że nie można mówić o żydowskiej muzyce, gdyż jej wogóle nie ma. Kiedy wyjaśniono mu, że się myli, odśpiewano kilka żydowskich pieśni ludowych, melodyj chasydskich, zapytał: „Kto to napisał? Dlaczego Żydzi nie mają kompozytorów, jeżeli posiadają tak bogate źródła muzyki ludowej?”

Nie można mu odmówić słuszności. Muzyce światowej nie brak kompozytorów pochodzenia żydowskiego, nie byli to jednak żydowscy kompozytórzy narodowi. Bogata muzyka ludowa nie wystarcza; potrzeba artystów, dla których skarbiec ten stoi otworem.

W ostatnich czasach dopiero pojawiła się poważna plejada żydowskich kompozytorów, którzy czerpią z własnego źródła — ze źródła żydowskiej muzyki ludowej.

B. KARLINIUS

SZALOM ASZ

(Z okazji jubileuszu)

Dzieła Szaloma Asza należą do najjaśniejszych, najbardziej słońcem przepojonych utworów w literaturze żydowskiej.

Jest to poeta o niezmiernie wrażliwym wycuciu piękna przyrody. Asz pierwszy wniósł do literatury żydowskiej wspaniałe opisy przyrody — opisy polskiego krajobrazu.

Stosunek Asza do życia jest radosny i bezpośredni. Bohaterowie jego — to zazwyczaj ludzie zdrowi, zmysłowi, pełni życia — postacie z krwi i ciała.

Czytasz dzieła Asza z pierwszego okresu jego twórczości i dziwisz się: brak prawie zupełnie pierwiastku śmierci.

Obcym jest mu kompleks nastrojów i przeżyć, związanych z myślą o śmierci. Stara rybarka, Gitla, sama uszyła sobie koszulę śmiertelną; od czasu do czasu przymierzyła ją i przeglądała się w lustrze.

Postacie Asza są symbolem pełni życiowej.

*

Stosunek Asza do otwarzanych przez siebie postaci cechuje serdeczność i życzliwość. Postacie swe idealizuje — przypisuje im uczucia wzniosłe i piękne. Nawet ludzi, wyrzuconych poza nawias społeczeństwa, przedstawia Asz, jako łagodnych w istocie, dobrodusznych. Tęsknią oni za normalnem życiem uczciwych ludzi. Asz rozgrzesza ich, oczyszcza w ogniu swych uczuć.

Niedawno Asz usiłował zdefiniować różnicę między pisarzem żydowskim a pisarzem — Żydem, który tworzy w obcym języku.

Pierwszego cechuje pozytywny stosunek do życia. Kocha świat i postacie przez siebie kształtowane, apeluje do najwznioślejszych uczuć ludzkich — doszukuje się w społeczeństwie elementów trwałych, cementujących.

Drugi natomiast jest destruktywny. Jego stosunek do świata jest negatywny, niemal wrogi. Podważa i niweczy panujące formy życiowe — sam nie buduje, wykazuje jedynie, jak „należałoby uczynić życie lepszym”.

Definicja ta jest szczególnie trafna w stosunku do Szaloma Asza.

Jest on poetą rdzennie żydowskim — poetą, pełnym żydowskiego patosu, poczucia sprawiedliwości, żydowskiego optymizmu.

Człowiek jest dobry...

*

Szalom Asz to jedna z najbardziej śmiałych indywidualności z pośród pisarzy żydowskich.

Dwadzieścia pięć lat temu, jako młodzieniec nieznany nikomu, wyruszył ze swego rodzinnego miasteczka, Kutna. Już pierwsze jego kroki świadczyły o wielkiej odwadze i energii życiowej. Petersburg, Berlin, Paryż — to szybko następujące po sobie etapy śmiałych wypadów w życiu i twórczości literackiej. Od pierwszej chwili posiadał wielką pewność siebie, świadomość swoich celów. Czuł zawsze potrzebę zbliżenia się do artystów obcych narodowości — wyczuwał swą przynależność do elity duchowej Europy. Jako równy między równymi wystąpił Asz na arenie literatury światowej. On pierwszy wzbudził poważniejsze zainteresowanie pisarzy europejskich dla literatury żydowskiej.

*

W naszym życiu kulturalnym rzadko zdarzają się radosne, wzniosłe chwile, a jeszcze mniej ma je nasza literatura. Aszowi przypadło w udziale niemało szczęście. Uroczystości jubileuszowe ku jego czci przeobraziły się w wielkie święto literatury żydowskiej.

W pierwszym rządzie Warszawa, w podniosłym nastroju przyjęła jubilatę. W stolicy Polski Szalom Asz stawiał pierwsze swoje kroki na polu literatury żydowskiej. Warszawa pierwsza proklamowała hasło nowoczesnej, świeckiej kultury żydowskiej, opartej o literaturę, stawiającą sobie wymagania artystyczne.

Perec pierwszy wystąpił z tem hasłem, rzuconem w imieniu nowego społeczeństwa żydowskiego, zwiastującego swe duchowe odrodzenie. Nomborg uzasadnił je ideowo, pogłębił, rozwinął. Zrealizował je w sztuce i uczynił głośnem w świecie kulturalnym — Szalom Asz.

Literatura żydowska jeszcze przed Aszem posiadała wielkich mistrzów. Byli to nasi klasycy, którzy stworzyli podstawy literatury. Oni pierwsi kształtowali życie kulturalne narodu i wydobywali zeń walory artystyczne, ale literatura nie posiadała jeszcze wówczas przedstawicieli z pośród żydostwa polskiego. Odbijało się to ujemnie na jej charakterze. Brakło literaturze żydowskiej słońca, powietrza, nieba.

Jak przedstawiało się życie żydowskie w utworach naszych klasyków?

Nasze miasteczka, osiedla rodzinne posiadały dwie nazwy: *Głupsk* i *Kapcańsk*. Biedni, przybici, nędzni ludzie: biedacy, bezczynni, gadat-

liwi staruszkowie, na każdym kroku poniewierani i krzywdzeni. Obcy opłakiwali nasz nędzny los, a myśmy sami wtórowali płaczem i litowali się nad sobą. Ze łzami w oczach naśmiewaliśmy się z naszej bezradności i niedołęstwa.

Wówczas znaleźli się i z pośród polskiego żydostwa pisarze, którzy jednym zamachem zmienili koloryt piśmiennictwa żydowskiego. Czy przyczyniły się ku temu lepsze warunki życiowe Żydów polskich, aniżeli ich współbracia w innych częściach Rosji? Czy też wpłynęło na to optymistyczne, bardziej radosne usposobienie Żyda polskiego?

Perec pierwszy wykreślił z literatury żydowskiej nazwę *Głupsk*. Naród żydowski nie składa się wyłącznie ze swatów i żebraków. Społeczeństwo żydowskie posiada również wielkie, jasne postacie, arystokratów ducha, poetów-marzycieli. Koniec z *Głupskiem*. Dość płaczu i naśmiewania się, uczmy się kochać i podziwiać wielkie postacie naszej przeszłości.

Był to pierwszy zwiastun naszego odrodzenia duchowego.

Potem zjawił się Asz i zburzył *Kapcańsk*. Miasteczko żydowskie nie jest ponurem siedliskiem cierpień i poniżenia. To jasna, opromieniona ziemia na bożym świecie, pełnym piękna i radości. I w miasteczku znaleźć można słońce, radość i piękno. Rozlega się w niem wielka pieśń o życiu, śpiewana przez zdrowych ludzi, którym zarówno cierpienie, jak i radość nie jest obce.

Co za bogactwo postaci! Ludzie czują wszystkimi zmysłami. Oto rzeźnicy, woźnice, fornale; złodzieje i kataryniarze, łaziki — wszyscy oni żyją i walczą o każdy promień radości, o kruszynę szczęścia, o miejsce dla siebie na tym pięknym świecie, pełnym radości i śpiewu.

„Rebe, — zapytuje chłopak w jednym z opowiadań Asza — rebe, jak się odmawia modlitwę za tę radość, jaką czuje się z życia na świecie?”

Rebe gniewa się: „Głuptasie, modlitwę odmawia się nad chlebem, nad wodą, ale nad światem? Złe masz w głowie, widać!”

Asz przybył do naszej literatury, by zmówić modlitwę za piękno i radość tego świata. Pieśnią swą porwał za sobą, opromienił nasze miasteczko, wzbudził miłość ku niemu. Ukazał naród żydowski w jego właściwej postaci — zdrowy, serdeczny, pełen soków żywotnych. Piewka ludu żydowskiego obudził nadzieję i wlał wiarę w nasze ponure życie.

*

Dokonał tego Asz w pierwszym okresie swej twórczości. Potem nastały nowe czasy. W życiu żydowskim dokonał się przełom. Żydzi wędrują. Wyrastają nowe osiedla, zmieniają się dotychczasowe formy życia żydowskiego. Asz porzuca miasteczko i rusza w świat. Rozszerza swą wiedzę, wgłębia się w tragiczne wydarzenia dziejów żydowskich i tworzy wielkie płótna, obejmujące historję całych stuleci. Píše

wielkie powieści zaczerpnięte z głębin życia żydowskiego w Europie i Ameryce. Asz nasiąka kulturą zachodu. Jest mu bliskiem wszystko co ludzkie i roztrząsa to w swych epopejach z życia żydowskiego. Asz sięga do splotu epokowych wydarzeń społeczno-politycznych — do okresu rewolucji rosyjskiej oraz lat poprzedzających. Na tem tle tworzy wielkie dzieło, które przysparza mu sławy w Europie. Dzięki działalności Szaloma Asza uzyskaliśmy pełne obywatelstwo w literaturze światowej, dzięki niemu sztuka żydowska zdobyła równoprawnienie w rzędzie wielkich literatur świata—to bodaj najcenniejszy dar, ofiarowany nam przez jubilata.



NOTATKI

UNIWERSYTET HEBRAJSKI W JEROZOLIMIE

W roku 1930 minęło pięć lat od uroczystego otwarcia Uniwersytetu Hebrajskiego na Har Hacofim (góra Scopus). Prace przygotowawcze oraz uruchomienie niektórych instytutów datują się jeszcze z lat poprzednich.

Uniwersytet składa się zasadniczo z dwóch części (stykających się zresztą blisko ze sobą): z grupy instytutów badawczych i z grupy wydziałów studenckich. Każda z tych grup ma inne zadania. Instytuty służą przede wszystkim celom badawczym, t. j. rozszerzaniu wiedzy, oraz kształceniu zastępu młodych uczonych, przyszłych docentów, asystentów i naukowych sił pomocniczych. Prace badawcze instytutów dotyczą przede wszystkim zagadnień, nasuwających się przy odbudowie życia gospodarczego i duchowego w Erec.

Instytuty badawcze rozpadają się na dwie grupy: humanistyczną i przyrodniczo-matematyczną. W grupie humanistycznej główną rolę odgrywa najstarszy instytut Uniwersytetu: *Instytut Judaistyczny*, do niedawna jeszcze autonomiczny, obecnie włączony organicznie do całości Wszechnicy. Zadaniem jego jest badanie wszelkich przejawów życia, kultury i piśmiennictwa żydowskiego. Badania Instytutu obejmują zatem przeszłość żydowską (historja, archeologja, biblja, talmud i t. d.), oraz teraźniejszość żydowską (socjologja, demografja, antropologja, współczesna literatura hebrajska i żydowska), pozatem prawo i filozofję żydowską.

Instytut publikował wyniki swych badań w „Pismach Instytutu Judaistycznego”, obecnie zaś w kwartalniku „Tarbic”, rozpoczynającym drugi rok swego istnienia.

Drugim z kolei instytutem humanistycznym Uniwersytetu jest *Instytut Wschodni*, który dotychczas zajmował się badaniami nad kulturą i sztuką arabską. Wynikiem prac tych jest pomnikowa konkordancja poezji arabskiej, podstawowe dzieło filologii arabskiej. Zamierza się włączyć do zadań Instytutu Wschodniego badania nad Syryją, Mezopotamją (Asyryja i Babiljonja) i innemi krajami sąsiadującymi z Palestyną. Nieocenioną pomocą w pracy Instytutu jest słynna biblioteka arabistyczna Goldzihera.

Rozwój obu tych instytutów pozwolił na otwarcie w 1928 pierw-

szego wydziału Uniwersytetu: *Fakultetu Humanistycznego*. Otwarcie Fakultetu poprzedziły w latach ubiegłych cykle wykładów uzupełniających dla pracowników Instytutu Judaistycznego. W r. 1928 liczba wykładających wzrosła na tyle, że uruchomiono wydział z określonym programem studjów. Wydział obejmuje przedewszystkiem studjum judaistyczne (literatura biblijna i talmudyczna, literatura średniowieczna i nowożytna, historia, geografia Palestyny, filozofia żydowska, socjologia, archeologia i t. d.). Poza tem wydział posiada kilku profesorów (filozofii (wstęp do filozofii, systemy filozoficzne, teoria poznania), historii, oraz wykłady pomocnicze (lektoraty łaciny i greckiego, historia starożytna i in.). Jak z tego wynika, centralnym punktem Wydziału jest judaistyka, inne działy obsadzone narazie prowizorycznie.

Przechodzimy do grupy matematyczno-przyrodniczej. W tej dziedzinie dokonano wiele. *Instytut Chemiczny*, założony w roku 1923, zajmuje się w dziedzinie chemii biologicznej badaniem problemu fermentów, biochemii praktycznej, syntezy biochemicznej. Są to zagadnienia ściśle związane z odbudową rolniczą Palestyny (plantacje tytoniowe i t. d.). W dziale chemii nieorganicznej Instytut prowadzi badania nad zagadnieniami, związanymi z eksploatacją bogactw Morza Martwego. Prace prowadzą nie tylko profesorowie i asystenci, ale również t. zw. postgraduates, t. j. absolwenci uniwersytetów, którzy specjalizują się w pewnych poszczególnych zagadnieniach. Instytut posiada bogatą aparaturę naukową.

Instytut Matematyczny pod kierownictwem Prof. Fraenkla i Fekete prowadzi prace badawcze w dziedzinie teorii mnogości, teorii funkcji, szeregów trygonometrycznych. Posiada on bogatą bibliotekę Prof. Felixa Kleina.

Instytut Przyrody Palestyńskiej dzieli się na szereg sekcji: zoologii ogólnej, zoologii systematycznej, botaniki systematycznej, botaniki historycznej (biblijnej) i geologii. Instytuty te prowadzą z jednej strony badania nad przyrodą palestyńską, w związku z potrzebami odbudowy (badania roślin użytkowych, badania nad szarańczą i t. d.), z drugiej strony — zbierają i systematyzują okazy przyrodnicze nie tylko fauny i flory palestyńskiej, ale również krajów sąsiednich (Syrji, Transjordanji, półwyspu Synaj i in.). Sekcja Botaniki Historycznej ma za zadanie zbieranie roślin, wymienionych w piśmiennictwie historycznym żydowskim (Biblia, Talmud) oraz arabskim piśmiennictwie palestyńskim i identyfikowanie ich nazw. Jest to zatem praca botaniczno-filologiczna.

Instytuty Mikrobjologii i Hygieny stanowią początek przyszłego wydziału medycznego i zajmują się badaniem specyficznych chorób wschodnich. W szczególności do zakresu ich badań należą problemy parazytologiczne, atjologiczne, zagadnienia przenoszenia chorób zaraźliwych i sposoby ich zwalczania. Bada się również wpływ klimatu na

zdrowotność imigrantów. Specjalna stacja poświęcona jest studjom nad malarją.

Instytuty przyrodnicze i matematyczno-fizyczne (Instytut Fizyczny znajduje się w stadium organizacji) staną się w przyszłości fundamentem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, którego uruchomienie planowane jest w r. 1932. Obecnie istnieje Sekcja matematyczna, która prowadzi systematyczne wykłady dla studentów we wszystkich dziedzinach matematyki.

Oprócz Wydziałów i Instytutów posiada Uniwersytet bogatą Bibliotekę, która nosi nazwę „Biblioteki Narodowej i Uniwersyteckiej” i mieści się obecnie w monumentalnym Gmachu im. Wolfsohna. Biblioteka ta, założona w r. 1892 z inicjatywy Żyda polskiego, Dra Józefa Chazanowicza z Białegostoku, i Łoży Bnei Brith w Jerozolimie, została przejęta w r. 1920 przez Organizację Sjonistyczną. Liczyła ona wtedy 32.000 t. Obecnie liczy przeszło 220.000 skatalogowanych i 30.000 jeszcze nieskatatalogowanych tomów ze wszystkich dziedzin wiedzy. Biblioteka otrzymuje przeszło 1600 czasopism i liczy kilkadziesiąt rękopisów. Pierwszy tom Katalogu Rękopisów ukazał się w r. b. Biblioteka wydaje od siedmiu lat kwartalnik bibliograficzny „Kirjath Sefer”.

Przy Uniwersytecie istnieje specjalne wydawnictwo uniwersyteckie „Hebrew University Press Association”, które przejęło dotychczasowe wydawnictwa periodyczne Uniwersytetu i rozpoczęło wydawanie serii poważnych dzieł naukowych oraz podręczników uniwersyteckich w języku hebrajskim. W najbliższym czasie ukazać się w tym nakładzie rezultaty prac archeologicznych i botanicznych Uniwersytetu.

* * *

Organizacja władz Uniwersytetu wzoruje się na uczelniach angielskich i amerykańskich. Na czele Uniwersytetu stoi kanclerz (dyrektor), który prowadzi administrację i finanse Uniwersytetu. Kierownictwo ogólne spoczywa w rękach Kuratorjum, oraz Rady Akademickiej, złożonej z najwybitniejszych uczonych świata żydowskiego. Kuratorjum to zbiera się co roku latem i wspólnie z Radą ustala plan pracy i rozwoju Uniwersytetu na rok najbliższy, przyczem do zadań Kuratorjum należą zasadniczo sprawy finansowe i organizacyjne, do kompetencji Rady — bieg spraw naukowych. Poszczególne sprawy w ramach ustalonych przez oba te ciała rozstrzyga Rada Uniwersytecka, składająca się z profesorów Uniwersytetu i kanclerza.

Instytut Nauk Judaistycznych posiada swoje odrębne Kuratorjum, które składa się z delegatów, wybieranych we wszystkich większych krajach djaspory, i również obraduje raz do roku.

Liczba studentów w r. ub. wynosiła 177 osób, co oznacza spadek

w porównaniu z rokiem poprzednim (250). Spadek ten należy przypisać z jednej strony trudniejszym warunkom ekonomicznym, z drugiej — przeniesieniu wykładów z popołudnia na przedpołudnie. Ta okoliczność wymaga od studenta całkowitego poświęcenia się pracy uniwersyteckiej i uniemożliwia studia wielu studentom, którzy dawniej przed południem zajmowali się pracą zarobkową.

Podstawą finansową Uniwersytetu są fundusze zbierane corocznie przez specjalnie w tym celu powołane instytucje. Część budżetu pokrywa Keren Hajesod, a część wpływa z odsetek od kapitałów Uniwersytetu. — Pozatem istnieją we wszystkich prawie krajach specjalne organizacje, mające na celu niesienie pomocy poszczególnym instytutom i wydziałom Uniwersytetu, głównie zaś — Bibliotece Uniwersyteckiej.

ŻYDOWSKI INSTYTUT NAUKOWY (I. W. O.)

Żydowski Instytut Naukowy powstał w roku 1925.

Do zadań Instytutu należy:

- 1) Ześrodkowanie twórczości naukowej w języku żydowskim, przede wszystkim zaś scentralizowanie badań naukowych nad językiem oraz literaturą żydowską,
- 2) Wyszukanie pracowników naukowych,
- 3) Rejestrację wszelkich przejawów żydowskiego życia kulturalnego na całym świecie.

Działalność naukowa Instytutu koncentruje się w czterech sekcjach: filologicznej, historycznej, ekonomiczno - statystycznej i pedagogiczno-psychologicznej. Sekcja filologiczna posiada komisje: ludoznawczą, terminologiczną i lingwistyczną. Pozatem ma Instytut centralę bibliograficzną, archiwum, bibliotekę oraz muzeum teatrologiczne im. E. R. Kamińskiej.

Sekcja filologiczna opublikowała trzy tomy prac filologicznych (razem ponad 1600 stron), przy udziale najwybitniejszych fachowców.

Komisja etnograficzna przeprowadziła kilkadziesiąt ankiet, na które odpowiedziało przeszło 500 korespondentów. Ze zgromadzonych w ten sposób zbiorów złożono dotychczas 80.000 numerów.

Ostatnio przeprowadziła komisja badanie szeregu zwyczajów obrzędowych żydowskich oraz akcję sfotografowania cennych zabytków sztuki żydowskiej.

W stadjum organizowania znajduje się muzeum etnograficzne, które już zebrało pokaźną ilość eksponatów.

W druku są 3 tomy monografii i tekstów (jeden już opuścił prasę) z zakresu historii literatury żydowskiej.

Sekcja historyczna opublikowała I tom prac historycznych (str. 68 828, 4^o, Warszawa, 1929). Wszystkie niemal prace, zawarte w tym tomie, opierają się na źródłowych badaniach archiwalnych.

Tom ten wydano w obszernym streszczeniu w języku polskim.

Tom II prac sekcji jest w przygotowaniu.

Oprócz tego sekcja wydaje „Historję Chasydyzmu” prof. Sz. Dubnowa w 3-ch tomach, z których tom I-szy już wyszedł z druku.

W Warszawie ostatnio powstała komisja historyczna Instytutu pod

kierownictwem d-ra I. Szypera. Komisja ta organizuje wycieczki do miast i miasteczek, celem badania zabytków żydowskich.

Komisja przygotowuje pozatem: opracowanie szeregu monografi z historii Żydów w Polsce, jakoteż poszczególnych gmin żydowskich; 2) wydanie zbioru prac dotyczących zabytków żydowskich w różnych miastach Polski.

I-sza monografia, dotycząca historii m. stoł. Warszawy, ukaże się w 1931 r.

Sekcja ekonomiczno-statystyczna opracowuje i publikuje dane, dotyczące Żydów i spraw żydowskich, na podstawie materiałów, zbieranych w archiwach państwowych, komunalnych i społecznych oraz urzędach statystycznych. Przy sekcji czynna jest komisja informacyjna, dostarczająca różnym instytucjom danych statystycznych, oraz wiadomości gospodarczych.

Sekcja wydała I-szy tom prac, objętości 3 arkuszy druku, 4^o. Z tematów, poruszonych w tym tomie, należy wymienić: Rozwój narodu żydowskiego w ostatnim stuleciu, pióra J. Leszczyńskiego, Operacje kredytowe Żydów warszawskich w średniowieczu — E. Ryngelbluma, Obecny układ zawodowy Żydów w Europie środkowej i wschodniej — J. Leszczyńskiego.

Wkrótce rozpocznie się druk tomu II prac tejże sekcji.

Sekcja psychologiczno-pedagogiczna powstała później niż inne sekcje. Program jej pracy zmierza narazie w dwóch kierunkach: 1) badania psychiki dziecka, 2) historii rozwoju żyd. systemów pedagogicznych.

W ciągu roku szkolnego 1929—1930 sekcja przeprowadziła badania psychologiczne kilkuset dzieci żyd. szkół powszechnych w Wilnie i Białymstoku. Rezultaty badań będą ogłoszone w pracach sekcji. I-szy tom ukaże się wkrótce w druku.

Centrala bibliograficzna, czynna od dnia 1 stycznia 1926 r. rejestruje wszystkie druki (książki oraz wydawnictwa periodyczne), ukazujące się w językach żydowskim i hebrajskim, oraz w innych językach, o ile druki te dotyczą spraw żydowskich.

Większość wydawców żydowskich uważa za swój obowiązek przysyłać stale i bezpłatnie swe wydawnictwa.

Centrala opublikowała I-szy tom „Roczników bibliografii żydowskiej” za rok 1926—1927 (30 arkuszy, 8^o).

II-gi tom „Roczników” (1927—1928) jest obecnie w druku. W przygotowaniu tom trzeci tegoż rocznika (1928—1929).

Archiwum i Biblioteka. Archiwum posiada obecnie a) przeszło 5000 roczników periodyków żydowskich; b) przeszło 10.000 plakatów, ulotek, statutów i sprawozdań organizacji społecznych; c) setki rękopisów i autografów.

Biblioteka składa się obecnie z przeszło 20.000 tomów, w tem wiele rzadkości bibliograficznych.

Zbiory archiwalne i biblioteczne powstały dzięki darowiznom przyjaciół Instytutu, któremu nadal ofiarują swą wiedzę i czas.

Muzeum Teatrolologiczne im. E. R. Kamińskiej posiada kilka tysięcy fotografii, plakatów, dokumentów, makiet i t. p., ilustrujących dzieje teatru żydowskiego od w. 16-go począwszy.

W styczniu 1930 r. ukazał się I-y tom pisma zbiorowego, poświęconego dziejom teatru i dramatu żydowskiego (35 arkuszy, 4^o).

Prócz wymienionych wydawnictw, Instytut wydał również:

a) 33 numery biuletynu („Jedies”);

b) 9 broszur pod ogólnym tytułem: „Organizacja nauki żydowskiej” oraz broszury informacyjne w języku polskim, angielskim i niemieckim;

c) zbiór prac, dotyczących reformy ortografii żydowskiej.

W styczniu 1931 r. ukazał się miesięcznik p. n. „Jiwobleter”, wspólny organ wszystkich sekcji i oddziałów Instytutu.

T R E Ś Ć :

Słowo wstępne. 5

POEZJA HEBRAJSKA :

<i>Abraham Braudes: Nie nadaremnie</i>	9
<i>Eliszewa: Słońce.</i>	10
<i>Uri Cwi Grynberg: Bankierzy żydowscy. — Mesjasz.</i>	11
<i>Awigdor Hameiri: Na ziemi boleści. — Bez smutku i goryczy.</i> 14	
<i>Jehuda Karni: Synowie Huldy.</i>	15
<i>I. Lamdan: Most.</i>	16
<i>Rachel: * * * — Grusza.</i> ..	18
<i>Estera Raw: Modlitwa kobiety. — * * *</i>	19
<i>Abraham Szlionski: I stało się...</i>	20

(Tłum. Szymon Wolf.)

POEZJA ŻYDOWSKA :

<i>Aron Cejtin: Koń na deszczu.</i>	25
(Tłum. Saul Wagman)	
<i>Sekciarski wiersz miłosny.</i>	26
(Tłum. Maurycy Szymel)	
<i>Staccato.</i>	26
(Przekład autora)	
<i>Josef Kirman: Gdy twarz mojej matki. — Siostry.</i>	27
<i>Rachel H. Korn: Kwitną me wargi. — Tobie.</i>	29
(Tłum. Maurycy Szymel)	
<i>A. Lejeles: Zamki. — New-York.</i>	30
(Tłum. Saul Wagman)	

<i>Kalmen Lis</i> : Wołyń. — Jak błękitna niezabudka.	32
<i>Icek Manger</i> : Jam — wieczór. — Ballada o białym chlebie. ..	33
<i>Kadja Mołodowska</i> : Otwock. — Modlitwa.	35
<i>I. Papiernikow</i> : Pasterzowi żydowskiemu. — Ballada o zabłą- kanym wielbłądzie.	38
<i>Sz. L. Sznajderman</i> : Wiersz o miłości. — Chorzy w kwietniu. — Zagłębie. — Zecer Grysha.	41
<i>Isroel Sztern</i> : Wiosna w szpitalu.	44
(Tłum. Maurycy Szymel)	

PROZA HEBRAJSKA:

<i>Sz. I. Agnon</i> : Kaleka.	49
<i>Aszer Barasz</i> : Pierwsze spotkanie.	55
(Tłum. S. Fryszman)	
<i>Jehuda Burla</i> : Jałmużna sinjora Forillo.	63
<i>Ch. Hazaz</i> : Tewel - krawiec.	73
(Tłum. J. Frenkiel)	
<i>G. Szofman</i> : Zemsta katarynki.	82
(Tłum. D. Lazar)	

PROZA ŻYDOWSKA:

<i>A. M. Fuks</i> : Zima.	93
(Tłum. B. Mosiężnik)	
<i>Baruch Glazman</i> : Mojżesz Rambam.	100
(Tłum. H. Szyminówna)	
<i>Icek Kipnis</i> : Co za radość!	107
<i>Dawid Micmacher</i> : Dwa portrety.	120
(Tłum. Emil Schürer)	
<i>Jehoszua Perle</i> : Godzina dziewiąta rano.	123
<i>Abraham Zak</i> : Pod skrzydłami śmierci.	130
(Tłum. H. Szyminówna)	

KRYTYKA:

<i>Jakób Fichman</i> : Współczesna literatura hebrajska.	139
<i>Nachman Majzel</i> : Współczesna literatura żydowska.	151
<i>Nojach Pryłucki</i> : Współczesna sztuka żydowska.	160
<i>I. M. Neuman</i> : O naszym teatrze.	165
<i>H. Kon</i> : O muzyce żydowskiej.	171
<i>B. Karlinius</i> : Szalom Asz.	175

NOTATKI:

Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie.	181
Żydowski Instytut Naukowy (I. W. O.).	185



Premjum dla Czytelników «Trybuny Akademickiej»